DWORCZYK:
PRZEDE MNĄ „ODTWORZENIE ZDOLNOŚCI BOJOWEJ"

BUDZISZ:
CZY ROSJA UDERZY ATOMEM? I CO SIĘ STANIE, JEŚLI TAK?

MACIEJEWSKI:
PŁACZ I CIERPIENIE. JAK TRAKTUJĄ LUDZI W TVN?

JANECKI:
KTO CHCE FAŁSZOWAĆ WYBORY?

RYBIŃSKA:
MERKEL DALEJ NIC NIE ROZUMIE

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 41 (515) 2022
10–16 października 2022
CENA: 7,90 zł
(w tym 8% VAT)

III RP ŻEGNA URBANA

KTO PO NIM PŁACZE?

I DLACZEGO MÓWI NAM TO O TYCH LUDZIACH

WIĘCEJ NIŻ TOMY NAUKOWYCH ANALIZ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

Disney+
Rozrywka dla całej rodziny

Z telewizją już od 35 zł/mies. przez 24 miesiące

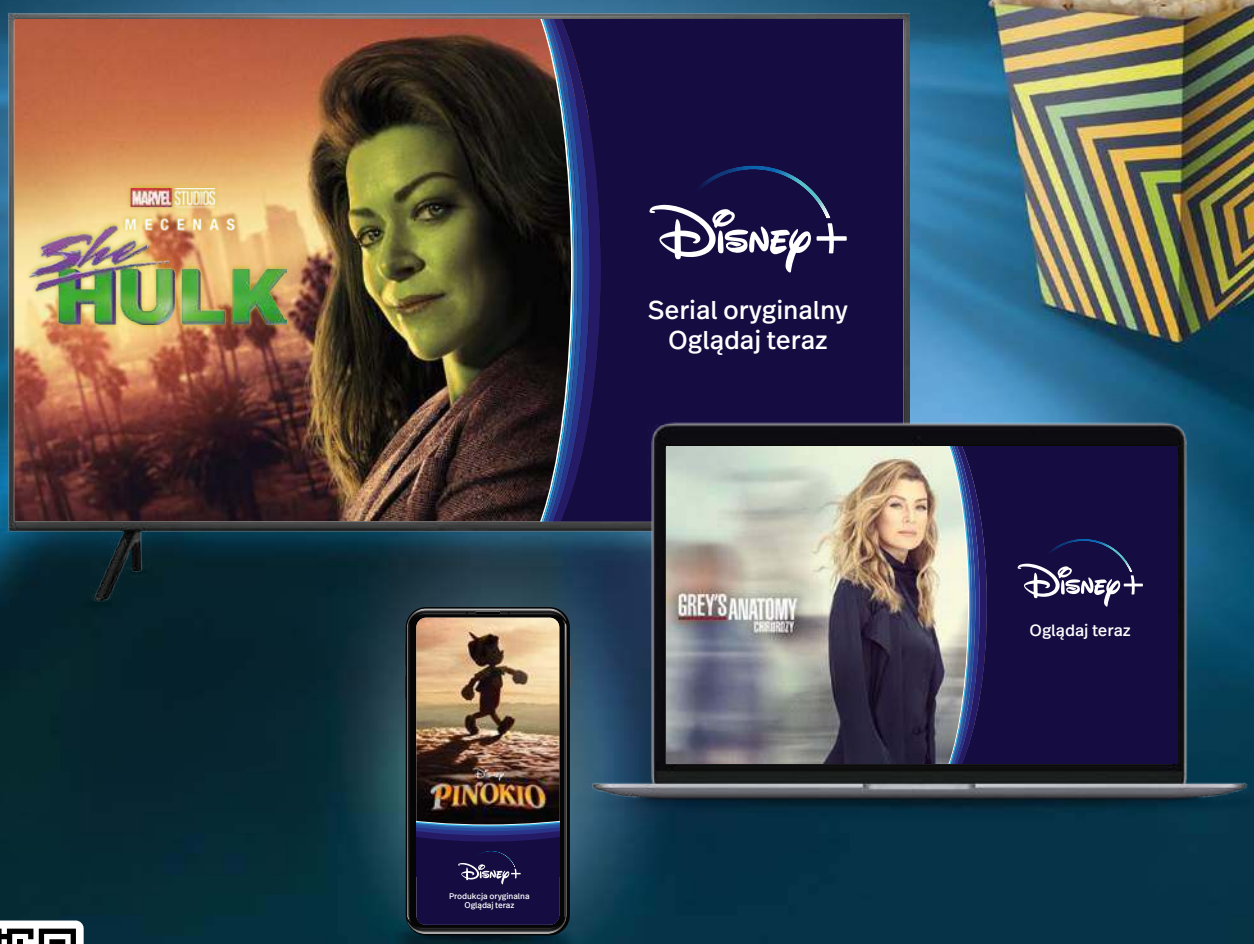

Pobierz ulotkę

polsat box

Wybierz swoje wszystko

© 2022 Disney i podmioty powiązane.

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej przy umowach od pakietu S z Disney+, z zobowiązaniem od 35 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 miesiące. Od 25 miesiąca z zobowiązaniem od 45 zł/mies. Serwis Disney+ nie jest dostępny na dekoderach. Dostawcą serwisu Disney+ jest The Walt Disney Company (Benelux) BV. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. Oferta ważna na dzień 4.10.2022 r.

eprasa.pl fb93a73578

Michał Karnowski

„Demokratyczni samorządowcy" rączek węglem nie ubrudzą?

Przypomnijmy: wskutek unijnej presji na wygaszanie górnictwa Polska przez ostatnie lata nie inwestowała w moce wydobywcze. Ubytek uzupełniano importem – także z Rosji. Wojna wymusiła jego przerwanie. Zrobiła się dziura, zwłaszcza – jak przypomniał wicepremier Jacek Sasin – w obszarze ciepłowni nadzorowanych przez samorząd, bo to one importowały najwięcej.

W tej sytuacji rząd podjął wysiłek importu z innych kierunków. To gigantyczne wyzwanie logistyczne. Stąd prośba o pomoc do samorządów, by włączyły się w proces dystrybucji węgla. Niestety, w kilku przypadkach odpowiedź była czysto polityczna: nie, bo nie. To tylko problem rządu.

Czy rzeczywiście? W mojej opinii nie możemy przyjąć tezy, że cała odpowiedzialność za walkę z rozmaitymi kosztami wojny – od problemów z energią po rosnące ceny – to wyłączna odpowiedzialność polskiego rządu. Reszta zaś ma prawo stać sobie z boku i wesoło kibicować. Ten zrecenzuje, tamten doradzi, inny zaś pan prezydent wielkiego miasta sypnie piachem w oczy i kij włoży w szprychy, kolejny będzie się zajmował rozważaniem, jak urwać łeb ministrowi.

Tę tezę wszyscy musimy odrzucić. Mamy wojnę i sytuacja jest ekstremalnie trudna, wymaga społecznej solidarności. Kto się od niej uchyla, *de facto* staje po stronie Putina i jego żołdaków. Kto nie pomaga nieść wspólnie kosztów tej wojny, a to są koszty tej wojny, niszczy solidarność polską i jedność europejską, choćby owijał się błękitnymi flagami. Ten egoizm polityczny jest dziś dla państwa polskiego i każdego z nas dużym niebezpieczeństwem, jest też zdradą walczącego sąsiada, jest podmywaniem polskiego wysiłku, by zatrzymać tyranię.

Polacy zasługują na więcej. Polacy oczekują bardziej zdecydowanych działań, także w koordynowaniu aktywności wszystkich elementów państwa. Proponowany przez niektórych model – rząd w Warszawie pracuje, reszta recenzuje – jest obrazą dla nas wszystkich. Władza lokalna nie może być – a tak ją niektórzy widzą – wyłącznie przywilejem i przyjemnością, politykowaniem i łażeniem po studiach telewizyjnych, wiecowaniem, kampusowaniem.

Przed nami ciężkie wyzwania zimowe, obok wojna z niewiadomymi scenariuszami, na świecie majaczy potężny kryzys gospodarczy, a niektórzy nasi demokratyczni samorządowcy brzydzą się ubrudzić rączki węglem. Tak dalej być nie może.

Urban uosabiał to, co najgorsze – zarówno w PRL, jak i w III RP

Jerzy Urban jest już po drugiej stronie i trudno sądzić, by było mu do śmiechu. Śmierć obnaża wszelkie błazeństwa, zdziera każdą maskę.

Ci, którzy żegnają go z sentymentem, piszą o inteligencji, ciętym piórze, skłonności do prowokacji i rozrywkowym charakterze. Z punktu widzenia spraw najważniejszych, w tym z punktu widzenia naszego narodowego i państwowego trwania, prezentował to, co najbardziej nikczemne i najbardziej szkodliwe. Był uosobieniem wszystkich plag, które spadły na nasze społeczeństwo, poczynając od 13 grudnia 1981 r.

Tak naprawdę uosabiał to, co najgorsze zarówno w PRL, jak i w III RP. Za komuny cynizm, pogardę i przemoc, po przełomie nihilizm i niszczenie najważniejszych podstaw naszego społecznego trwania.

W początkach lat 90. do swoich komunistycznych podłości dołożył kolejne, uderzając w podstawowy polski kod, głosząc panświnizm i nihilizm. W trudnych czasach bardzo brutalnych zmian ciężko pracował, byśmy wyszli z tego okresu z jak najmniejszym kapitałem społecznym. Pracował nad ostatecznym upodleniem Polaków, nad pozbawieniem ich spoiwa, tożsamości i wartości. Niestety, miał na tym polu sukcesy, z czego zresztą czerpał obfite profity.

Mijały lata, mijały dekady, ale jedno się nie zmieniało i już się nie zmieni: dobremu Polakowi nie było i nie będzie po drodze z Urbanem. Jego droga – gdyby nie napotkała oporu, gdyby została podjęta przez większość – prowadzi bowiem do śmierci Polski.

Jacek Karnowski

Reklama | 39/0322/F

eprasa.pl fb93a73578

SIECI spis treści

34 *Niepotrzebny*
Marek Pyza, Marcin Wikło

52 Nie przyjmujmy jodku potasu na własną rękę
Rozmowa Doroty Łosiewicz

67 Z Jackiem Bławutem
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **MATRIOSZKA Z CHOBIELINA**
Krzysztof Feusette

9 **UŻYTECZNY JAK KOMOROWSKI**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **ŻAŁOŚNI JAK RUSKIE REFERENDUM**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **MIĘDZY PEDAGOGIKĄ WSTYDU A APOLOGETYKĄ**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA ANITY GARGAS**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **OMNIBUS CENOWY**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ROSJA I NIEMCY CHCĄ „TYLKO" WYMIENIAĆ RZĄDY**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

20 **KTO PŁACZE PO URBANIE?**
Maciej Walaszczyk

23 **WIELKI MANIPULO**
Grzegorz Majchrzak

KRAJ

26 **Z MICHAŁEM DWORCZYKIEM**
rozmawia Jacek Karnowski

30 **KTO CHCE SFAŁSZOWAĆ WYBORY**
Stanisław Janecki

34 **NIEPOTRZEBNY**
Marek Pyza, Marcin Wikło

38 **PRACA CZY NIEWOLA?**
Konrad Kołodziejski

42 **ŻYCIE NIEOBYCZAJNE PRZY WIERTNICZEJ**
Jakub Augustyn Maciejewski

44 **TĘCZOWY PISTOLET PRZY GŁOWIE**
Goran Andrijanić

46 **NIEMCY I OPOZYCJA CHORE NA ODRĘ**
Dariusz Matuszak

WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

48 **UKRAINA SZYKUJE SIĘ NA ATOMOWY ATAK**
Marek Budzisz

52 **NIE PRZYJMUJMY JODKU POTASU NA WŁASNĄ RĘKĘ**
Rozmowa Doroty Łosiewicz

54 **POLA OBSIANE MINAMI**
Andrzej Skwarczyński

ŚWIAT

58 **RYSY NA POMNIKU**
Aleksandra Rybińska

60 **NATARCIE NA BERLIN**
Jan Rokita

OPINIE

64 **TU JEST PRAWDA**
Marcin Wikło

SIECI KULTURY

67 **Z TAKĄ ZAŁOGĄ NIE MA LĘKU**
Jolanta Gajda-Zadworna

70 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

72 **QUEER, CZYLI ODMIEŃCY**
Robert Tekieli

73 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

74 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

76 **Z PAWŁEM GRUZĄ**
rozmawiają Michał Karnowski i Maciej Wośko

PODRÓŻE

82 **MOJE SZLAKI: MIŁKA RAULIN**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

83 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

84 **KONIEC STANU WOJENNEGO…**
Hanna Karp

86 **POZNAJCIE PRAWDĘ, A PRAWDA WAS WYZWOLI**
Alina Czerniakowska

87 **SKRĘT KISZEK**
Piotr Cywiński

87 **WYŚPIEWAĆ „NĘDZĘ USZCZĘŚLIWIONĄ"**
Adam Ciesielski

88 **JARMARK WĘGLOWY**
Wiktor Świetlik

88 **FILMOWCÓW PROBLEM Z TOŻSAMOŚCIĄ**
Lech Makowiecki

89 **BALLADA O ZŁOTEJ GAŁĘZI**
Leszek Długosz

90 **INSTYNKT CZYTANIA ZAGROŻEŃ**
Katarzyna Zybertowicz

Reklama | 60/0922/F

eprasa.pl fb93a73578

Konsekwencje **stygmatyzacji**

Potępianie, odsuwanie, lekceważenie i przypisywanie pewnych cech niektórym grupom ludzi to stygmatyzacja społeczna. Oceny i piętnowania dokonuje się często bez żadnej weryfikacji rzeczywistości. Ludzie boją się tego, czego nie znają, dlatego najczęściej automatycznie przypisują temu negatywne cechy. Tak tworzą się stereotypy, które są niezwykle krzywdzące dla wielu ludzi. Konsekwencją stygmatyzacji jest odrzucenie i wykluczenie społeczne.

Stygmatyzacja ma swoje źródło w uprzedzeniach, a te wynikają z braku wiedzy lub ignorancji. Przedmiotem stygmatu społecznego jest najczęściej pochodzenie, rasa, orientacja seksualna, wykonywany zawód, niepełnosprawność czy choroba psychiczna.

Zdrowie psychiczne jest cały czas tematem tabu, więc osoby doświadczające kryzysu są najczęściej narażone na napiętnowanie. Stereotypy dotyczące chorób psychicznych określają chorych jako osoby niebezpieczne i nieprzewidywalne. W przeciwieństwie do wizyty u kardiologa czy ortopedy wizyta u psychiatry wywołuje wielkie emocje. Ludzie automatycznie szufladkują osobę szukającą tego rodzaju pomocy jako dziwną, nieobliczalną, niegodną zaufania jednocześnie odtrącając ją.

Badania na osobach z rozpoznaniem schizofrenii, dowodzą, że 97% badanych doświadczyło przynajmniej jednej sytuacji w swoim życiu, w której poczuli się stygmatyzowani. Zdecydowana większość (86%) ukrywała chorobę, a 69% doświadczyła nieprzychylnych komentarzy, obraźliwych opinii o osobach chorujących na schizofrenię. Ponad 40% odczuła, że kiedy ujawnili swoją chorobę niektórzy odsunęli się od nich.

Postrzeganie i traktowanie osoby chorej, czyli stereotypowo nazywając "innej" ma uwarunkowanie kulturowe, negatywne postrzeganie osób doświadczających kryzysu psychicznego przekazywane jest z pokolenia na pokolenie, wzmacniane ideologicznie oraz głęboko utrwalane w postawach społecznych.

Ten "inny" to z reguły ten drugi lub trzeci. Oceniamy "innego" poprzez swoje wyobrażenie o sobie samym. To my jesteśmy punktem odniesienia. Stygmatyzację potęgują również informacje jakie posiadamy o danym zjawisku, własne doświadczenie, uprzedzenia, stereotypy czy utrwalane przez kulturę, politykę, religie, poglądy na temat "innych". Im mniejsza wiedza oparta na faktach, tym większe ryzyko, że może dojść do świadomego jak i nieświadomego – odmawiania człowieczeństwa „obcym" aż do ich moralnego wykluczenia. Postrzegani są wówczas jako „psychologicznie odlegli, zbędni i nie warci uwagi, pozbawieni praw, godności i autonomii, a przede wszystkim – niezasługujący na owe prawa i godność. Są oni wykluczeni poza granice, kulturowo-społecznego kręgu, w którym obowiązują zasady społeczne i moralne. Wykluczenie moralne spowodowane jest poczuciem ogromnych różnic pomiędzy grupami, brakiem poczucia więzi, bliskości oraz podobieństwa na linii "my-oni".

Pewnym jest, że wiele osób z niepełnosprawnościami, kalectwami, osób starszych, biednych, otyłych, osób o odmiennej orientacji seksualnej, innym kolorze skóry doświadczyło w swym życiu wielu upokorzeń ze strony innych. Niepokojącym jest fakt, że naznaczenie i piętno przekreślają indywidualność człowieka, nie uwzględniają jego cech i często paraliżują możliwości jego rozwoju.

Osobom po doświadczeniu kryzysu lub chorym przewlekle często zamyka się furtki do kształcenia, rozwoju, aktywności zawodowej, pełnego uczestniczenia w życiu społecznym. Skutkiem takiej marginalizacji jest izolacja i samotność, a odrzucenie w zakresie rozwoju i aktywności może doprowadzić do bezrobocia i ubóstwa. Występowanie wciąż nowych obszarów osób lub grup stygmatyzowanych wymaga podejmowania profesjonalnych działań, które pozwolą na szybkie identyfikowanie zjawiska i określenie ich przyczyn, jak również na skuteczne przezwyciężanie ich tak, aby nie naruszały godności każdego z nas.

Czy inny znaczy gorszy? Czy cena jaką płacą „inni" nie jest zbyt wielka? Czy za cenę ich bezradności, negatywnego obrazu siebie, wdrukowanego niedostosowania społecznego i nierzadko pasma ich życiowych porażek warto podnosić własne ego?

Niech osądzą ci, którzy choć raz w swoim życiu bezpodstawnie przykleili komuś jakąkolwiek etykietę

Joanna Młodzik – terapeutka środowiskowa, pracownik socjalny w Środkowopomorskim Centrum Zdrowia Psychicznego.

www.zobaczczlowieka.pl

Ministerstwo Zdrowia | zobacz człowieka | NPZ NARODOWY PROGRAM ZDROWIA

Zadanie realizowane ze środków Narodowego Programu Zdrowia na lata 2021-2025, finansowane przez Ministra Zdrowia

eprasa.pl fb93a73578

Sygnalista nadaje

Bronisław Komorowski zabrał głos w sprawie wojny na Ukrainie. Przy wszystkich „ale" doszedł do takiej oto konkluzji: „Uważam, że korzystniej dla świata, dla Ukrainy, dla Polski, dla Europy, dla świata zachodniego byłoby to, gdyby doszło jak najszybciej do szukania rozwiązania na niwie dyplomatycznej, a nie tylko wojskowej. Ja rozumiem, że prezydent Zełenski pręży mięśnie i już się dostosowuje do tego, że prawdopodobnie Putin tę wojnę przegra. Ale jeszcze, powiedziałbym, nie należy dzielić skóry na niedźwiedziu. Niedźwiedź jeszcze żyw i hasa w lesie". Gdyby ktoś pytał, jak wyglądałaby polityka Polski wobec walczącej o życie Ukrainy, gdyby rządziła dziś u nas Platforma, ma jasną odpowiedź.

Parę dni po historycznej kompromitacji ***Radosława Sikorskiego***, który podziękował Stanom Zjednoczonym za rzekome wysadzenie gazociągów Nord Stream na dnie Bałtyku, do gry wkroczyła małżonka polityka. Anne Applebaum sięgnęła po klasyczną metodę odwracania kota ogonem. Wykorzystała do tego konferencję konserwatywnych polityków i aktywistów ze Stanów Zjednoczonych – Conservative Political Action Conference, podczas której wzywano do ograniczenia pomocy Ukrainie. „W niektórych krajach (np. w Polsce) prawica stara się ukrywać swoje związki z Rosją i podziw dla Putina. W USA już się tym nie przejmują" – oświadczyła Applebaum. Bardzo tania sztuczka. I w kontekście tego, co naprawdę robi polski rząd, także obrzydliwa.

Jerzego Urbana po stronie opozycyjnej żegnano raczej ckliwie. Waldemar Kuczyński: „Żegnam przeciwnika z czasów Solidarności i »Jaruzelszczyzny«, ale nigdy wroga. Żegnam jednego z kowali 1989 r. i kompaniona ostrej wypitki pewnego wieczoru w jego willi. Stwórca zyskał nie byle kogo". Tomasz Lis: „Urban bywał strasznie paskudny, ale pisał nieskończenie lepiej i inteligentniej niż 99,95 proc. komentujących jego śmierć. Musi mu być przykro, że finalnie wywołał tsunami grafomanii". Wszystkich przebił jednak jezuita ojciec Grzegorz Kramer: „Na serio i bez ironii. Wierzę, że Jerzy Popiełuszko powie teraz Jerzemu Urbanowi, jaka była i jest Prawda. Ufam, że będą mieli teraz dużo czasu na pogawędki". Jednak nie wypada. Bardzo nie wypada.

Zdaniem publicystki „Newsweeka" Renaty Grochal to nie Trzaskowski i nie Tusk powinni kandydować na prezydenta. Dlaczego Sikorski? „Były szef MSZ, były szef MON, czyli dwie kluczowe kompetencje prezydenta, bo prezydent ma kompetencje w polityce zagranicznej i obronności. Sikorski ma znakomite kontakty międzynarodowe. Pierwszą damą byłaby jego małżonka Anne Applebaum, publicystka, autorka książek światowej klasy i sławy. Myślę, że to byłaby taka para prezydencka, która mogłaby Polsce bardzo dużo wizerunkowo pomóc". Takiej „pomocy" Polska nie potrzebuje. Także dlatego, że mogłaby tego po prostu nie przeżyć.

Anne Applebaum nie wspomniała o Angeli Merkel, a powinna, bo była kanclerz Niemiec, a jednocześnie wieloletnia protektorka PO ponosi współodpowiedzialność za wybuch wojny. Co Merkel sądzi o rozwoju sytuacji? W najnowszej wypowiedzi oceniła, że 24 lutego 2022 r. wyznacza głęboką cezurę, ponieważ wówczas doszło do największego naruszenia zasad prawa międzynarodowego w Europie od czasów II wojny światowej. Potem dodała jednak, że w dłuższej perspektywie należy pracować nad paneuropejską architekturą bezpieczeństwa uwzględniającą również Rosję. To już nie tylko obrona własnych wyborów (fatalnych), ale coś w rodzaju uzależnienia. Młodość spędzona w NRD ma swoje głębokie konsekwencje.

eprasa.pl fb93a73578

Niemiecką niechęć do porzucenia myśli o romansie z Rosją skomentował Jarosław Kaczyński. „To, że w tym momencie Niemcy nie są zdolne do radykalnej weryfikacji swojej polityki, bo za tym kryje się nadzieja, że może uda się powrócić do polityki wiązania z Rosją, to symptom pewnego bezwładu intelektualnego elit niemieckich. Elity niemieckie najpierw nie potrafiły przeciwstawić się Hitlerowi, a gdy ten doprowadził ich do wojny [...], nie potrafiły wyeliminować Hitlera. Oczywiście obecne elity z tamtymi nie mają nic wspólnego, ale pewne cechy pozostają. Oni nie potrafią szybko weryfikować swoich poglądów, przyzwyczajeń" – mówił prezes PiS. Czy niemiecka ociężałość znów pociągnie Europę w korkociąg nieszczęść? Oby nie.

Minister edukacji i nauki zaapelował do samorządowców, by dopełnili swoich obowiązków i ogrzali szkoły. „***Panie Trzaskowski***, panie Jaśkowiak, jeśli nie będziecie rozkradać pieniędzy, które wam przekazujemy, to na pewno będziecie mieć pieniądze na ogrzewanie i prąd" – mówił Przemysław Czarnek. Prezydent Poznania odpowiedział w sposób po prostu chamski: „Na ringu urwałbym Czarnkowi głowę, widać, jaki on jest utyty i gruby. Naprawdę, panie Czarnek, jak pan chce, w każdej chwili mogę przyjechać do Warszawy na ile rund pan chce". Ta reakcja na propozycję dziennikarza, by obaj panowie stoczyli walkę bokserską, mówi wszystko o poziomie pana Jaśkowiaka. Coraz jaśniej widać, że wulgarne, uliczne kodziarstwo to po prostu lustro tzw. elit.

Minister Czarnek na prostackie zaczepki odpowiedział tak: „Pan Jaśkowiak i pan Trzaskowski to nie są samorządowcy. Nie obrażajmy samorządowców. To są partyjni funkcjonariusze Platformy Obywatelskiej akurat na tym odcinku – prezydenta Poznania czy Warszawy. Z racji, że nie znają się w ogóle na tej robocie, to tak wygląda życie w Poznaniu i Warszawie. Ale tak wybrali mieszkańcy. Mam nadzieję, że teraz widzą, że to nie był dobry wybór, a świadczą o tym fakty". Celne. To nie są samorządowcy, to funkcjonariusze, i to frontu ideologicznego, a nie aparatu. Aparatczycy z prostym zarządzaniem jakoś sobie radzili.

Prof. Radosław Markowski na antenie radia TOK FM wrócił do koncepcji delegalizacji PiS. Na jakiej podstawie? „Na podstawie deptania polskiej konstytucji. Gdyby taka partia przytrafiła się w Szwecji, Norwegii, Holandii, jakimkolwiek protestanckim kraju demokratycznym, to nigdy by taka partia nie rządziła siedem lat, bo ulica by ich zdmuchnęła, [za] takie deptanie instytucjonalne infrastruktury państwa, taką korupcję". Zdaniem Markowskiego „teraz jest to niemożliwe do zrobienia ze względu na parasol ochronny systemu. Trzeba to zrobić po wyborach". Powodzenia. Przy tak wielkich ciężarach do poniesienia – a delegalizacja wielkiej partii to ogromne wyzwanie – III RP powinna jednak uważać, by nie naruszyć sobie trwale kręgosłupa.

„Dla polskiego rządu Niemcy są czasami większym wrogiem niż Rosja. Tego chce państwowa propaganda" – tak o reparacjach, których Warszawa domaga się od Berlina, pisze dziennikarz „Gazety Wyborczej", krytyk teatralny i publicysta Witold Mrozek na łamach niemieckiego dziennika „Berliner Zeitung", w artykule zatytułowanym „Polski rząd chce zubożyć Niemcy". Otwieranie starych ran zdaniem dziennikarza „GW" nie ma sensu. Bo Polska się bogaci, korzysta z unijnego budżetu i żyje razem z Niemcami w zjednoczonej Europie. Na koniec Mrozek próbuje uspokoić Niemców, że „PiS lubi wyolbrzymiać swoje sukcesy i może się zadowolić kwotą daleko poniżej żądanych ponad 6 bln zł". Poszczególne raty mogą być niższe, ale całość musi się zgadzać. Wraz z odsetkami za zwłokę.

Mrozek dodaje: „W miarę zbliżania się wyborów parlamentarnych rządzący w Polsce populistyczny i internacjonalistyczny PiS poświęca tematowi coraz więcej miejsca. PiS od początku swoich rządów wskazywał na Niemcy jako zagrożenie. Kierując ten przekaz do starszych i mniej wykształconych wyborców, partia Kaczyńskiego stara się wykorzystać pozostałości powojennych resentymentów". Wyborcy, którzy znają skalę niemieckich zbrodni w Polsce, są lepiej, a nie gorzej wykształceni! Prosimy nie kłamać.

Prof. Rafał Chwedoruk w rozmowie z portalem wPolityce.pl: „Do stycznia lub lutego będziemy już wszystko wiedzieli. Problemem PiS nie jest deficyt społecznego poparcia, ponieważ przy tej skali zjawisk kryzysowych to można mówić o zdolności do utrzymania poparcia, co zresztą przyznają oponenci tej partii. Natomiast prócz tendencji demograficznej dochodzi pewna sprzeczność polityki zagranicznej z celami wewnętrznymi – to znaczy im dłużej będzie trwała wojna, im surowsze będą sankcje wobec Rosji, tym trudniej będzie PiS ustabilizować sytuację ekonomiczną wewnątrz kraju. Rozwiązania tej pętli nie widać". Rozwiązanie jest: w miarę szybkie zwycięstwo Ukrainy i klęska putinowskiej Rosji. Dziś to scenariusz coraz bardziej prawdopodobny.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl fb93a73578

Matrioszka z Chobielina

– ***Halo? Aniu?***
– Jes, of kors! A kto?
– ***Jabłuszko ty moje, ja ci muszę coś powiedzieć...***
– Poczekaj, bo nie słyszę... Chyba cię gubię...
– ***Nie szkodzi. I tak jestem zgubiony. Posłuchaj, sprawa jest ważna...***
– Siergiej przyjeżdża?
– ***Gorzej! On już nigdy nie przyjedzie! Chociaż będzie chciał, to nie będzie mógł, rozumiesz?!***
– A co się stało?!
– ***Aniu, ja... puściłem twitta...***
– Co popuściłeś?!
– ***Puściłem, nie popuściłem.***
– Trzmiela?
– ***Mówi się „bąka". Ale nie. Myślisz, że bym dzwonił w takiej sprawie?***
– Znając twoje ego...
– ***Aniu, ja puściłem twitta!***
– A czy to był pierwszy?
– ***Nie. Raczej ostatni.***
– Coś o stewardesach? Bo ja już ci powiedziałam: co było w samolocie, zostaje w samolocie...
– ***O wybuchach w nordstrimach.***
– Tych przez Putina zrobionych?
– ***No, właśnie... Ja napisałem... że to USA.***
– Co: USA?
– ***Wysadziły.***
– Co piłeś?
– ***Sodową! Wyłącznie! Przecież wiesz, że mi tylko sodowa uderza...***
– I ktoś uwierzył?
– ***Giertych.***
– A partia?
– ***Budka powiedział, że nie będą karać za twitta. A Donald, że to tylko ekstrawagancja i nie ma co robić z takiego błędu wielkiej polityki.***
– Czyli nic się nie stało, a ty rozpaczasz...
– ***Bo mi Ruscy już trzy razy podziękowali, a Pieskow powiedział, że Polacy po tych wybuchach wpadli w histerię z radości. A na koniec Rosja tego twitta wyciągnęła w ONZ jako dowód na terroryzm Ameryki...***
– Nie maż się. Ciebie na chwilę z oka spuścić. Czy ty nie możesz spokojnie jednej nocy usiedzieć? Wziąć kredki, pokolorować coś albo powycinać?
– ***Przepraszam...***
– No, już, dobrze. Ja mam tu kontakty w „Łożesztyngton Post", to się napisze, że mister Shekorsky to jest wery important person for de łor przeciw Raszja, więc Raszja sieje dezinformację. Ju andernstend mi? Sieją dezinformejszyn na temat twojego twittejszyn...
– ***Nie przejdzie. Trzaskowski już próbował, ale tylko pogorszył sytuację. Powiedział, że ja dziękowałem Stanom nie za atak, ale za ostrzeżenia przed atakiem.***
– No, widzisz? Można jeszcze głupiej niż ty. Coś jeszcze?
– ***Jeszcze... tylko... No, nie wiem, czy ci mówić, bo się zdenerwujesz...***
– Mów!
– ***Departament Stanu.***
– Słucham?
– ***Zapomniałem powiedzieć.***
– Że co?
– ***Departament Stanu USA stwierdził, że to musi być pochodna rosyjskiej dezinformacji...***
– Zaraz... To jak my na Florydę polecimy?
– ***No, właśnie...***
– Ale co cię pogięło, żeby takie rzeczy pisać? Od kiedy ty się zrobiłeś taki wylewny?!
– ***Już przeprosiłem...***
– Robiliście z Siergiejem rok Polski w Rosji i rok Rosji w Polsce, nic nie mówiłam. Zapraszałeś go na spotkanie z polskimi ambasadorami – milczałam. Chciałeś Rosji w NATO – trzymałam buzię na kłódkę. Lobbowałeś za bezwizowym ruchem granicznym Unii z Kaliningradem, odwracałam wzrok. Drwiłeś, gdy Kaczyńscy ostrzegali przed Putinem, do Nord Stream proponowałeś się przyłączyć, a ja wciąż udawałam, że tego nie widzę! Bo to przecież polska prawica jest zapatrzona w Putina! To oni już w kwadrans po Smoleńsku mówili, że to wina polskich pilotów i to oni twierdzą, że z Putina żaden Stalin, bo zabija detalicznie, nie hurtowo! Rozumiesz?! Oni, nie ty!
– ***To co ja mam teraz zrobić?***
– Niczego nie tłumacz. Skasuj twitta.
– ***Skasowałem. Ale najpierw tłumaczyłem. Donald mi kazał napisać, że we własnym imieniu piszę.***
– A TVN?
– ***W „Faktach" o ONZ niczego nie dali. Wiesz, im też pewnie nie jest miło. A co, jakby Biały Dom zadzwonił do amerykańskiego właściciela stacji i powiedział: Shekorsky is dilejt?***
– Nie ma wyjścia. Przyznam się do wszystkiego. A mi ufają. Tak myślę. To znaczy – ufali. Cholera, Radosław, coś ty narobił?!
– ***Do czego się przyznasz, kochanie?***
– Powiem tak: mister Bajden, zaszło nieporozumienie, to znaczy mój mąż Radek napisał „Senkju Juesej" przy zdjęciu z wybuchu gazociągów, ale to były słowa skierowane do mnie. To mi dziękował.
– ***Ale za co?***
– Za wszystko. Jak Donald Niemcom.
– ***A czemu przez Twittera?***
– Pokłóciliśmy się. O tę stewardesę i robienie łaski Amerykanom.
– ***Łaski.***
– Mówię „łaski".
– ***Usłyszałem coś innego.***
– To może ty już głosy słyszysz? Powiemy, że oszalałeś, to nas do Miami wpuszczą...
– ***Nawet tak nie żartuj. Ty mnie musisz z tego wyciągnąć. A wiesz, co jest najgorsze? Że teraz nagle kasy się czepiają. Bo podobno nie wiadomo, skąd tyle mi się nazbierało. Rozumiesz?***
– Ja? No, skąd. À propos – a skąd? Wiesz coś?
– ***Halo? Teraz ja cię gubię... Nic nie słyszę...***
– Słyszysz, słyszysz, przecież widzę, że w szafie siedzisz, bohaterze. Wyłaź i komórkę oddaj. Ale już. Oddam, jak sprawa ucichnie. A teraz pójdę i powiem, że nie pomagają Ukrainie, a te ich reparacje to jest antyniemiecka nagonka...
– ***Anka, oni w parlamencie Rosję dopisali...***
– To antyniemiecka i antyrosyjska. Antyludzka po prostu. To jest... poczekaj... to jest taniec na grobach ofiar II wojny światowej!
– ***Aż ci nóżka chodzi... Przepraszam, już nic nie mówię. Działaj, kochanie, dziękuję. Senkju, Juesej... Aua! Za co? Aua! Ratunku, służba! Pani oszalała!***

Krzysztof Feusette

eprasa.pl fb93a73578

Użyteczny jak Komorowski

Ogólnie wyszło na to, że zamiast opozycję zjednoczyć, tylko ją bardziej podzielił

Bronisław Komorowski wyznał niedawno, że wciąż chce odgrywać rolę w polskiej polityce. Była głowa państwa chciałaby jeszcze najwyraźniej poczuć się potrzebna. „Chcemy być użyteczni dla Polski demokratycznej. Jeśli znajdzie się obszar współpracy ugrupowań demokratycznych, to jesteśmy gotowi na współpracę" – powiedział o sobie i Aleksandrze Kwaśniewskim były prezydent.

I od razu podzielił opozycję. Poszło o zaproszenie na konferencję, której patronowali dwaj byli prezydenci, Jarosława Gowina. W tej sprawie miał się Bronisław Komorowski „położyć Rejtanem" i uprzeć bez szans na zmianę zdania. Włodzimierz Czarzasty wyznał, że może i siedział obok Jarosława Gowina, ale się nie cieszył, Władysław Kosiniak-Kamysz także siedział obok i on się dla odmiany cieszył, bo chciałby iść z byłym wicepremierem do wyborów na wspólnej liście. Nie cieszył się dla odmiany Donald Tusk, który zawyrokował, że to nie Jarosław Gowin będzie rozliczał, ale raczej będzie rozliczany. Sam zaś Gowin oświadczył, że jest w stanie sobie wyobrazić polityków Porozumienia w przyszłym rządzie opozycji, czego zdecydowanie nie jest sobie w stanie wyobrazić większość opozycji. Ogólnie wyszło na to, że Bronisław Komorowski, zamiast opozycję zjednoczyć, tylko ją bardziej podzielił, więc jego użyteczność w kwestii jednoczenia okazała się wątpliwa.

Podobnie zresztą jak rady dla prezydenta Ukrainy. Zadowolony z siebie Komorowski zapytany w radiu o deklarację Wołodymyra Zełenskiego, że nie będzie żadnych rozmów z Władimirem Putinem, przypomniał, że jeszcze parę miesięcy temu prezydent Ukrainy mówił, że jest gotów z prezydentem Rosji rozmawiać. Co więcej, Komorowski, który miał przegrać powtórną elekcję na prezydenta tylko w sytuacji przejechania na pasach niepełnosprawnej zakonnicy w ciąży, a poradził sobie znakomicie bez tego incydentu, stwierdził, że opowiada się za gotowością rozmawiania o warunkach pokoju, w tym także bezpieczeństwa Ukrainy, nawet z Putinem. Ale nie był to koniec rad: „Uważam, że korzystniej dla Ukrainy, dla Polski, dla Europy, dla świata zachodniego byłoby, gdyby doszło jak najszybciej do szukania rozwiązania na niwie dyplomatycznej, a nie tylko wojskowej. Ja rozumiem, że prezydent Zełenski pręży mięśnie i już się dostosowuje do tego, że prawdopodobnie Putin tę wojnę przegra. Ale jeszcze, powiedziałbym, nie należy dzielić skóry na niedźwiedziu. Niedźwiedź jeszcze żyw i hasa w lesie" – dorzucił radośnie Komorowski. I po tych słowach należałoby już nigdy więcej nie pytać go, co myśli w jakiekolwiek innej sprawie.

Niestety, nie odmówił sobie Bronisław Komorowski także przyjemności skomentowania głośnego i skandalicznego tweeta Radosława Sikorskiego, w którym ten sugerował, że to USA stoją za uszkodzeniem gazociągu Nord Stream. Oczywiście dołączył do chóru stających w obronie polityka PO. Na antenie Polsat News stwierdził, że „to wyścig na newsy, na dowcip". Ale nie poprzestał na tym. Broniąc Sikorskiego, który przecież zagroził bezpieczeństwu całego regionu, uderzył w prezydenta Andrzeja Dudę, mówiąc, że i jemu zdarzyło się przedziwne korespondowanie: „Tweetowanie z jakimiś panienkami o różnych dziwnych nazwach – »Foka« czy »Foczka«, »Leśne Porzekadło« czy coś takiego". Komorowski dodał: „W polityce niekoniecznie łatwe korzystanie ze zdobyczy technicznych zapewnia sukces. Czasami jest zagrożeniem".

Po tych słowach trudno oprzeć się wrażeniu, że największym zagrożeniem dla samego siebie jest Bronisław Komorowski, któremu ktoś da nieograniczony dostęp do mikrofonu.

„Pożyteczny idiota" – mówi się o osobie, która kierując się własnymi poglądami i szlachetnymi intencjami, działa nieświadomie na rzecz czyichś interesów politycznych. „Użyteczny jak Komorowski" już niedługo będziemy mówić o kimś, kto próbując pomóc, często zaszkodzi.

Dorota Łosiewicz

Przedszkole LGBT+

W berlińskiej dzielnicy Schöneberg powstaną na wiosnę 2023 r. aż dwa przedszkola dla gejów i lesbijek – donosi niemiecki brukowiec „Bild". Będą się one mieściły w wielopokoleniowym budynku mieszkalnym przeznaczonym dla osób LGBTI – czyli lesbijek, gejów, osób biseksualnych, transpłciowych i interseksualnych. W Różowym Tygrysie i Żółto-Zielonej Panterze dzieci będą się uczyć, jak to jest, gdy ma się odmienną orientację seksualną. „Będziemy mieli książeczki dla dzieci jak każde inne przedszkole, tyle że w niektórych z nich książę poślubia księcia" – zachwala nowe placówki Marcel de Groot, dyrektor stowarzyszenia Poradnia dla Homoseksualistów Berlin (Schwulenberatung Berlin), które sprawuje pieczę nad przedszkolami.

W tej chwili są poszukiwani wychowawcy dla dzieci. „Muszą albo sami należeć do społeczności LGBTI, albo dobrze znać się na temacie" – mówi de Groot. Według niego dzieci nie muszą jeszcze wiedzieć, czy są gejami, czy lesbijkami. „Skontaktowali się z nami rodzice, których syn lubi nosić na urodziny sukienkę i spinki do włosów. Mają nadzieję, że spotka się to u nas z większą akceptacją niż w poprzednim przedszkolu" – zaznacza dyrektor stowarzyszenia.

Projekt budzi jednak kontrowersje. W zarządzie stowarzyszenia zasiada bowiem socjolog Rüdiger Lautmann, zdaniem krytyków propagator pedofilii. Lautmann wydał w 1994 r. książkę pod tytułem „Pożądanie dziecka" (Die Lust am Kind), która miała służyć – według autora – większemu zrozumieniu osób o skłonnościach do dzieci. W książce czytamy m.in.: „Miłośnikom dziewczynek trudniej jest niż innym ludziom przedstawiać swoje skłonności w sposób wiarygodny i je nazwać". W latach 70. Lautmann lobbował za zniesieniem par. 176, który przewiduje karę dla osób uprawiających czynności seksualne z dziećmi poniżej 14 lat. Dziś jako członek SPD lobbuje za możliwością zmiany płci u dzieci od 7. roku życia. On sam nie uważa się oczywiście za pedofila, ale za kogoś, kto próbował zrozumieć tych, którzy molestują dzieci oraz opisać ich zachowania. W 1997 r. był członkiem Grupy Roboczej ds. Seksualności Ludzkiej, która wydała broszurę „Dziecko i seksualność". W niej pisał m.in.: „Czujemy się zobowiązani ostrzegać przed kontaktami seksualnymi między dziećmi i dorosłymi, nawet jeśli w zasadzie je popieramy".

Po tym jak informacja o powiązaniu Lautmanna z planowanymi przedszkolami trafiła do mediów, Senat Berlina postanowił się bliżej przyjrzeć projektowi. Z jakim skutkiem, to się okaże.

Aleksandra Rybińska

Niestabilna równowaga

To była dość niezwykła scena jak na standardy demokracji, ale nie w przypadku Bośni i Hercegowiny. Niemiecki polityk Christian Schmidt, pełniący funkcję wysokiego przedstawiciela dla Bośni i Hercegowiny, zapowiedział w obecności mediów zmiany w ordynacji wyborczej i konstytucji tego kraju. Zrobił to w dniu wyborów 2 października, w chwili, gdy głosy obywateli były jeszcze wciąż liczone.

Nowelizacja ogłoszona przez Schmidta ma dotyczyć Izby Narodów w parlamencie Federacji BiH, jednej z dwóch części składowych Bośni i Hercegowiny zamieszkałej głównie przez Serbów i Bośniaków (drugą częścią jest Republika Serbska, w której przeważają Serbowie). Chodzi o ważne zmiany proceduralne mające uchronić Chorwatów przed zdominowaniem przez Bośniaków. Nic więc dziwnego, że zapowiedzi Schmidta zostały przyjęte z aprobatą Chorwatów oraz krytyką Bośniaków, choć jest jasne, że są zgodne z konstytucją oraz zasadami równości trzech narodów tworzących Bośnię i Hercegowinę.

Same wyniki wyborów parlamentarnych nie przyniosły większych niespodzianek. Parlamenty obu części składowych państwa, a więc Federacji Bośni i Hercegowiny oraz Republiki Serbskiej, pozostały zdominowane przez te same co wcześniej partie narodowe: Bośniacką Partię Akcji Demokratycznej (SDA), Serbską Narodową Partię Demokratyczną (SNDS) i Chorwacką Wspólnotę Demokratyczną (HDZ-BiH). Jedyną nowością jest zmiana na stanowisku bośniackiego członka Prezydium BiH (kolegialny organ będący głową państwa, składający się z trzech przedstawicieli grup narodowościowych). Miejsce lidera SDA Bakira Izetbegovicia zajął kandydat partii lewicowych oraz centrum Denis Bećirović.

Największe emocje budzi jednak chorwacki członek tego gremium Željko Komšić, który jako Chorwat z Sarajewa został wybrany głosami Bośniaków, a nie Chorwatów (i realizuje politykę w interesie swoich bośniackich wyborców).

Bośnia i Hercegowina

Chorwaci twierdzą, że jest to sprzeczne z porozumieniem z Dayton oraz konstytucją Bośni i Hercegowiny, a ich stanowisko potwierdza również orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego BiH z 2016 r., które mówi, że przedstawiciele narodów konstytucyjnych muszą być wybierani przez swoje nacje.

Schmidt postanowił jednak nie dotykać tego gorącego tematu. Przynajmniej dopóki wszystko pozostaje jeszcze pod kontrolą.

Goran Andrijanić

Fot. shutterstock x2

eprasa.pl fb93a73578

Fot. Andrzej Skwarczyński

Bułgaria

Zwycięzca w izolacji

W Bułgarii odbyły się już czwarte w ciągu 18 miesięcy wybory parlamentarne, które – jak wiele na to wskazuje – wcale nie ustabilizują sytuacji w tym bałkańskim kraju. Wygrał je były premier Bojko Borisow (na fot.) i jego centroprawicowa formacja GERB, która należy do międzynarodówki chadeckiej EPL. Borisow był w przeszłości oskarżony o korupcję na wielką skalę, co doprowadziło do upadku jego rządu w 2021 r. i zatrzymania rok później. Teraz powraca do gry, ale zdobywając niewiele ponad 25 proc. głosów, będzie zmuszony rządzić w koalicji. Z pewnością nie wejdzie do niej formacja byłego premiera Kiriła Petkowa, która zdobyła drugie miejsce z 20,2 proc. głosów i w swojej kampanii akcentowała konieczność walki z korupcją. Trzy kolejne partie to Ruch na rzecz Praw i Wolności reprezentujący Turków, skrajnie nacjonalistyczne i prorosyjskie Odrodzenie oraz Partia Socjalistyczna, z której wywodzi się urzędujący prezydent Rumen Radew. Obserwatorzy zwrócili uwagę na fakt, że frekwencja wyborcza, nawet jak na bułgarskie realia, była bardzo niska i nie osiągnęła nawet 40 proc. W wyborach wzięło udział 2,5 mln osób, a niemal 90 tys. głosujących wybrało opcję „nie popieram żadnej partii".

O nastrojach panujących na bułgarskiej scenie politycznej świadczy niedawne oświadczenie prezydenta Radewa, który powiedział, że jest przeciw przyjęciu Ukrainy do NATO i opowiada się za jej neutralnością oraz szybkim rozpoczęciem rokowań pokojowych z Rosją. Z kolei Kostadin Kostadinow, lider nacjonalistycznego Odrodzenia, formacji, która jest dziś wyraźnie „na fali" i podwoiła w tych wyborach liczbę posiadanych mandatów, zapisał się w pamięci wezwaniami, by Bułgaria wystąpiła z Unii Europejskiej i NATO oraz związała się z Rosją.

Mimo wygranej Borisow znalazł się w trudnej sytuacji. Jeśli chciałby utworzyć stabilny rząd, to musiałby stać się zakładnikiem formacji prorosyjskich. Jednak socjaliści i nacjonaliści już oświadczyli, że nie wejdą do ewentualnego rządu Borisowa, trudno też oczekiwać, by antykorupcyjna formacja premiera Petkowa, która wygrała poprzednie wybory, ostro krytykując wieloletnie rządy lidera GERB, zdecydowała się teraz na współrządzenie. Wiele więc wskazuje na to, że bułgarska centroprawica, która raczej nie zdecyduje się na otwarty sojusz z partią reprezentującą mniejszość turecką, będzie miała poważne problemy z zawiązaniem stabilnej koalicji. Może to oznaczać, że niedługo będziemy mieć do czynienia z kolejnymi, piątymi już przedterminowymi wyborami albo sformowany gabinet nie będzie w stanie inicjować niezbędnych zmian w tym najbiedniejszym i szybko się wyludniającym kraju Unii Europejskiej.

Marek Budzisz

Fot. shutterstock

Nowa Zelandia

Eutanazja dobra na COVID-19

Kiedy pięć lat temu 37-letnia Jacinda Ardern zostawała premierem Nowej Zelandii, niewielu obywateli przypuszczało, jak bardzo zmieni ona oblicze ich kraju. Przewodnicząca Partii Pracy, deklarująca się jako feministka, doprowadziła do wielu zmian zgodnych z nakazami poprawności politycznej, m.in. zrównała prawnie pary homoseksualne ze związkami małżeńskimi, rozszerzyła znacznie zakres obowiązywania prawa aborcyjnego, a także zalegalizowała eutanazję i wspomagane samobójstwo.

W przypadku tej ostatniej ustawy użyto sformułowania „wspomagane umieranie", co sugeruje, że dotyczy ona osób umierających. Konkretny zapis prawny mówi, że można przyspieszyć zgon tylko osobom, których życie zakończy się „prawdopodobnie" w ciągu sześciu miesięcy. W rzeczywistości jednak niemożliwe jest dokładne przewidzenie śmierci pacjenta, o czym wielu lekarzy przekonało się w trakcie własnej praktyki zawodowej.

Wspomniana ustawa gwarantuje szybkie wykonanie usługi: lekarz może uśmiercić pacjenta już po czterech dniach od skierowania do niego prośby. Za każdy taki „zabieg" doktor otrzymuje 1 tys. dol. nowozelandzkich (niecałe 600 euro).

Zaniepokojony łatwością wykonywania eutanazji redaktor portalu The Defender Henoch Kloosterboer zwrócił się do ministerstwa zdrowia z prośbą o wyjaśnienie, czy wspomniana ustawa obejmuje także osoby chore na COVID-19 lub takie, które cierpią „nie do zniesienia" z powodu konsekwencji zarażenia koronawirusem. W odpowiedzi resort odpisał, że „w niektórych okolicznościach osoba z COVID-19 również może kwalifikować się do wspomaganego umierania". Według ministerstwa decyzję o zakwalifikowaniu pacjenta do uśmiercenia powinien zawsze podejmować lekarz, indywidualnie oceniając każdy przypadek.

Tego rodzaju interpretacja prawa otwiera drogę przed kolejnymi sytuacjami pozwalającymi zabijać ludzi, których można byłoby uratować. Zamiast walczyć o życie pacjentów, lekarze coraz częściej je przerywają. Oczywiście – jak argumentują – robią to dla dobra chorego.

Grzegorz Górny

eprasa.pl fb93a73578

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Żałośni jak ruskie referendum

Jan Pietrzak

Wychynęła z emeryckiej niszy była kanclerka Rzeszy, patronka Putina, powiernica Tuska, chrzestna matka Nord Streamu, po to by ogłosić, co jej przyszło do głowy. M.in. że nie należy myśleć o przyszłości Europy bez udziału Rosji. Po pół roku niszczenia Ukrainy przez Rosję pani Angeli nie obchodzi sytuacja mordowanego narodu, lecz z głęboką troską pochyla się nad losem umęczonych barbarzyńców. Kuriozalna postawa, wynikająca z nieznanych nam zobowiązań i ze znanej powszechnie sympatii dwóch imperializmów: moskiewskiego z berlińskim. Potrafią oni, Niemcy i Rosjanie, wiele sobie wybaczyć. Zwłaszcza okradanie i mordowanie innych nacji.

Wielokrotnie przez stulecia dotyczyło to Polaków. Tym razem przytrafiło się Ukraińcom. Toteż przez pierwsze dni po lutowej inwazji zaskoczenie było olbrzymie. Opór Ukrainy i wola zdecydowanej walki z agresją przekroczyły wyobraźnię agresora i jego cichych wspólników. Do furii doprowadziła Niemców natychmiastowa reakcja polskiego społeczeństwa i rządu, niosąca humanitarną pomoc uchodźcom i wsparcie ukraińskiej armii sprzętem z naszych rezerw strategicznych. Blokowanie należnych Polsce funduszy z Brukseli przybrało formę odwetu za nieposłuszeństwo wobec unijnej, czyli niemieckiej, administracji. Sankcje na Polskę, przykładając stosowne proporcje, są podobne do tych, którymi ukarała Rosję pani von der... itd.

Do tych sankcji należy doliczyć straty wynikające z antypolskich działań stronnictw rosyjskiego i niemieckiego. Całkiem jawnie, za pomocą swoich mediów, polityków, bojówek, prowadzą wściekłą batalię z polskością, na jakimkolwiek by polu się pojawiła. Nieustannie szukają konfliktu i awantury. Ich narzędzia dywersji to dezinformacja i prowokacje. Przykładem z ostatnich tygodni jest niby-sarkastyczna uwaga Sikorskiego związana z wybuchami gazociągów na dnie Bałtyku: „Thank you, USA". To bez złudzeń, świadoma wrzutka mająca zaszkodzić Polsce. Natychmiast odezwali się rzecznicy osławionego Radka, broniąc go głupiej, niż przewidują normy. Żona też pospieszyła z niemądrą pomocą. Ta parka pozująca na światowców to klasyczne dyplomatołki. Bullshit kompletny. Żałośni jak ruskie referendum.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Media psieją, świat psieje

Dominik Zdort

Tym razem temat będzie mocno niszowy, co więcej *pro domo sua*, czyli o edytorach i redaktorach, jak zwał, tak zwał. O ludziach, którzy zajmują się przede wszystkim poprawianiem tekstów przysłanych przez autorów do redakcji. Niekiedy wręcz ich pisaniem na nowo – my, edytorzy, znamy autorów o wielkich nazwiskach, którzy potrafią zamiast tekstu przysłać „sałatkę". Trzeba ją zrozumieć, przepisać ludzkim językiem, a nawet znaleźć i poprawić błędy faktograficzne.

Ale tym razem nie o poprawianiu tekstów, ale o „drugiej linii" pracy redaktorów, czyli o „wlewaniu" tekstów na kolumny i w szpalty (laicy niech sobie wygooglują nomenklaturę). Kiedy byłem reporterem, lekceważyłem tę część edytorskiej roboty, kiedy sam zostałem edytorem, zacząłem rozumieć, że to swego rodzaju sztuka. Że obowiązują w niej pewne zasady estetyki, które powodują, że jedne gazety da się czytać z przyjemnością, a inne tylko z obowiązku.

Problem w tym, że wraz ze stopniowym zanikiem czytelnictwa także dbałość redaktorów o te zasady i estetykę zanika. To pewnie jest współzależne. Czym mniej ludzi nas czyta, tym mniej się staramy, żeby teksty im podawać ładnie i czytelnie. Pauperyzacja mediów powoduje, że doświadczonych redaktorów zastępują marni wyrobnicy, a ci doświadczeni, którzy zostają, są gorzej opłacani, więc nie chce im się starać.

O co chodzi? O proste rzeczy. Żeby śródtytuły nie były na samym dole ani na samej górze szpalty, żeby się nie sklejały z ilustracjami. Żeby (to kiedyś był grzech śmiertelny, dziś nawet się z niego nie trzeba spowiadać) w tekście nie było szewców (samotny wers na końcu szpalty) i bękartów (samotny wers akapitu na początku łamu), wdów (zbyt krótki tekst na końcu akapitu) i sierot (samotny ostatni wers akapitu na początku szpalty).

Te wszystkie grzechy – powszednie i śmiertelne – popełniają dziś edytorzy prestiżowych dzienników i tygodników, lewicowych i prawicowych, nawet tego, na którego łamach mam zaszczyt pisać te refleksje. Sam jako redaktor w tygodniku walczę o jakość, o to, by na (bardziej umownych) internetowych łamach i szpaltach dbać o to, by raczej było ładnie i by było miło nas czytać.

Wiem, to pewnie mało zrozumiały i niszowy problem. Niedostrzegalny już świadomie przez przeciętnego czytelnika. Brzydota już nie drażni, niechlujstwo mało komu przeszkadza. Więc może po prostu cały świat psieje?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl fb93a73578

BRONISŁAW WILDSTEIN

Między pedagogiką wstydu a apologetyką

Film „Orlęta. Grodno '39" nie jest zły. Co nie znaczy, że nie można mu niczego zarzucić. Jest jednak atakowany ze względów światopoglądowych, a wykazywanie ewentualnych realnych lub insynuowanych niedociągnięć służy jedynie uzasadnieniu politycznie założonej tezy. To, że gromiony jest z obu stron cywilizacyjnej wojny, można by uznać za jego sukces. Bo jest to chyba pierwszy film, który pokazuje prawdziwe zderzenie kultur w II RP i jednocześnie atrakcyjność oraz siłę asymilacyjną polskości. To pierwsze wywołuje protest prawicy, drugie – jej przeciwników.

Felieton ten nie jest ani recenzją, ani nawet omówieniem „Orląt". Chodzi mi o reakcje prawej strony sceny politycznej, bo wskazywanie, że lewica nie potrafi zaakceptować filmu, który pokazuje pozytywne strony naszej narodowej tradycji, a nawet polski heroizm, jest rzeczą banalną.

Bohater, 12-latek, polski Żyd zafascynowany „Krzyżakami" Henryka Sienkiewicza, chce grać w szkolnej inscenizacji Zbyszka z Bogdańca. Trudno mu przyjąć do wiadomości, że do tej roli nie pasuje. Wszystko dzieje się w mieście, gdzie liczba Żydów zbliża się do 40 proc., a więc napięcia między nimi a polską większością, z którą dzieli ich religia, obyczaj, język i ogólnie kultura, siłą rzeczy kumulują się i wybuchają. Mają także wymiar ekonomiczny. Polskie nacjonalistyczne bojówki usiłują siłą wyeliminować obcych konkurentów – ci, broniąc się, nie ustępują swoim przeciwnikom w brutalności. Wszystko to odnajdujemy w filmie tak jak komunizm, który obiecuje świat bez podziałów, czym przyciąga niektórych Żydów do kolaboracji z Sowietami, a nawet jawnej zdrady, którą jest współdziałanie z okupantami i strzelanie w plecy polskim obrońcom Grodna. To są jednak skrajne postawy. Większość Polaków i Żydów żyje obok siebie, obserwując się z nieufnością, która zwykle nie przekracza granicy agresji. Nawet polscy nacjonaliści usiłują ratować znajomych Żydów, do których na co dzień nie żywią sympatii.

Instytucje takie jak szkoła realnie służą integracji, czego przykładem jest bohater, chociaż niektóre z nich, jak harcerstwo, stawiają przed Żydami bariery. Tę mieszaninę postaw i sytuacji „Orlęta" pokazują bez przekłamań. Oglądamy je naiwnymi oczyma 12-latka. Nie w pełni rozumie on napięcia, których pada ofiarą, kiedy z gwiazdą Dawida wędruje do katolickiego kościoła, budząc dość oczywiste oburzenie modlącej się Polki. Spontanicznie przyjmuje heroiczny etos i dopełnia go w obronie wspólnego miasta. Zgodnie z historyczną prawdą wielką rolę w budowaniu tego typu postaw miał właśnie Sienkiewicz.

Te wątki powodują, że lewicowi strażnicy pedagogiki wstydu muszą uznać odważny i ciekawy scenariusz za nieudany, a film za „produkt patriotycznopodobny". Przygnębiające jednak jest to, że i ich przeciwnicy wpisują się w napisane dla nich role. Obruszają się, że bohaterem filmu o obronie Grodna jest Żyd, a pokazanie przez twórców realnego antysemityzmu, który wówczas funkcjonował, wywołuje ich niekłamane oburzenie. „Tyle razy to wdzieliśmy" – czytam i nie mogę wyjść ze zdumienia. Jeśli widzieliśmy już coś, czy oznacza to, że nie mamy tego już pokazywać? Przedstawiając określony okres historyczny, mamy wyeliminować to, co było już zademonstrowane? Przecież to absurd, który prowadziłby do zniekształcenia obrazu prezentowanego świata. Wyobraźmy sobie dzieło o okupacji, z którego twórcy wycinaliby to, co „tyle razy już oglądaliśmy".

Atrakcyjność polskiej kultury polegała na tym, że potrafiła wchłaniać innych, co w filmie zostało wypunktowane. Zżymanie się, że jego bohaterem jest Żyd, którego polskość przyciąga, ze strony jej „obrońców" jest absurdem.

Grodno było stosunkowo typowym miastem na wschodnich rubieżach Polski z jej kulturową i etniczną mieszanką oraz generowanymi przez nią konfliktami. Sowieci próbowali je wykorzystywać, co tylko częściowo się im udawało. I to zostało w „Orlętach" pokazane bez znieczulenia. Zarówno antysemityzm, jak i kolaboracja części lewicowych Żydów z Sowietami oraz zbrodnicza bezwzględność najeźdźców.

Antysemityzm II RP jest ahistorycznie używany dla dezawuowania polskości przez pedagogikę wstydu. Odpowiedzią na to nie może być ani apologetyka, ani tym bardziej usprawiedliwianie go polonofobią, która w środowiskach żydowskich również występowała. Właściwą reakcją na skandaliczne oskarżenia Polaków o udział w Holokauście nie jest przedstawienie naszego narodu jako wspólnoty aniołów i bajeczki o milionach rodaków, którzy za cenę życia ratowali Żydów. Chyba najbardziej bezstronny znawca tego zagadnienia, prof. Grzegorz Berendt, wylicza ich na kilkadziesiąt tysięcy. Biorąc pod uwagę warunki, nie ma się czego wstydzić. Odpowiedzią na pedagogikę wstydu nie jest apologetyka, ale prawda. To ona nas wyzwoli.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fb93a73578

Walizka Anity Gargas

dziennikarki śledczej

Dziennikarskiego śledztwa nie da się poprowadzić zza biurka, dlatego z walizką praktycznie się nie rozstaję. Mam duże szczęście, że prywatnie uwielbiam podróżować, więc wyjazdy mnie nie nudzą ani nie męczą, przeciwnie – za każdym razem staram się wycisnąć z nich jak najwięcej. Po dniu wypełnionym dziennikarską pracą i zdjęciami późne spacery po nowych miejscach pozwalają mi odpocząć i naładować baterie na następny dzień. Szukam wtedy zakątków, do których będę chciała wrócić w wolnych chwilach. W czasie podróży służbowych zdarzają się także magiczne chwile. Na przykład w Gdańsku, w okresie, gdy jeszcze nie zniesiono wszystkich ograniczeń związanych z pandemią, ekipa „Magazynu śledczego..." zmęczona zdjęciami poszła do hotelu, a mnie ciągnęło na zazwyczaj gwarne do białego rana Stare Miasto. Okazało się, że było kompletnie wyludnione. Byłam zupełnie sama na pustym, ale rzęsiście oświetlonym Długim Targu. Zrobiłam tam podręczną kamerą jedne z najbardziej klimatycznych ujęć w życiu.

STAROCIE

Urzekają mnie pchle targi i targi staroci. Dokądkolwiek jadę, służbowo czy prywatnie, staram się wygospodarować trochę czasu, by odwiedzić takie miejsce. Szukam głównie polskich przedmiotów sprzed wojny po okazyjnych cenach, nie gardzę destruktami. Już nieraz udało mi się na jednym końcu Polski trafić na przepiękną porcelanową filiżankę za symboliczną złotówkę, a np. na bazarku w Wilnie pasujący do niej talerzyk – więc w drodze do domu zdarza się, że zawartość mojej walizki robi się bardziej retro.

KOLCZYKI

Często oprócz porcelany na pchlich targach wypatruję oryginalnych kolczyków. Wożę z sobą dwie, trzy zapasowe pary. Ostatnio w czasie zdjęć do „Magazynu śledczego..." zaginęły moje najbardziej ulubione, które miały dla mnie wartość sentymentalną. Może zgłosi się ktoś, kto je znalazł?

LASOTAŚMA

Ten, kto spędził na planie zdjęciowym choć jeden dzień, wie, że jest to absolutnie podstawowe i absolutnie niezbędne narzędzie pracy filmowca.

eprasa.pl fb93a73578

KARTY DO GRY

Praca dziennikarza śledczego wymaga cierpliwości. Długie godziny oczekiwania na rozmówcę umilam sobie partyjką brydża albo przynajmniej pasjansem. Tego ostatniego nie zastąpi aplikacja w telefonie komórkowym, musi być stawiany tradycyjnie.

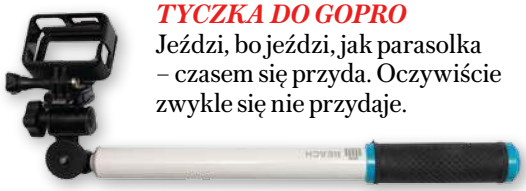

TYCZKA DO GOPRO

Jeździ, bo jeździ, jak parasolka – czasem się przyda. Oczywiście zwykle się nie przydaje.

SCYZORYK WIELOFUNKCYJNY

W duecie z lasotaśmą rozwiąże każdy problem. W komplecie oczywiście zawiera otwieracze.

KABANOSY

W trakcie zdjęć nie zawsze jest możliwość zjedzenia ciepłego posiłku. Czasem praca przeciąga się do późnych godzin i ani sklepy, ani restauracje już nie pracują – dlatego kabanosy zawsze warto mieć pod ręką.

APASZKI

Mam ich sporą kolekcję i zawsze mi towarzyszą. Dzięki temu szybko mogę zmieniać stylizację – w nieoczekiwanych oficjalnych sytuacjach odpowiednia apaszka czy szal potrafi umiejętnie zastąpić elegancką bluzkę.

KSIĄŻKI HISTORYCZNE

Ostatnio przeglądam wszystko, co jest związane z epoką Jana III Sobieskiego. Odnalezione niedawno przez badaczy listy królowej Marysieńki do synów czyta się rewelacyjnie.

WODOODPORNE ETUI NA KARTY PAMIĘCI

Pozwala mi mieć pewność, że efekty naszej pracy bezpiecznie trafią na montaż. Każdy reporter i operator „Magazynu śledczego..." zabiera takie na wyjazdy.

KALENDARZYK

Z niezbędnymi terminami spotkań i adresami. I pomysłami na następne odcinki „Magazynu śledczego Anity Gargas".

LITERATURA FAKTU

Źródło wiedzy i inspiracji. Na przykład „Szpiedzy, których przyniosło ocieplenie" przydało się nam podczas realizacji programu o rosyjsko-niemieckiej finansowo-polityczno-agenturalnej sztamie. Długie podróże pozwalają nadrabiać zaległości w czytelnictwie.

SPRZĘT SPORTOWY

W ostatnim czasie jest to wyposażenie każdego mojego wyjazdu prywatnego. Uwielbiam grać w badmintona. Stawiam też pierwsze kroki w squashu i tenisie.

Wysłuchał
Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fb93a73578

OGNIEM NA WPROST

„Czerwona kalina” i kalesony

Sytuacja na froncie. Odcinek słobodziański. Płynie tam rzeka Oskoł. Z północy na południe. Kilkanaście kilometrów na zachód równolegle do niej przebiega granica obwodu charkowskiego z bantustanem Ługandy (tzw. Ługańskiej Republiki Ludowej). Ukraińcy wypchnęli Moskala do samej linii granicznej i siły, które przekroczyły Oskoł na południu, połączyły się z wojskami idącymi z północy po opanowaniu Kupiańska. Charkowszczyzna jest już wolna i dzicz, zamiast wiać za Ural, gdzie jej miejsce, kombinuje, jak utrzymać teraz Ługandę. A to zadanie nie jest łatwe. Jedna ekipa Sił Zbrojnych Ukrainy – ta znad rzeki Oskoł – idzie na Starobielsk, a ci, którzy dali Ruskom w skórę w Iziumie, posuwają się równolegle na wschód południową trasą. Wszystko po to, żeby odciąć od północy Siewierodonieck i Lisiczańsk, czyli miasta, o które armia Putina biła się ponad dwa miesiące.

Odcinek siewiersko-bachmucki. Tam wagnerowcy dalej walą głową w mur, usiłując od miesięcy zdobyć Bachmut, ale im jakoś nie idzie. Zwraca uwagę kompletny brak koordynacji między sąsiadującymi zgrupowaniami Moskali (dwa różne dowództwa). Jedni zwiewają na wschód Ługandy, a drudzy tłuką się pod Bachmutem, usiłując się posuwać w przeciwnym kierunku. Nikt nie wie, po co. Widać – czekają, aż ich wojska Zełenskiego przeskrzydlą.

Odcinek chersoński. Tam dopiero się dzieje. Łomot na całego. Front przerwany, czołgi z symbolem tryzuba zbliżają się do Chersonia zarówno od północnej strony, jak i od zachodniej. Kacap potworzył we wsiach punkty oporu i jest kwestią najbliższego czasu, kiedy cała ta ruska układanka na przyczółku chersońskim po prawej stronie Dniepru rozsypie się jak domek z kart. A nowo mianowany kierownik imprezy, czyli gubernator z nadania Kremla, niejaki Wołodymyr Saldo, trafi w łapy Ukraińców i może starym, kozackim zwyczajem skończy nanizany na pal.

Miss Krymu Olga Walejewa z koleżanką (obie Rosjanki) wrzuciły do sieci filmik, na którym śpiewają „Czerwoną kalinę” – pieśń ukraińskich Strzelców Siczowych z I wojny światowej. Nie wiadomo, co dziewczynom strzeliło do głowy, bo stosunkowo szybko zostały namierzone i do mieszkania wpadła policja. Za śpiewanie „Czerwonej kaliny” Miss Krymu została ukarana grzywną w wysokości 40 tys. rubli (ok. 1 tys. dol.). Jej przyjaciółkę skazano na 10 dni aresztu. Potem obie musiały przeprosić. Dziewczyny zostały skazane z paragrafów mówiących o dyskredytowaniu rosyjskiej armii i publicznym demonstrowaniu symboli nazistowskich. No to już wszyscy wiemy, że ludowa piosenka „Czerwona kalina” jest utworem popierającym niemiecką partię NSDAP.

Ukraińska infolinia informuje chętnych Moskali, jak się poddać i trafić do niewoli. Telefon cieszy się powodzeniem i już zadzwoniło na niego 2 tys. zmobilizowanych. Po skorzystaniu z infolinii pododdział żołnierzy ruszył w kierunku linii „Tryzubów” na bojowym wozie piechoty BWP-2. Ponieważ według instrukcji otrzymanej drogą telefoniczną mieli wywiesić białą flagę, powstał problem. W pobliżu nie było kawałka białego materiału. Ale Ruski nie stracił rezonu i zawiesił na lufie to, co było białego pod ręką, czyli... dwie pary kalesonów. Historia znalazła swój szczęśliwy koniec. Na fotce widać załogę leżącą na ziemi pod karabinkami ukraińskich żołnierzy, a kilkanaście metrów dalej stoi BWP-2 z lufą okręconą kalesonami. Sprawdziło się raz jeszcze stare porzekadło, że potrzeba jest matką wynalazków.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fb93a73578

Omnibus cenowy

Marta Kaczyńska-Zielińska

Inflacja rozpędzona przez rosyjską napaść na Ukrainę, sprzężona z dotychczasową, nieadekwatną do sytuacji polityką klimatyczną Unii Europejskiej (m.in. windujące koszty energii ETS), powoduje, że ceny różnych towarów zaskakują tempem wzrostu. Można jednak nierzadko odnieść wrażenie, że podwyższanie cen nie zawsze jest uzasadnione rzeczywistą koniecznością rynkową i płacimy o wiele za dużo. Sprzedawcy, zachęcając do zakupów, ogłaszają często promocje, które po analizie wcale nie są aż tak korzystne dla klientów, jak to się może wydawać na pierwszy rzut oka. Sztuczne zawyżanie cen, a następnie ich obniżka to praktyka znana od dawna nie tylko w Polsce.

W trosce o interesy konsumentów, a także przedsiębiorców, którzy chcą uczciwie konkurować, została przyjęta w UE tzw. dyrektywa Omnibus. Unijny akt prawny wprowadza wiele zmian w prawie konsumenckim, m.in. dotyczących zasad prezentowania informacji o promocyjnych cenach. Zapisy dyrektywy nie stanowią jednak przeszkody dla państw członkowskich w przyjmowaniu lub utrzymaniu w mocy przepisów, które są korzystniejsze dla konsumentów. Polski ustawodawca zdecydował się na szerszą ochronę konsumentów i w związku z tym procedowane przepisy mają dotyczyć zarówno przedsiębiorców sprzedających towary, jak i tych, którzy świadczą różnego rodzaju usługi.

Obowiązki informacyjne dotyczące obniżki cen będą musieli realizować przedsiębiorcy prowadzący sprzedaż bezpośrednią, handlujący online, telesprzedawcy czy też korzystający ze sprzedaży katalogowej. Objęci nowym obowiązkiem staną się także wszyscy pośrednicy oraz internetowe porównywarki ofert, które w istocie pełnią funkcję faktycznego sprzedawcy bądź prowadzą sprzedaż w imieniu innego podmiotu gospodarczego.

Zgodnie z projektowanymi przepisami w każdym przypadku informowania o obniżeniu ceny towaru lub usługi trzeba będzie ujawnić najniższą cenę tego towaru lub tej usługi, jaka obowiązywała w okresie 30 dni przed wprowadzeniem obniżki. Obowiązek uwidaczniania zmian cen będzie się również odnosić do promocji niezawierającej wskazania wprost, ile będzie wynosić obniżka, tj. w przypadku posługiwania się takimi hasłami, jak np. „wyprzedaż" czy „oferta specjalna".

W wytycznych Komisji Europejskiej zawarto jednak wyjątki od stosowania wymienionych obowiązków, które dotyczą ogólnych haseł marketingowych, niestwarzających wrażenia obniżki, promocji warunkowych i wiązanych oraz promocji lojalnościowych. Ponadto nowe zasady ogłaszania obniżek nie będą stosowane w odniesieniu do towarów, które ulegają szybkiemu zepsuciu lub mają krótki termin przydatności do spożycia. Kolejny wyjątek dotyczy stopniowego obniżania cen w czasie tej samej kampanii sprzedażowej. W tego typu przypadkach najniższa cena z ostatnich 30 dni pozostaje tą, do której odnoszą się następne obniżki.

Zgodnie z przepisami zawartymi w dyrektywie Omnibus za nieuczciwą praktykę jest uznawane wprowadzanie konsumentów w błąd przez powoływanie się na opinie o produkcie lub usłudze pochodzące od osób, które tak naprawdę z nich nie skorzystały. Przedsiębiorca publikujący opinie o swoich towarach lub usługach będzie musiał wykazać, czy i w jaki sposób zapewnia, że publikowane opinie pochodziły od konsumentów, którzy używali danego produktu lub go nabyli. Za nieuczciwą praktykę rynkową będzie uznawane zamieszczanie lub zlecanie zamieszczania nieprawdziwych opinii albo też ich zniekształcanie.

Naruszenie regulacji prawnych odnoszących się do informowania o obniżkach cen będzie skutkować karami finansowymi w wysokości do 20 tys. zł. W razie trzykrotnego naruszenia w ciągu kolejnych 12 miesięcy maksymalna wysokość kary wzrośnie do 40 tys. zł. Ponadto Prezes Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów może uznać fikcyjne obniżanie cen za praktykę naruszającą zbiorowe interesy konsumentów i zastosować karę w wysokości do 10 proc. obrotu osiągniętego w roku obrotowym poprzedzającym rok nałożenia kary.

REKLAMA

49/0922/F

eprasa.pl fb93a73578

Rosja i Niemcy chcą „tylko” wymieniać rządy

Samuel Pereira

Gdy pod koniec września Silvio Berlusconi zaczął bronić Władimira Putina, mówiąc, że on jedynie chciał zastąpić rząd Wołodymyra Zełenskiego rządem porządnych ludzi – wywołało to falę oburzenia i słusznie. Minęło 10 dni i niemieccy europosłowie (SPD, FDP i Zielonych) zażądali od swojego krajana, szefa EPP Manfreda Webera, żeby zablokował zmianę władzy we Włoszech. Miałoby się to dokonać przez wpłynięcie na sojusznika, Forza Italia (partię Berlusconiego właśnie), żeby to ugrupowanie wyszło z koalicji i tym samym uniemożliwiło powołanie nowego, prawicowego i krytycznego wobec nowego kursu Brukseli rządu w tym trzecim co do liczebności kraju UE.

Tak właśnie demokrację widzą Niemcy, i to nie tylko politycy lewicowi, ale również bliscy PO chadecy, których w PE reprezentuje wspomniany Weber. Ten były bawarski poseł i europoseł czterech kadencji w połowie września powiedział otwarcie do „przyjaciół z Polski”, że on z Donaldem Tuskiem walczy o praworządność w Polsce. Na czym ma ona polegać? Ano na tym, co powiedziała inna niemiecka polityk – Ursula von der Leyen, która jako szefowa Komisji Europejskiej bez kozery ogłosiła, że liczy na to, że to Tusk zostanie przyszłym polskim premierem. Jak przymusić do takiego wyboru polskich obywateli? Ano szantażem finansowym, nazwanym przez (też Niemkę) Katarinę Barley wprost – zagłodzeniem Polaków.

Tak, proszę państwa, wygląda demokracja według prawdziwych „demokratów”, czyli: możecie wybierać, ale pod warunkiem, że wybierzecie nas. Jak nie po dobroci, to siłą. Owszem, nikt tutaj nie przywozi nowej władzy na czołgach jak Rosjanie, ale w jednym nasi dalsi wschodni i ci bliżsi zachodni sąsiedzi są zgodni – są w stanie zrobić wiele, żeby w swojej strefie wpływów ulokować swoje „rządy porządnych ludzi”. W przypadku Polski – po tym jak nasz kraj wysunął żądanie reparacji wojennych – jest to dla spadkobierców III Rzeszy dodatkowo istotna kwestia, bo również finansowa. A Niemcy niestety myślą bardzo egoistycznie i podobnie jak Rosjanie: jeśli coś jest dobre dla nas, to jest dobre dla wszystkich. Po trupach do celu.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Być jak Elizabeth Taylor

Z aktorką Weroniką Rosati rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Za co ceni pani Elizabeth Taylor?

Weronika Rosati: Kiedy pierwszy raz zobaczyłam ją na ekranie – w filmie „Z życia VIP-ów”, gdzie zagrała z Richardem Burtonem – oczywiście zwróciłam uwagę na jej piorunującą urodę. Jednak nie sama uroda się liczyła – Elizabeth Taylor miała w sobie coś magnetycznego, zjawiskowego, wyjątkowego. Potem udało mi się obejrzeć (na z trudem zdobytej kasecie) jej oscarową rolę w „Kto się boi Virginii Woolf?” i już wiedziałam: chcę być taka jak ona.

Czyli jaka?

Na ile było to możliwe, czytałam o niej, oglądałam materiały dokumentalne. Dowiedziałam się, że była aktywną i świadomą siebie kobietą, oddaną mamą, osobą niezwykle inteligentną, pełną pasji. I nie chodziło tu o jej trudny charakter czy romanse. Taylor była pierwszą gwiazdą, która m.in. stworzyła własną markę perfum. Kiedy wyjechałam na studia do Nowego Jorku i czułam się samotna, z dala od rodziny, pomagały mi m.in. zabrane w podróż filmy z Liz Taylor. Towarzyszyła mi wszędzie, gdzie byłam. W każdym momencie mojego życia – lepszym i gorszym.

Chciała pani zagrać kiedyś Taylor?

W filmie Lecha Majewskiego „Brigitte Bardot cudowna” wcielam się nie tyle w aktorkę, ile w wykreowaną przez nią Kleopatrę. To mała rola. Trudno byłoby stworzyć z niej kreację, wejść w skórę Elizabeth Taylor.

Ale widząc się w lustrze – w kostiumie, z makijażem – była pani chyba pod wrażeniem?

Miałam kiedyś robioną sesję inspirowaną Elizabeth Taylor, jednak teraz to była naprawdę duża metamorfoza.

eprasa.pl fb93a73578

Rysują ***Mr Donk & dr Fish***

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS, GRZEGORZ ROGIŃSKI/REPORTER, AP/EAST NEWS, PAP/ANDRZEJ RYBCZYŃSKI, IPN x3, SHUTTERSTOCK/ GOFFKEIN.PRO, DANIEL JEDZURA, 360B, VIRRAGE IMAGES, ROMOLO TAVANI, ANDRZEJ WIKTOR

pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

nasz sondaż

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

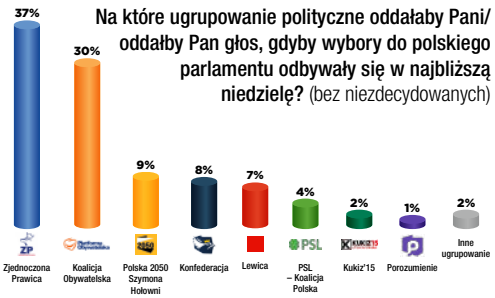

Czy wzięłaby Pani/wziąłby Pan udział w wyborach do polskiego parlamentu, gdyby odbywały się one w najbliższą niedzielę?

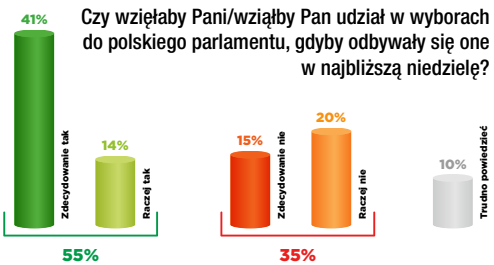

Jak Pani/Pan ocenia – ile jeszcze potrwa wojna na Ukrainie?

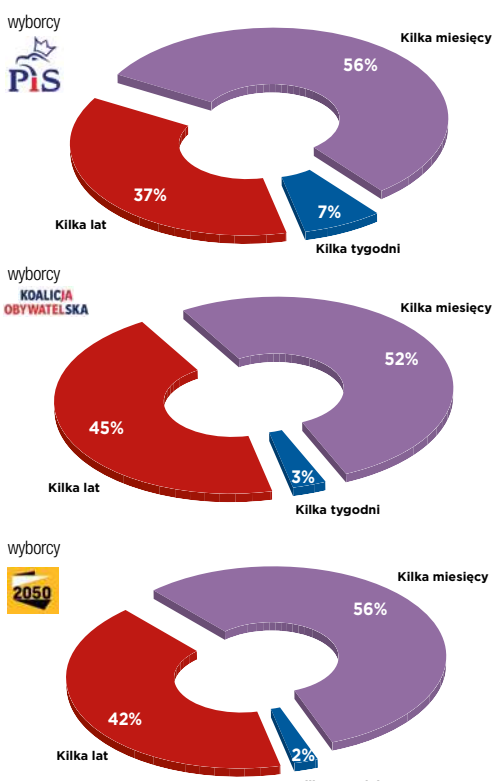

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1081.

Zakres czasowy badania 30 września – 3 października 2022 r.

eprasa.pl fb93a73578

Kto płacze po Urbanie?

Zdawałoby się, że skutecznie przerzucił pomost między brutalną siłą zwalczającą tradycyjną Polskę w czasach PRL przy pomocy esbeków i propagandy a III RP zrodzoną przy okrągłym stole. Ale na szczęście dla Polski i Polaków tak się nie stało

MACIEJ WALASZCZYK

Po jego śmierci okazało się, że za zgodą władz Warszawy spocznie na Powązkach Wojskowych. Na szczęście bez wojskowej asysty, co często miało miejsce w poprzednich latach. Dawni towarzysze z czasów PRL i dominacji politycznej SLD wspominają go oczywiście z rozrzewnieniem. Zdaniem Marka Borowskiego zmarł wybitny, odważny i prześmiewczy komentator polityczny – jak wiadomo – ujmujący i przyjazny.

W nekrologu opublikowanym na łamach „Gazety Wyborczej" Olga Lipińska pożegnała Urbana słowami: „Jeden z najświatlejszych umysłów". Ale już dla młodych lewicowców – przede wszystkim ikona dziennikarstwa i satyry, inteligentny bystrzak. „Niech spoczywa w pokoju, a jego teksty niech będą czytane!" – napisał poseł Nowej Lewicy Maciej Gdula. Tomasz Lis w pierwszym odruchu oświadczył, że zmarł człowiek wybitny, a dawny działacz Solidarności Waldemar Kuczyński stwierdził nawet, że Urban dzięki inteligencji już wypoczywa u boku Stwórcy. Prywatnie okazuje się, że był dla niego nawet „kompanionem ostrej wypitki" podczas pewnego wieczoru w jego willi.

eprasa.pl fb93a73578

Z POLSKĄ MU NIE PO DRODZE

To bardzo symboliczne słowa. Wszystkie te reakcje są świadectwem tego, czym była pookrągłostołowa Polska. Najdobitniej chyba udowodnił to swoim komentarzem Bartłomiej Sienkiewicz, pisząc, że choć Urban był figurą kłamstwa i cynizmu władzy, to „obecna działalność PiS o wiele bardziej jest w tym zaawansowana". No właśnie. Cała strategia wojny prowadzonej przez Jerzego Urbana i tygodnik „Nie" polegała na zrównaniu wszelkich podłości, absurdów i zła czasów komunistycznych z okresem, gdy przyszło Polsce wydobywać się z trudnego dziedzictwa PRL. Urban tego nie ułatwiał, fałszując rzeczywistość i specjalizując się w atakowaniu i niszczeniu ludzi, plątaniu prawdy i fałszu o niedawnej historii, a nawet budowaniu poczucia winy u ofiar tego systemu.

Wizja państwa, której oczekiwały elity III Rzeczypospolitej, po latach pokrywa się z tym, o co walczył Urban. One często mówią jego językiem i myślą o polityce jego kategoriami. Można powiedzieć, że „Gazeta Wyborcza" i tygodnik „Nie" to dziś dwie strony tej samej monety. O różnych obliczach, estetyce, ale jednym politycznym i kulturowym celu. W czasach stalinowskich Urban był działaczem ZMP, potem uczestniczył nawet w spotkaniach Klubu Krzywego Koła i przyjaźnił się np. z Adamem Michnikiem. Przyjaźń zerwana w gorącym 1981 r. odżyła w latach 90., gdy ten jako naczelny „Gazety Wyborczej" stał się graczem, z którym należało się liczyć. W autobiograficznym wywiadzie „Jajakobyły" Urban, przemycając antysemicki akcent, przewrotnie tłumaczył, że ataki na Michnika z lat 80. są dla niego powodem wstydu, ale bazowały na materiałach przygotowanych w MSW przez ludzi z moczarowską przeszłością. Nie przez przypadek Urban podlizywał się mu, mówiąc, że z pewnością zasługuje w Polsce na pomnik, a przynamniej ulicę. A w rewanżu w „Wyborczej" ukazywały się wywiady z Urbanem jak ten dwa lata temu, gdy oświadczył: „Moje rady dla ruchu LGBT: dopierdalajcie katolikom! Dopierdalajcie nacjonalistom! Dopierdalajcie biało-czerwonym!".

W wersji łagodniejszej ta wizja sprowadza się do rozpuszczenia tożsamości w europejskim, liberalnym, tyglu, w którym zachodnia lewica wraz z postkomunistami chciałaby na nowo rozpocząć budowę świata według kolejnej mutacji marksistowskiej utopii. A cała nieprzystosowana reszta zamknięta w swoich szczelnych gettach, podporządkowana silnym tego świata, zarządzanego z unijnych trybunałów i komisji.

Czytelnicy Urbana jako pierwsi już w latach 90. żyli w przekonaniu, że na swoje nieszczęście są zakładnikami zacofanego, absurdalnego, głupiego, niepotrzebnego i niemającego przed sobą przyszłości kraju. „Czy ona jeszcze jest potrzebna? Jedyną szansą może się okazać kolejny rozbiór?" – zastanawiał się w jednym z felietonów. I ten typ myślenia o Polsce był często przyjmowany jako oczywisty.

Jerzy Urban pochodził z rodziny zasymilowanych łódzkich Żydów o lewicowych tradycjach. Jak sam o sobie mówił, był wzorcowym przykładem żydokomuny, choć nie uważał się za Żyda i był bezpartyjny. Zawsze był częścią establishmentu politycznego i posiadał umiejętność utrzymywania się w orbicie władzy. Albo jako propagandysta, klakier i zausznik lub jadowity i brutalny przeciwnik. Zarówno w czasach PRL, jak i III Rzeczypospolitej. „Nie jestem specem od honoru, bo tej cechy nie posiadam" – pisał w latach 90. Dwukrotnie w latach 50. i 60. był objęty zakazem publikacji. Doskonale znał cały warszawski świat polityczny i dziennikarski. Po śmierci Urbana szczególnie na lewicy jest słyszalny żal za stratą towarzysza.

Śmieszne jednak, gdy dzisiejsi liberałowie różnych gatunków, lewicowi obrońcy wszelkich wolności, fanatyczni demokraci i tropiciele prawicowych zbrodni okadzają trupa rzecznika prawdziwej junty wojskowej. Mającej prawdziwą krew na rękach, zwasalizowanej przez Moskwę, posługującej się cenzurą, policją polityczną i niemal do końca bezradnej w obliczu bankructwa socjalizmu. Znów jeden z prawicowych portali zakrzyknął, że zmarł aparatczyk władzy komunistycznej. Udział Jerzego Urbana w samym centrum dyktatury gen. Jaruzelskiego to kluczowy, ale tylko jeden z fragmentów jego biografii. Machanie antykomunistyczną maczugą jest w tym przypadku jałowe i niewiele wyjaśnia.

Urban był przez całe życie przede wszystkim wzorcowym, zadeklarowanym i konsekwentnym wrogiem polskiej tradycji narodowej, Kościoła i prawicy. Zwalczającym jak mógł wszelkie polityczne, historyczne i kulturowe elementy składające się na naszą tożsamość. Gdy upadła cenzura, zapanowała wolność słowa i wolny rynek, świetnie odnalazł się w nowych warunkach, prowadząc wojnę kulturową taką, jaką prowadzi zachodnia lewica. „Wszczynamy »Nie«. Będziemy szydzić z rzeczy poważnych i weselić się ze smutnych. Świętości nieszargane umierają z nudów. Pośpieszmy je ratować. [...] Damy dużo dobrych i nowych powodów do obrazy. Ludzie to kupią" – napisał w manifeście programowym zamieszonym w pierwszym numerze tygodnika „Nie".

Później, w epoce sieci i mediów społecznościowych, YouTube i TikToka został w hejtowaniu przelicytowany, tracąc zasięgi oddziaływania. Jednak w ciągu prawie 70 lat aktywności dziennikarsko-politycznej odegrał swoją negatywną rolę polityczną i o niej należy mówić. Był błyskotliwym prowokatorem, lubującym się w ściąganiu na sobie niechęci, wywoływaniu bezsilnej agresji i w końcu okazał się groźnym przeciwnikiem politycznym. Bo dobrze się orientował w mechanizmach polityki. Może nie bez powodu za czasów Władysława Gomułki przez sześć lat nie mógł pracować w dziennikarstwie i podpisywać tekstów własnym nazwiskiem?

ŁAŃCUCHOWY PIES JARUZELSKIEGO

Nominację na stanowisko rzecznika rządu Wojciecha Jaruzelskiego ogłoszono 17 sierpnia 1981 r. Sytuacja polityczna pędziła od kryzysu do kryzysu, konsekwentnie aranżowanej przez władzę konfrontacji, a przygotowania do wprowadzenia stanu wojennego i rozprawienia się z Solidarnością szły pełną parą. Jeszcze jako dziennikarz Urban był autorem anonimowych, kłamliwych, zwalczających Solidarność

Fot. Krzysztof Wojda / Reporter / EastNews

eprasa.pl fb93a73578

komentarzy w „Dzienniku Telewizyjnym". Jaruzelski potrzebował więc specjalisty od propagandy i z poręki Mieczysława Rakowskiego znalazł w tygodniku „Polityka" osobę – jak sam przyznawał – inteligentną, cyniczną, o żelaznych nerwach i lojalną.

I tak w ciągu kilku miesięcy publicysta „Polityki" i felietonista „Kulis" stał się jedną z najbardziej znienawidzonych osób w PRL. W 1981 r. doradzał rządowi i specjalnemu zespołowi partyjnemu zajmującemu się walką propagandową. Sugerował m.in. możliwość utworzenia rządu koalicyjnego z katolikami i umiarkowanymi działaczami Solidarności, tłumacząc, że aby wybić opozycji zęby, trzeba dać jej pieniądze. Był uosobieniem bezwzględnego makiawelizmu i nihilizmu.

Po wprowadzeniu stanu wojennego stał się głównym kreatorem polityki informacyjnej. Znalazł się w gronie osób, które miały wpływ na przebieg czystek w środowisku dziennikarskim. Co wtorek występował podczas starannie wyreżyserowanych konferencji prasowych transmitowanych w TVP. Był przygotowany na każdą okoliczność, podstawieni dziennikarze zadawali umówione pytania, nie cofał się przed szyderstwami, prowokowaniem, kłamstwem i manipulacją.

Od połowy lat 80. wraz ze Stanisławem Cioskiem, wówczas sekretarzem KC PZPR, oraz nadzorującym wywiad gen. Władysławem Pożogą wchodził w skład specjalnego zespołu opracowującego analizy na temat sytuacji w kraju, prognozy rozwoju sytuacji i propozycje działań. Ściśle tajne raporty trafiały na biurko Jaruzelskiego poza jakimkolwiek obiegiem kancelaryjnym. W tym czasie jako Jan Rem publikował felietony w tygodniku „Tu i Teraz", piśmie stworzonym do realizowania propagandowej linii władzy i kierowanym do inteligencji. To w nim 19 września 1984 r. ukazał się tekst pt. „Seanse nienawiści", w którym nazwał ks. Jerzego Popiełuszkę „Savonarolą antykomunizmu", „natchnionym politycznym fanatykiem" i „organizatorem sesji politycznej wścieklizny". Tekst opublikowany na miesiąc przed bestialskim zamordowaniem księdza przez funkcjonariuszy SB wpisywał się w strategię osaczania i dezawuowania kapłana.

W 1989 r. Urban poniósł druzgocącą klęskę. Władza została odrzucona w swoistym plebiscycie 4 czerwca. A przecież to Urban jako prezes Komitetu ds. Radia i Telewizji miał jej zapewnić bezpieczeństwo i sukces. Sam też nie dostał się do Sejmu. Jednak natychmiast odnalazł się na wolnym rynku i poza cenzurą. Wydany w 1990 r. „Alfabet Urbana" sprzedał się w liczbie 750 tys. A tygodnik „Nie", co było szokiem, stał się sukcesem komercyjnym, czyniąc z Urbana milionera. I ważnego politycznego gracza, bo z pewnością pomógł w utorowaniu postkomunistom powrotu do władzy w latach 90. Symbolem tego jest jego fotografia z gigantycznym szampanem podczas wieczoru wyborczego partii Millera, Kwaśniewskiego i Oleksego w 1993 r.

> „Czy ona jeszcze jest potrzebna? Jedyną szansą może się okazać kolejny rozbiór?" – zastanawiał się Urban w jednym z felietonów. I ten typ myślenia o Polsce był często w III RP przyjmowany jako oczywisty

Tygodnik był pełen tekstów atakujących posolidarnościowe władze i Kościół, epatował ostrą satyrą, pornografią, pomówieniami. Można było w nim znaleźć fotoreportaże z krematorium, ślubu syna Lecha Wałęsy lub wizyty w agencji towarzyskiej. „Nie" było regularnie karmione informacjami ze służb specjalnych esbeckiej proweniencji na temat afer i niedyskrecji uderzających osobiście w ludzi, których Urban zwalczał.

NA STRAŻY LEWICOWEJ ORTODOKSJI

W 2007 r. skreślił lewicę postkomunistyczną z jakichkolwiek politycznych kalkulacji. Przestał też stawiać trafne diagnozy, wierząc we własne przekonania jako rzeczywistość, która do Polski nie pasuje. W 2011 r. zapowiadał, że w 2015 r. wybory prezydenckie wygra Tusk, po nim Palikot, wchodząc zresztą w dziwaczny, polityczny romans z producentem wódki. W ostatnim czasie postawił na PO i Tuska, twierdząc, że jest jedyną szansą na pokonanie PiS. Liczył ciągle na ucieczkę ku przyszłości, na nowe, agnostyczne, liberalne pokolenie, niepamiętające PRL, Jana Pawła II, które przeforsuje „minimum nowoczesności" w postaci przywilejów dla par homoseksualnych, aborcji na życzenie i refinansowania zapłodnienia in vitro. „Kurczy się jego prestiż społeczny, liczba wyznawców i inne wskaźniki, coraz więcej jest antyklerykałów. I to wszystko moja działka" – rozpływał się we wspomnianym już wywiadzie sprzed dwóch lat dla „Wyborczej", wieszcząc tym razem upadek Kościoła.

Mówił, że czuje się spełniony i zwycięski, ponieważ był prekursorem nurtu, który nabiera znaczenia. Zachęcał nawet do większej wulgarności i brutalizacji walki z Kościołem, która kilka tygodni później wybuchła podczas protestów organizowanych przez Strajk Kobiet. To było coś, o co właśnie walczył jako redaktor „Po Prostu", Jerzy Kibic i Jan Rem w epoce Gomułki, rzecznik ostatnich PRL-owskich rządów i w końcu właściciel brukowego tygodnika. Zdawałoby się, że skutecznie przerzucił pomost między brutalną siłą zwalczającą tradycyjną Polskę w czasach PRL przy pomocy esbeków i propagandy a III Rzecząpospolitą zrodzoną przy okrągłym stole. Pamiętajmy jednak, że wbrew temu nowe pokolenie zachwyciła historia żołnierzy podziemia antykomunistycznego i powstania warszawskiego, że dostrzegło ono zagrożenia niesione przez lewicową rewolucję na Zachodzie, a duża część skręciła ku prawicy.

Dobrze, że wykuta przy okrągłym stole III Rzeczpospolita odchodzi wraz z takimi osobami jak Jerzy Urban, dla którego Polska była krajem nieważnym.

eprasa.pl fb93a73578

Wielki Manipulo

Jerzy Urban był w latach 80. ub.w. – obok Wojciecha Jaruzelskiego – najbardziej znienawidzoną przez Polaków osobą. Po latach został określony mianem „Goebbelsa stanu wojennego". Solidnie na to zapracował

GRZEGORZ MAJCHRZAK

Jest dzisiaj pamiętany jako z jednej strony niewątpliwie zdolny, błyskotliwy publicysta, a z drugiej – zręczny propagandysta. Jednak jego rola w latach 80. była zdecydowanie większa. „W czasie, kiedy Jerzy Urban był rzecznikiem rządu PRL, nie był on tubą, nie był wyłącznie interpretatorem polityki. Należał on do bardzo ścisłego grona osób wokół gen. Jaruzelskiego, którzy tę politykę kreowali" – stwierdzano na antenie BBC, głównego brytyjskiego publicznego nadawcy radiowo-telewizyjnego. Z kolei według głównego architekta stanu wojennego Urban był autorem wielu cennych pomysłów, „śmiałych inicjatyw", które (wcześniej czy później) realizowały władze PRL. To on np. zaproponował w 1984 r. referendum, które ostatecznie zorganizowano dwa lata później.

TRZEBA BYĆ REALISTĄ

Jednak jego zaangażowanie w umacnianie komunizmu w Polsce rozpoczęło się kilka dekad wcześniej. Jak wspominał po latach: „Brałem bardzo aktywny udział w akcji likwidowania krzyży harcerskich z harcerskich mundurów i uroczystego przypinania w ich miejsce znaczków nowej organizacji harcerskiej". Wraz ze swymi towarzyszami ze Związku Młodzieży Polskiej wznosił zresztą toasty za „17. republikę". Potem – w połowie lat 50., w czasie „odwilży" – na łamach studenckiego pisma „Po Prostu" składał samokrytykę za kłamanie i „lukrowane reportażyki". Szybko jednak – w czasie kilkuletniego przymusowego bezrobocia – zrozumiał, że trzeba „być realistą, chodzić po ziemi". Pomógł mu w tym Mieczysław Rakowski, który ściągnął go do „Polityki". Z kolei dzięki samemu Władysławowi Gomułce zrozumiał, że należy pisać dokładnie to, czego oczekuje władza – po ataku na jednego z krakowskich działaczy antyalkoholowych Jerzy Urban trafił do niszowego „Życia Gospodarczego", a na dodatek nie mógł publikować pod własnym nazwiskiem. Właśnie wtedy zaczął używać swojego najbardziej znanego pseudonimu: Jan Rem, pod którym zasłynął w latach 80.

Jego dalszej kariery nie załamała nawet nagonka antysemicka z lat 1967–1968. I to mimo że – jak odnotowała Służba Bezpieczeństwa, która się nim wówczas zainteresowała – stwierdził, iż „w Polsce w sposób niepokojący rozszerza się antysemityzm i coraz częściej atakuje się Żydów". Jednak nawet zainteresowanie ze strony bezpieki nie przeszkodziło mu w powrocie do „Polityki". I to jeszcze w 1968 r.

PIÓRO NA USŁUGACH WŁADZY

Był oddanym propagandystą. Mało tego – nie ograniczał się do realizacji poleceń przełożonych, lecz przejawiał własną inicjatywę. To on zaproponował MSW udoskonalenie współpracy z „Polityką", w tym dostęp dziennikarzy tygodnika do materiałów SB. Jednak jego oferta nie do końca przekonała decydentów z Rakowieckiej, którzy stwierdzali: „Odpowiadałaby nam raczej rola konsultanta niż zleceniodawcy". Byli za to zainteresowani współpracą z samym Urbanem, uznając, iż „odrzucenie możliwości wykorzystania tej klasy propagandzisty byłoby lekkomyślnością", a nawet zlecaniem mu konkretnych tematów. Niestety, nie wiemy, ile takich zleceń zrealizował. Niemniej wydaje się, że był to początek jego doskonałych – szczególnie w latach 80. – kontaktów z resortem spraw wewnętrznych, swoistej symbiozy.

NA FALI SOLIDARNOŚCI

Paradoksalnie karierę Jerzego Urbana przyspieszyła tak znienawidzona przez niego Solidarność. Pod koniec lutego 1981 r. wicepremier Rakowski powołał go do zespołu społecznych doradców Komitetu Rady Ministrów ds. Związków Zawodowych. W tym samym czasie wszedł w skład powołanego przez Biuro Polityczne KC PZPR niejawnego „zespołu ds. bieżącej analizy i programowania działalności prasy, radia i telewizji", dbającego o większą skuteczność antysolidarnościowej propagandy. Okazało

eprasa.pl fb93a73578

Konferencja prasowa rzecznika prasowego rządu Jerzego Urbana, Warszawa, 1981

się, iż były to posunięcia słuszne, gdyż to właśnie Urban na początku sierpnia 1981 r. był pomysłodawcą ogłoszenia, że Solidarność zerwała negocjacje z władzami (*de facto* zostały one za zgodą obu stron zawieszone), co pozwoliło rządzącym obciążyć winą za ich niepowodzenie związek. W ocenie przedstawicieli władz dzięki temu po raz pierwszy od roku udało im się przejąć inicjatywę propagandową. W nagrodę – w połowie sierpnia – został powołany na stanowisko rzecznika prasowego rządu. I to mimo że jego nominacja wzbudziła duże kontrowersje – protestował przeciwko niej m.in. prymas Polski Józef Glemp.

TWARZ STANU WOJENNEGO

W ciągu kilku miesięcy, po wprowadzeniu stanu wojennego, ten ceniony publicysta „Polityki" i felietonista „Kulis" stał się jedną z najbardziej znienawidzonych osób w PRL. Przyczyniły się do tego jego cotygodniowe konferencje prasowe, których oglądalność dochodziła do 60 proc. widowni. Były one starannie wyreżyserowanym spektaklem propagandowym, przeznaczonym głównie dla widza krajowego – przed każdą z nich w Biurze Prasowym Rządu przygotowywano wykaz najbardziej prawdopodobnych pytań, zbierano z różnych resortów potrzebne dane i starannie redagowano same odpowiedzi. W razie potrzeby Jerzy Urban wykorzystywał też dziennikarzy krajowych, na których mu szczególnie zależało. Po 13 grudnia stał się zresztą *de facto* głównym kreatorem polityki propagandowej władz, wyręczając w tym względzie Wydział Propagandy KC PZPR. Szczególnie silnie angażował się w działania przeciwko swojemu „ulubieńcowi" Lechowi Wałęsie.

> Był oddanym propagandystą. Mało tego – nie ograniczał się do realizacji poleceń przełożonych, lecz przejawiał własną inicjatywę

Właściwie przy okazji każdego ważniejszego wydarzenia przedstawiał propozycje działań propagandowych. I tak np. po głośnej, brawurowej ucieczce nastoletnich (12-letnego Krzysztofa i 15-letniego Adama) Zielińskich do Szwecji w 1985 r. sugerował wykorzystanie jej do ofensywy propagandowej przeciwko temu krajowi w związku z jego polityką udzielania schronienia uchodźcom z Polski. Proponował: „Zażądać w imieniu rządu oddania dzieci. Zmobilizować rodziców, organizacje społeczne itp. Zasypać Szwecję rezolucjami. Nadawać je w TV, drukować w prasie. Mówić, że to

Fot. East News/Wojtek Laski

eprasa.pl fb93a73578

kidnaping dla celów propagandowych, antypolska psychoza kosztem dzieci". Zakładał przy tym optymistycznie: „Jak zaczniemy krzyk, Szwecja nam tych malców odda. Więc relacje TV z odebrania chłopców, płacząca mama, ich opowieści. Można tu włączyć harcerstwo i in.".

Na antenie TVP kłamał bez skrupułów, choć wiele lat później narzekał, że MSW go okłamywało. Tak miało być np. w maju 1988 r., kiedy ośmieszył się, twierdząc na podstawie danych SB, iż w czasie strajku w Nowej Hucie nie użyto siły. Nie oznacza to absolutnie, że Jerzy Urban nie znał prawdziwej wersji wydarzeń. Tak było np. w przypadku masakry w Lubinie 31 sierpnia 1982 r., po której rzecznik prasowy bronił kłamliwej wersji władz o rzekomym strzelaniu przez milicjantów w obronie własnej, podczas gdy dysponował artykułem (oczywiście nieopublikowanym) kolegi z „Polityki", w którym opisano prawdziwy przebieg zdarzeń, wręcz polowanie funkcjonariuszy na przypadkowe osoby.

Nie pozostawał jednak jedynie biernym odbiorcą informacji z Rakowieckiej. W lutym 1982 r. proponował utworzenie w resorcie służby propagandowej zajmującej się m.in. czarną propagandą, czyli specjalnym gatunkiem propagandy posługującej się świadomym kłamstwem. W sprawie swojego pomysłu przeprowadził nawet rozmowy z ministrem spraw wewnętrznych i komendantem głównym Milicji Obywatelskiej. Nie został on jednak ostatecznie zrealizowany, choć Czesław Kiszczak uznał go za interesujący i zasługujący na bardzo poważne potraktowanie.

SEANSE NIENAWIŚCI URBANA

Nie sposób w tym miejscu nie wspomnieć o udziale Jerzego Urbana w kampanii skierowanej przeciwko ks. Jerzemu Popiełuszce. Rzecznik prasowy rządu był jej głównym motorem. To spod jego pióra – jako „niezależnego publicysty" – wyszły najostrzejsze ataki na warszawskiego kapłana. To on w znacznej mierze tworzył negatywny wizerunek księdza jako rzekomego działacza politycznego. Miesiąc przed jego porwaniem i zamordowaniem (we wrześniu 1984 r.) pisał m.in. „W kościele księdza Popiełuszki urządzane są seanse nienawiści [...]. Ten mówca ubrany w liturgiczne szaty nie mówi niczego, co byłoby nowe lub ciekawe dla kogokolwiek. Urok wieców, jakie urządza, jest odmiennej natury. Zaspakaja on czysto emocjonalne potrzeby swoich słuchaczy i wyznawców politycznych". Za udział w tej kampanii dosłownie w kilka dni po pogrzebie kapłana chwalił go zresztą sam Wojciech Jaruzelski. Tak na marginesie retoryka Urbana nie pozostała bez wpływu na zabójców warszawskiego kapłana, szczególnie na ich przywódcę Grzegorza Piotrowskiego.

> Retoryka Urbana nie pozostała bez wpływu na zabójców warszawskiego kapłana, szczególnie na ich przywódcę Grzegorza Piotrowskiego

W OBRONIE SYSTEMU

Z drugiej strony to właśnie Jerzy Urban kilka tygodni po wprowadzeniu stanu wojennego przestrzegał przed powtórzeniem „historycznego błędu z lat 40. i 50. popełnionego wobec A[rmii] K[rajowej]". A także proponował wiele różnorodnych działań, mających na celu głównie „niszczenie gruntu do formowania się podziemia politycznego lub podskórnego życia społecznego". Były wśród nich m.in. pomysły na pozyskanie młodzieży, takie jak zaakceptowanie subkultur młodzieżowych, „uznanie i podjudzanie prawa młodych do rozumnej kontestacji", zmiana „feudalnej" koncepcji szkolnictwa, „otworzenie szansy dorabiania się ludziom tak pragnącym ukierunkować swoje ambicje" czy masowa budowa domów. Przy czym, jak stwierdzał z właściwym sobie cynizmem: „Niech będą tanie i byle jakie".

Z kolei od połowy lat 80. (wraz z sekretarzem KC PZPR Stanisławem Cioskiem oraz wiceministrem spraw wewnętrznych nadzorującym wywiad Władysławem Pożogą) tworzył specjalny zespół, który opracowywał analizy dotyczące sytuacji w kraju, prognozy rozwoju sytuacji i propozycje działań. Trafiały one bezpośrednio na biurko Jaruzelskiego. Tak na marginesie „zespół trzech" przed możliwym wybuchem społecznym ostrzegał już w 1987 r.

PROKURATOR I CENZOR

Urban to jednak nie tylko propagandysta i strateg. Zdarzało mu się również wcielać w rolę prokuratora czy weryfikatora i cenzora. Po 13 grudnia 1981 r. znalazł się w gronie osób, które miały wpływ na przebieg czystek w środowisku dziennikarskim. Owszem, bronił – co sam po latach podkreślał – niektórych dziennikarzy, ale tylko tych wyrzucanych z przyczyn pozapolitycznych. Po prostu dbał o to, by czystki miały charakter polityczny, a nie merytoryczny. Był też zwolennikiem stawiania dziennikarzy przed sądem. W 1986 r. proponował (wraz z Mieczysławem Rakowskim) ministrowi spraw wewnętrznych, by tak postąpić z korespondentem „Le Matin" Krzysztofem Wolickim. Zresztą opowiadał się za możliwie szerokim oskarżeniem dziennikarzy za szkalowanie PRL – oczywiście w tych przypadkach, gdy była szansa na udowodnienie, że napisali oni nieprawdę. W razie potrzeby pełnił też funkcję cenzora. Nie tylko – co ciekawe – w przypadku publikowania zapisów swoich konferencji prasowych na łamach rządowej „Rzeczpospolitej", lecz również artykułów innych dziennikarzy. I tak np. w 1984 r. w związku z konfliktem wokół obecności krzyży w szkołach pomógł Krzysztofowi Bochusowi zebrać materiały do reportażu przeznaczonego dla „Nowej Wsi". Później jednak uznał, że nie przyniesie on władzom oczekiwanych korzyści, więc nie należy go drukować.

NA KONIEC „NIE"

Jako jeden z niewielu przedstawicieli PRL-owskich elit doskonale odnalazł się po 1989 r. W końcu mógł robić to, co lubił najbardziej – opluwać na łamach tygodnika „Nie" tych, których nie lubił czy wręcz nienawidził...

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

eprasa.pl fb93a73578

Przede mną „odtworzenie zdolności bojowej”

Na pewno popełniłem wiele błędów. Zbyt mocno, zwłaszcza w sytuacjach ultrakryzysowych, bywałem też skupiony na realizacji zadań, nie zawsze znajdując czas na to, by rozglądać się na boki i widzieć, co się dzieje wokół mnie

Jacek Karnowski rozmawia z Michałem Dworczykiem, politykiem PiS, byłym szefem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów

Ma pan dość? Polityki, działania, aktywności?

Michał Dworczyk: Absolutnie nie. Politykę zawsze traktowałem jako służbę publiczną. I tak jest nadal. To oznacza dla mnie przede wszystkim pracę na rzecz zmieniania otaczającego świata na trochę lepszy. Oczywiście nie zawsze jest to łatwe, nie zawsze osiągamy nasze cele. Przez te kilka lat starałem się jednak działać właśnie w taki sposób i nadal tak będę działał w przyszłości.

Ale teraz czeka pana przerwa, pauza, na pewno niełatwa. To będzie czas podsumowania, refleksji?

Mówiąc nieco żartem, przede mną coś, co w wojsku nazywa się odtworzeniem zdolności bojowej. Ale odpowiadając poważnie na pytanie, zakończenie misji szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów może frustrować głęboko tylko kogoś, kto uważa, że ministrem może być całe życie. Polityka jest dynamiczną dziedziną życia i zawsze towarzyszą jej zmiany.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fb93a73578

Jeśli wiemy, o co nam chodzi, jeśli mamy swoje cele, to możemy je realizować z różnych miejsc – i tych najwyższych, i tych mniej eksponowanych.

Dlaczego właściwie musiał pan odejść z funkcji szefa kancelarii premiera?

Po pierwsze, zdecydowały względy osobiste. A po drugie, uczciwie mówiąc, po pięciu latach działania na pierwszej linii czuję, że górkę efektywności mam chwilowo za sobą. Zresztą te dwie sprawy są z sobą ściśle powiązane.

W tle jest tzw. afera mejlowa. Z boku wygląda to tak, że odchodzi pan, by wyciekające mejle nie obciążały wizerunku rządu w czasie kampanii, by można było mówić, że dotyczą byłego szefa KPRM. To zmniejsza ich siłę rażenia.

Gdyby tak było, to oznaczałoby, że realizujemy wariant, który został opracowany gdzieś za wschodnią granicą. My od początku powiedzieliśmy, że nie będziemy działać zgodnie z takim *modus operandi*. Rzecz jasna, od kiedy zhakowano skrzynki kilku polskich polityków, w tym moją, nie było łatwo. Wylało się bardzo dużo hejtu i złych emocji. Taka jednak jest dzisiejsza polityka i trzeba się z tym liczyć.

Czy ma pan jasność, w jaki sposób dokonano włamania na pana skrzynkę i kto to zrobił?

Trwa śledztwo w tej sprawie i do chwili jego zakończenia trudno mówić ze stuprocentową pewnością, co się wydarzyło. Wielu ekspertów twierdzi, że był to tzw. atak fishingowy, a więc wyłudzenie hasła, a w konsekwencji dostępu do skrzynki.

Czy to, co wycieka, to prawdziwe mejle, czy też widzi pan tam również podrasowaną albo wykreowaną treść?

Część jest autentyczna, część jest zmanipulowana, a część jest nieprawdziwa.

Czy ci, którzy zdobyli te materiały, opublikowali już największe sensacje, czy też są tam wciąż jakieś treści mogące wstrząsnąć polską polityką?

To zależy od wyobraźni prowadzących tę operację, dlatego że wśród moich mejli nie było żadnych materiałów, które mogłyby wstrząsnąć polską polityką. Widać tam sporo kuchni politycznej, ale sensacji żadnych tam nie było.

Często pada zarzut, że używaliście w korespondencji prywatnych, a nie służbowych adresów e-mailowych.

Są takie sfery działania, w których bardzo trudno rozdzielić sprawy dotyczące funkcji państwowych od spraw czysto politycznych. Dotyczy to np. planowania wyjazdów premiera, podczas których premier ma spotkania partyjne, przeplatane działaniami ściśle rządowymi. Na pewno nie miało miejsca żadne złamanie prawa. Część osób twierdzi, że gdybyśmy używali skrzynek służbowych, atakującym nie udałoby się ukraść ich zawartości. Ale to nie jest prawda. Najlepszym dowodem jest fakt, że w ub.r. zhakowano skrzynki kilkunastu posłów (w tym moją) na domenie sejm.pl – tzn. służbowe mejle posłów. Dziś w rzeczywistości jest tak, że niemal każdą skrzynkę można „złamać" – jest to wyłącznie kwestia determinacji atakujących.

Część komentatorów uważa, że pańskie odejście jest związane z walką frakcji w Zjednoczonej Prawicy.

W każdej dużej formacji – a taką jest dziś Zjednoczona Prawica – dochodzi do różnego rodzaju napięć. To w polityce normalne. Istotne jest to, by umieć wypracowywać jakiś konsensus, rozwiązanie programowe lub organizacyjne, które pozwala na realizację programu politycznego formacji. Nam do tej pory to się udawało i jestem przekonany, że jako Zjednoczona Prawica mamy realne szanse walczyć w zbliżających się wyborach o kolejną kadencję.

Pięć lat, podczas których kierował pan kancelarią premiera, to czas nieprawdopodobnie burzliwy. Rewolucja na Białorusi, pandemia, atak na polskie granice, wreszcie wojna, a do tego kilkanaście mniejszych kryzysów. Był pan człowiekiem do zadań specjalnych. Które chwile były najważniejsze?

Pierwsze tygodnie wojny to był czas, który będę pamiętał do końca życia. Historia działa się na naszych oczach, a ja miałem ten przywilej i zaszczyt, że uczestniczyłem w wielu ważnych działaniach, byłem świadkiem lub współuczestniczyłem w podejmowaniu wielu istotnych decyzji. Różnych wyzwań było jednak w ciągu tego pięciolecia bardzo wiele. Na pewno jestem dumny z pomocy, której udzieliliśmy w 2020 r. opozycji białoruskiej – stworzyliśmy największy program pomocowy w Europie „Solidarni z Białorusią". Dużo satysfakcji dawały działania bardzo konkretne, takie jak pozyskiwanie sprzętu ochronnego w czasie pandemii, budowa szpitali tymczasowych czy organizacja Narodowego Programu Szczepień. To wszystko nie byłoby oczywiście możliwe, gdyby nie zespół świetnych współpracowników, z którymi wspólnie realizowaliśmy te projekty. To, że udało nam się stworzyć taki zespół, uważam za szczególnie wartościowy sukces.

Kancelaria premiera stała się w ostatnich latach miejscem dużo ważniejszym niż poprzednio.

Rzeczywiście, sposób zarządzania wdrożony przez premiera Mateusza Morawieckiego sprawił, że kancelaria premiera stała się centrum bardzo wielu wydarzeń i integratorem wielu procesów. Stała się też dużo większą instytucją z wieloma nowymi zadaniami. Zatrudnienie wzrosło z ponad 600 osób do ponad 1,3 tys. urzędników, a budżet z blisko 1 mld zł wzrósł w rekordowym 2020 r., gdy przez kancelarię przechodziły środki przeznaczone na wsparcie samorządów, do 11 mld zł. Do KPRM trafił z MSZ pion spraw europejskich, z Senatu RP dział wspierania Polonii i Polaków za granicą, zostało do KPRM przyłączone całe Ministerstwo Cyfryzacji i Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych. Tu zbiegały się procesy decyzyjne dużej części administracji państwa polskiego. To oznaczało jednak pracę nierzadko po kilkanaście godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu. To był niezwykle ciężki wysiłek setek urzędników oraz polityków z kierownictwa kancelarii. Rzecz jasna, nie uniknęliśmy błędów i potknięć, ale mam poczucie, że daliśmy z siebie wszystko i wiele rzeczy się udało.

eprasa.pl fb93a73578

Tym samym kancelaria premiera wchodziła na terytorium innych ministerstw, co zapewne generowało konflikty?

Czasami tak rzeczywiście było. Wszystko zależało od ludzi. Byli tacy, którzy potrafili stanąć ponad różnymi ambicjami i emocjami politycznymi. Muszę tu wspomnieć o ministrze zdrowia Adamie Niedzielskim, który zawsze prezentował wzorową postawę propaństwową. To było szczególnie istotne w trakcie organizacji Narodowego Programu Szczepień. Zdarzały się także zgrzyty, ale na szczęście absolutną większość z nich udawało się wyjaśnić i zamknąć.

Czy w czasie pandemii sprawy można było poprowadzić inaczej? Czy długie i surowe lockdowny zwłaszcza w pierwszej fazie nie były błędem? Rządy nadreagowały?

Dziś można prowadzić różne mądre dywagacje, można pouczać. Politycy na całym świecie mierzyli się ze zjawiskiem nowym, w istocie nieznanym. Sądzę, że polski rząd dobrze zdał ten egzamin. Warto też przypomnieć, że liczne nasze rozwiązania były kopiowane w krajach sąsiednich.

Nieśliście też pomoc opozycji białoruskiej. Czy pana zdaniem możliwe było obalenie Łukaszenki w chwili, gdy na ulicach demonstrowały miliony?

Chyba nie. Zdecydowało poparcie Putina dla Łukaszenki, świadomość rosyjskich bagnetów, które były w tle. W sumie zdarzyło się jednak coś dobrego. Trwale rozbudzono białoruskie nadzieje na suwerenność, skokowo została wzmocniona tożsamość białoruska. Część Białorusinów zweryfikowała swój stosunek do Rosji.

Później Łukaszenko uderzył w Polskę za pomocą sztucznej fali migracyjnej. To była zemsta? Przygotowanie do wojny z Ukrainą?

To na pewno było sprawdzenie naszej gotowości bojowej, determinacji i odporności psychicznej. Pokazaliśmy, że potrafimy wytrzymać dużo. Nasza Straż Graniczna, wojsko i policja przyjęły pierwsze uderzenie, a później bardzo szybko zbudowaliśmy pierwszą i drugą, już stałą, zaporę.

Czy wiedział pan, że Rosja uderzy na Ukrainę? Że wybuchnie pełnoskalowa wojna?

Poza Anglosasami nikt w Europie tak do końca chyba w to nie wierzył. Tak wynikało z informacji europejskiej wspólnoty wywiadowczej. Tylko Amerykanie i Brytyjczycy alarmowali, mówiąc, że będzie inwazja. Mało kto wierzył, również w Polsce, że historia może tak niesamowicie przyspieszyć.

Amerykanie wiedzieli, znali nawet datę inwazji. To pokazuje, jak bardzo wyprzedzają resztę stawki.

Tak, ale w zasadzie to nie jest zaskoczeniem. To Amerykanie mają najlepszy wywiad, najlepsze środki rozpoznania, nie tylko źródła osobowe, ale także wywiad radioelektroniczny, satelitarny itd. Z perspektywy czasu widać, że uderzenie rosyjskie było nieuniknione. Nie chodzi o samo zgrupowanie żołnierzy, ale o całą logistykę, sprzęt, amunicję, wyposażenie, które miesiącami były konsekwentnie przerzucane pod granice. Ja również długo nie dopuszczałem do siebie myśli, że tuż za naszą granicą rozpocznie się pełnoskalowa wojna. Wieczorem 23 lutego nadeszła informacja o wprowadzeniu przez oddziały rosyjskie ciszy radiowej. Niemal cała rosyjska łączność radiowa ucichła. To oznaczało, że za kilka do kilkunastu godzin rozpocznie się atak. I tak się niestety stało...

Zna pan Ukrainę od lat, może dekad. Czy spodziewał się pan, że Ukraińcy zdołają odeprzeć najazd rosyjskiego imperium?

Nie byłem tego całkowicie pewny, bo nikt nie mógł być pewny. Ale wiedziałem, że Ukraińcy nie rzucą broni, znałem ich zadziorność i determinację. Wiedziałem również, jak wiele w ukraińskich siłach zbrojnych zmieniło się po 2014 r. Nie sądziłem jednak, że opór będzie aż tak masowy i heroiczny. To jest coś, co i nas powinno inspirować. Gdy drugiego dnia wojny pojechałem na Ukrainę, zobaczyłem barykady niemal w każdej wsi i tysiące mężczyzn z bronią, również bardzo archaiczną, nawet myśliwską. Wówczas pomyślałem: „Ukraina nie może przegrać tej wojny". Znakomita większość narodu stanęła do obrony ojczyzny.

Jak to się stało, że cały świat nabrał się na rzekomą potęgę rosyjskiej armii?

Sami Rosjanie nie mieli pojęcia o skali problemu. Władze rosyjskie chyba naprawdę nie zdawały sobie sprawy z ogromu korupcji, bylejakości, braku procedur i archaicznego trybu działania. W pierwszej fazie wojny Ukraińcy mieli mało broni, mało amunicji, ale mieli olbrzymią determinację i elastyczność. Jedną z kluczowych kwestii okazała się samodzielność dowódców niskiego szczebla, także na poziomie kompanii czy plutonu. Ukraińscy młodzi oficerowie mieli po prostu otwarte głowy. Część pierwszorzutowych jednostek rosyjskich, o czym mówili mi sami Ukraińcy, była bardzo dobrze wyszkolona, i niejednokrotnie waleczna. Przykładem może być historia 20-osobowego oddziału Specnazu, który wjechał do Charkowa, zabarykadował się w umocnionej szkole i walczył do ostatniego żołnierza. Żaden z nich nie uciekł ani się nie poddał. Jednak absolutna większość rosyjskich jednostek boryka się od początku wojny z wieloma patologiami, słabym morale, problemami z logistyką, łącznością oraz schematycznym myśleniem. Jednak to nie powinno usypiać naszej czujności, a my z doświadczeń tej wojny musimy wyciągnąć wnioski.

Putin groził inwazją i uderzył. Teraz grozi nuklearnym atakiem. Czy są powody do obaw?

Nie można wykluczyć, że Kreml zdecyduje się na wykorzystanie taktycznej broni jądrowej przeciwko Ukrainie. Putin zachowuje się w sposób coraz bardziej nieobliczalny. Patrząc na dynamikę zdarzeń, dziś niestety żadnego scenariusza wykluczyć nie można.

Czy był taki moment po wybuchu wojny, gdy polscy przywódcy siedli i podjęli decyzję: pomagamy Ukrainie z całych sił, dajemy wszystko, co możemy, a nawet więcej?

Ta decyzja została podjęta w istocie już wcześniej. Z biegiem czasu wzrastała jednak determinacja. Ale pomoc płynęła już

eprasa.pl fb93a73578

przed rozpoczęciem wojny. Symbolicznie, ostatni transport lotniczy z uzbrojeniem, który dotarł do Kijowa, wystartował z Rzeszowa 23 lutego wieczorem. To był ukraiński Antonow, załadowany bronią zakupioną w ostatniej chwili przez Rządową Agencję Rezerw Strategicznych.

Polska pospieszyła z pomocą, ale czy po wojnie, po zwycięstwie, Ukraina nie pójdzie znowu w stronę Niemiec i Francji?

Tego oczywiście w 100 proc. nie można wykluczyć, ale jedno jest ważne: został zbudowany potencjał, jakiego w relacjach polsko-ukraińskich nigdy nie było. Oba narody wzajemnie się lubią, szanują i mają wobec siebie ciepłe uczucia. Jest też faktem, że kiedy skończy się wojna, Ukraina będzie w dramatycznej sytuacji. PKB już spadło o blisko 50 proc., wielu ludzi wyjechało, kraj utracił sporą część gospodarki i infrastruktury. Będzie to państwo, w którym znajdzie się mnóstwo nielegalnej broni, nastąpią wszystkie zjawiska związane z wychodzeniem ze stanu wojny. Odżyje część starych problemów, m.in. korupcja, oligarchizacja kraju. Wiele środowisk będzie też pracowało, już pracuje, by relacje Warszawy z Kijowem nie były zbyt dobre; zsumowany potencjał obu krajów jest tak duży, że zmienia zasady gry w tej części Europy. Liczne siły, nie tylko rosyjskie, zrobią wszystko, by ta współpraca nie układała się zbyt cukierkowo. Wierzę jednak, że jesteśmy na tyle dojrzali, że tej szansy, która pojawiła się przed nami, nie zmarnujemy.

Wracając do pana historii: czy miał pan poczucie, że jest obiektem szczególnie intensywnej nagonki? Relatywnie młodzi ludzie, którzy robią duże kariery, nigdy nie mają łatwo. A pan brał jeszcze na siebie najtrudniejsze zadania i wychodził z nich cało.

Na pewno popełniłem wiele błędów. Zbyt mocno, zwłaszcza w sytuacjach ultrakryzysowych, bywałem też skupiony na realizacji zadań, nie zawsze znajdując czas na to, by rozglądać się na boki i widzieć, co się dzieje wokół mnie. Nie zawsze znajdowałem czas, by rozmawiać z koleżankami i kolegami, by tłumaczyć sens moich działań. To mogło budzić różne emocje. A co do ataków na mnie, to nie mam wątpliwości, że bardzo wcześnie zostałem dostrzeżony przez „przyjaciół" z Białorusi i Rosji. Wspieraniem i Polaków na wschodzie, i przemian demokratycznych, przez pracę zarówno w organizacjach pozarządowych, jak i w administracji, zajmuję się od ćwierć wieku. W 2005 r. byłem zatrzymany przez białoruskie KGB, w 2006 r. deportowany z Białorusi. Przez wiele lat miałem zakaz wjazdu na Białoruś i na terytorium Federacji Rosyjskiej. Byłem współautorem mnóstwa projektów uderzających w reżim za wschodnią granicą – takich jak TV Biełsat, Radio Racja, pomoc represjonowanym. Ostatnie miesiące w dużej mierze poświęciłem na działania związane ze wspieraniem Ukrainy. Nie dziwi mnie więc, że jest sporo osób, które o ile tylko mogą, z radością będą utrudniać mi życie.

Po informacji o złożeniu przez pana rezygnacji z funkcji szefa KPRM wielu polityków białoruskich i ukraińskich – Swiatłana Cichanouska, Ołeksij Reznikow, minister obrony Ukrainy, wielu ministrów i wiceministrów ukraińskich w mediach społecznościowych dziękowało za pana dotychczasowe działania. Czuje pan satysfakcję?

To raczej poczucie, że udało się choć trochę tym bohaterskim ludziom pomóc w ich walce z rosyjską tyranią. Rosją, którą znamy od wieków, a która – nieważne, czy carska, stalinowska czy putinowska – zawsze pozostaje imperialna, agresywna, barbarzyńska i groźna dla swoich sąsiadów. Dla mnie zaszczytem była możliwość poznania tych ludzi i współpracy z nimi – szczególnie w tych dramatycznych chwilach naszej wspólnej najnowszej historii.

> Zakończenie misji szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów może frustrować głęboko tylko kogoś, kto uważa, że ministrem może być całe życie. Polityka jest dynamiczną dziedziną życia i zawsze towarzyszą jej zmiany

Co dalej?

Złożyłem rezygnację ze stanowiska szefa kancelarii premiera, a moim następcą będzie marszałek Marek Kuchciński. Jeszcze przez kilka tygodni będę członkiem Rady Ministrów, zamykając różne programy, które nadzoruję. Później zapewne będę pracował w Sejmie, jestem przecież posłem. Ale oczywiście te i inne działania muszę uzgodnić z władzami naszej formacji politycznej.

Prezes Jarosław Kaczyński kilkukrotnie podkreślał, że jest pan człowiekiem energicznym i skutecznym oraz że przed panem jeszcze niejedno wyzwanie. Czy są już jakieś konkretne plany?

Oczywiście miło słyszeć takie słowa. Teraz muszę się skupić na zamknięciu spraw, które prowadziłem, będąc szefem KPRM.

Odchodzi pan na rok przed wyborami. Czy PiS może wywalczyć trzecią kadencję?

Jestem o tym przekonany. Dlatego gdziekolwiek będę, będę robił wszystko, co w mojej mocy, by tak się stało. To, co słyszymy ze strony opozycji, to fala hejtu, krytyki, zwykle całkowicie pozbawiona konstruktywnych propozycji. A przecież czasy są trudne, bardzo niebezpieczne. Dlatego dziś nie widzę żadnej sensownej alternatywny dla naszego obozu politycznego.

eprasa.pl fb93a73578

Kto chce sfałszować wybory

To Donald Tusk i opozycja uważają za niemożliwą swoją wyborczą porażkę i przedsięwzięli środki mające poprawić wyniki wyborów

STANISŁAW JANECKI

Od powrotu do polskiej polityki Donald Tusk mówi o ryzyku sfałszowania wyników wyborów. Zamiar sfałszowania wyborów przypisuje rządzącemu Prawu i Sprawiedliwości. Ale od momentu powrotu to on proponuje rozwiązania niebezpieczne dla demokratycznych wyborów. Czy zamiar liczenia głosów po swojemu i zapowiedź nieuznania innego wyniku niż ten własny nie jest zamachem na wolne wybory? Czy powołanie oddziałów kontrolujących przebieg wyborów, co ma koordynować Komitet Obrony Demokracji, nie skończy się powstaniem bojówek zastraszających wyborców idących do lokali, a nawet członków komisji wyborczych? Przecież w tych oddziałach mają się znaleźć osoby znane z organizowania zadym, przeszkadzania w uroczystościach państwowych, przeszkadzania w spotkaniach z wyborcami, prowokowania niepokojów, atakowania policjantów i funkcjonariuszy innych służb. Czym jak nie zamachem na wolne wybory są zapowiedzi uruchomienia wszystkich możliwych organizacji międzynarodowych, w tym Komisji Europejskiej, Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, Rady Europy, Komisji Weneckiej, stowarzyszeń, fundacji, a nawet władz państw, jeśli wybory po raz trzeci z rzędu wygra PiS? A to ma udowodnić własny system liczenia głosów oraz zignorowanie wyników podanych przez Państwową Komisję Wyborczą. A nawet gdyby uznano wyniki ogłoszone przez PKW, ma być zakwestionowana uchwała Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego o ważności wyborów z powołaniem się na nielegalność samej tej izby.

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl fb93a73578

Od 4 czerwca 1989 r. nie było tylu zapowiedzi kwestionowania i poprawiania wyników wyborów po to, żeby były one odpowiednie dla obecnej opozycji. I nigdy wcześniej nie było chęci włączenia w to międzynarodowych organizacji, instytucji i rządów obcych państw jako gwaranta potrzeby poprawienia wyników wyborów, gdyby nie były one odpowiednie.

TUSK WYZNACZA ZADANIE

Na początku grudnia 2021 r., podczas wywiadu dla Onetu, przewodniczący Platformy Obywatelskiej Donald Tusk stwierdził: „Wybory mogą być nie tylko nieuczciwe, ale również sfałszowane. Aby uniknąć tego ryzyka, trzeba mieć własny, legalny system kontroli wyborów". 11 grudnia 2021 r. podczas obrad Rady Krajowej PO Tusk mówił: „Wyznaczam zadanie dla szefów regionów PO: przedstawiciel PO musi być bez wyjątku w każdej komisji wyborczej. Musimy stworzyć armię wolontariuszy złożoną z kilkudziesięciu tysięcy ludzi. Zbudujemy także system komputerowy, który pokaże wynik wyborczy co do głosu na podstawie zdjęć z każdego lokalu wyborczego". Powodem miała być możliwość manipulowania lub wręcz fałszowania wyborów, także na najniższym szczeblu. Podczas Campusu Polska Przyszłości (27 sierpnia – 2 września 2021 r.) Tusk sugerował sfałszowanie wyborów prezydenckich w 2020 r. wygranych przez Andrzeja Dudę przez... siostry zakonne: „Tajemnicze wyniki 100 proc. frekwencji i 100 proc. głosów na Andrzeja Dudę w obwodach zamkniętych prowadzonych przez zakonnice dla osób ciężko chorych. Bardzo ciekawy wynik, a różnica była minimalna".

19 maja 2022 r. na spotkaniu z mieszkańcami Zielonej Góry Tusk mówił: „W każdym lokalu wyborczym muszą być ludzie reprezentujący obywateli czy opozycję i pilnujący, by nie dochodziło do fałszerstw na tym zupełnie elementarnym poziomie". Ujawnił wtedy, że jego ugrupowanie ma zarejestrowanych 14 tys. osób do kontroli wyborów, a działania te koordynuje Komitet Obrony Demokracji, który jest rdzeniem akcji. Tusk zapowiedział stworzenie „aplikacji, całego projektu internetowego", który sprawi, że „będziemy w stanie ogłosić precyzyjnie wyniki wyborów w kilka godzin po". 3 czerwca 2022 r. przedstawiciele partii opozycyjnych, samorządów i organizacji społecznych podpisali porozumienie w sprawie Obywatelskiej Kontroli Wyborów. Porozumienie zawarto z inicjatywy Komitetu Obrony Demokracji.

22 września 2022 r. w Siedlcach Jarosław Kaczyński stwierdził: „Nasi przeciwnicy mówią: »Wygramy wybory, ale jeśli przegramy, to znaczy, że będą sfałszowane«. To znaczy, że sami chcą fałszować. Wybory organizują samorządy. A kto ma najwięcej samorządów? No, oni niestety, zwłaszcza w dużych miastach". W związku z tym są potrzebne nowe zasady liczenia głosów. I to „wprowadzimy w ustawie, tak żeby bardzo trudno było coś zmienić, żeby to było w zasadzie niemożliwe". Sekretarz generalny PiS Krzysztof Sobolewski podał szczegóły: „Chcemy wprowadzić takie zmiany, by komisje wyborcze mogły liczyć głosy najbardziej transparentnie, jak się da, czyli aby przewodniczący pokazywał każdy oddany głos całej komisji, cała komisja zapisywała sobie, czyj to głos (na kogo oddany), czy ważny, czy nieważny. Tak liczy się głosy w Wielkiej Brytanii, tak liczy się głosy w kilku innych państwach". Takie liczenie głosów będzie pewnie troszkę dłużej trwało, jednak będzie bardziej transparentne od dotychczasowego sposobu liczenia, gdzie karty wyborcze są dzielone, następnie liczone przez danych członków komisji, a potem sumowane. „Stwierdzenie Jarosława Kaczyńskiego, że PiS wygra wybory, jeśli będą uczciwe, brzmi jak kawał o Łukaszence i ma podważyć wiarę Polaków w uczciwość i sens wyborów, jeśli wygra opozycja" – mówił lider PO. Pytany o korpus ochrony wyborów, o którym prezes PiS Kaczyński mówił podczas spotkań z wyborcami, Tusk stwierdził: „To musi budzić niepokój wszystkich tych, którzy wierzą w sens demokracji w Polsce". Porozumienie KOD i opozycyjnych partii o utworzeniu czegoś znacznie szerszego nie budzi niepokoju. Posłanka Kamila Gasiuk-Pihowicz mówiła wtedy: „Kaczyński straszy w Siedlcach, że opozycja chce fałszować wybory. Tak się składa, że to władza zawsze ma narzędzia do tego".

Ani Tusk, ani Gasiuk-Pihowicz nie odnieśli się do fenomenu głosów nieważnych w wyborach organizowanych za czasów rządów PO-PSL, a to najprostszy sposób fałszowania wyników. Na przykład w wyborach do sejmików w 2014 r. głosów nieważnych było 18 proc., a w województwie wielkopolskim nawet 23 proc. We wcześniejszych trzech wyborach (2002, 2006 i 2010) odsetek głosów nieważnych wahał się między 12 a 14 proc. W wyborach do Sejmu w 2011 r. głosów nieważnych było 4,52 proc., podczas gdy w 2019 r. tylko 1,11 proc., czyli cztery razy mniej.

Autopromocja

eprasa.pl fb93a73578

AUTOKRATYZACJA MNIEMANA

W Fundacji im. Stefana Batorego powstało opracowanie (firmowane przez dr. Marcina Waleckiego, byłego dyrektora Departamentu Demokratyzacji OBWE/ODIHR), które za przygotowanie gruntu do fałszowania wyborów uważa właściwie wszystko, co rządy PiS zmieniły nie tylko w prawie wyborczym, ale i w państwie. Marcin Walecki stara się unikać jazdy po bandzie, czego nie można powiedzieć o omawiającej jego opracowanie „Gazecie Wyborczej". Niczym niepoparta jest teza Waleckiego, że nastąpiła stopniowa zmiana trendu w polityce kraju – z demokratyzacji na autokratyzację. A „w momencie, kiedy następuje ograniczanie pluralizmu politycznego i praworządności, systemowe nadużywanie mediów i środków publicznych, a także dochodzi do włączenia się państwa w wyścig wyborczy, co powoduje nierówność szans jego uczestników, wówczas wybory nie mogą być uznane za rzetelne, a więc za rzeczywiście demokratyczne". Ta końcowa konkluzja jest o tyle zabawna, że pochodzi z raportu Komisji Weneckiej z 21 października 2010 r., gdy trwała pierwsza kadencja rządu Donalda Tuska. Ale ma być dowodem przeciw PiS. Dr Walecki przyznaje jednak: „Wprowadzenie ustawą z dnia 14 października 2021 r. o zmianie ustawy Kodeks karny oraz niektórych innych ustaw nowych mechanizmów rejestru wpłat i umów jest dobrym rozwiązaniem idącym w kierunku zwiększenia przejrzystości finansowania partii politycznych. Szczególnie utworzenie elektronicznego rejestru wpłat prowadzonego i aktualizowanego przez partie może zwiększyć jawność finansowania polityki. Regulacje te są krokiem w dobrą stronę".

Wielkim osiągnięciem przed rządami PiS miała być obecność w składzie PKW wyłącznie sędziów najwyższych organów władzy sądowniczej. Tyle że to wtedy na wyniki wyborów trzeba było czekać absurdalnie długo, PKW była wyjątkowo niesprawna, a na patologie w rodzaju kilkukrotnego zwiększenia liczby głosów nieważnych nie było żadnego lekarstwa. Marcin Walecki napisał: „Państwowa Komisja Wyborcza może, choć nie musi, stać się przestrzenią do prowadzenia walki politycznej, ale też bronią wykorzystywaną przez rządzących". Tyle że nic takiego się nie działo. I nie ma najmniejszego dowodu, że decyzje o odrzuceniu sprawozdań wyborczych będą dotyczyły przede wszystkim partii opozycyjnych. Dotyczą wyłącznie tych, którzy łamią kodeks wyborczy. Zresztą po wyborach w 2015 r. (organizowanych przez rząd Ewy Kopacz) Partia Razem uniknęła odebrania 9,4 mln zł, a SLD 8,8 mln zł, gdyż zaskarżyły decyzje PKW do Sądu Najwyższego, a ten skierował sprawy do Trybunału Konstytucyjnego (sprawa nie została jeszcze rozstrzygnięta). Podobnie było po wyborach w 2019 r. w wypadku partii Konfederacja Wolność i Niepodległość oraz Partii Zieloni. Inaczej było w 2009 r., gdy Sąd Najwyższy potwierdził orzeczenie Sądu Apelacyjnego w Warszawie, a ten orzekł przepadek korzyści PSL w wysokości ponad 9 mln zł (sprawa ciągnęła się od wyborów w 2001 r.). Kto zatem powinien poważnie potraktować stanowisko Sądu Najwyższego, że pozbawienie partii politycznej subwencji na okres trzech lat *de facto* skutkuje jej marginalizacją, a tym samym prowadzi do faktycznej likwidacji? W wytycznych z 2016 r. Biuro Instytucji Demokratycznych i Praw Człowieka (instytucja OBWE) oraz Komisja Wenecka stwierdziły: „Nadużywanie zasobów administracji, zwanych także zasobami publicznymi, stanowi dzisiaj jedno z najważniejszych i stale powracających wyzwań [...]. Jest to ustabilizowane i rozpowszechnione zjawisko w wielu państwach europejskich, także w państwach o długiej tradycji wyborów demokratycznych". Kilka lat przed powstaniem tych wytycznych rządy PiS nie organizowały żadnych wyborów, więc nie sposób twierdzić, że czegokolwiek nadużywały.

WYNALAZEK PREKAMPANII

Wytyczne OBWE i Komisji Weneckiej z 2016 r. w sprawie zapobiegania i przeciwdziałania niewłaściwemu wykorzystywaniu zasobów administracyjnych w procesach wyborczych nie wynikały z jakichkolwiek działań rządów PiS, a jeśli się odnosiły, to do rządów PO-PSL w latach 2007–2015. To tamte rządy nie zapewniły „skutecznych mechanizmów zabraniających przedstawicielom władz publicznych nieuczciwego wykorzystywania zajmowanego stanowiska poprzez organizowanie oficjalnych wydarzeń publicznych dla celów kampanii wyborczej, w tym imprez charytatywnych lub wydarzeń, które faworyzują daną partię polityczną lub kandydata bądź działają na jej lub jego niekorzyść". Nie do PiS odnoszą się też zarzuty w sprawie prowadzenia prekampanii wyborczej i jej finansowania. Prekampanię rozpoczął Donald Tusk latem 2021 r., czyli ponad dwa lata przed terminem wyborów. Kwestia prekampanii została omówiona w raporcie Misji Obserwacji Wyborów (EAM) OBWE, przeprowadzającej obserwację wyborów do Sejmu i do Senatu w 2015 r., a na gruncie krajowym w raporcie Instytutu Spraw Publicznych (organizacji niemającej nic wspólnego z rządami PiS) z monitoringu finansowania samorządowej kampanii w 2014 r. To wtedy prekampanie stały się narzędziem obchodzenia wyborczych ograniczeń oraz „zagrożeniem dla systemu kontroli finansowania polityki". Patologią był brak zobowiązania podmiotów prowadzących prekampanię do przestrzegania limitu wydatków komitetów wyborczych na agitację wyborczą, a także brak zobowiązania do przedłożenia sprawozdania finansowego komitetu wyborczego właściwemu organowi wyborczemu. To wszystko dawało możliwość prowadzenia prekampanii przez różne podmioty, w tym instytucje publiczne (m.in. samorządowe) oraz podmioty korzystające ze środków publicznych (m.in fundacje), a także zagranicznych. To wszystko zaistniało przed objęciem władzy przez PiS w listopadzie 2015 r.

Za rządów PiS nie było żadnego przypadku nadużycia prokuratorskiego czy sądowego w związku z wyborami, podczas gdy wcześniej to się zdarzało, np. przez umarzanie postępowań o wyborcze fałszerstwa. Absurdem jest teza, obecna także w opracowaniu dr. Waleckiego, że wydatki spółek skarbu państwa na reklamę stają się instrumentem manipulacji politycznej, służą do pozycjonowania użytkownikom konkretnych treści i tworzenia toksycznej polaryzacji, a przede wszystkim mobilizacji wyborców. Opozycja ma medialną przewagę i to te media odpowiadają za ostrą polaryzację, a nie podlegają żadnej kontroli PKW w przeciwieństwie do mediów publicznych. Jeśli ktoś zmierza do fałszowania wyborów, kwestionowania ich wyników i rozpętania z tego powodu wielkiej międzynarodowej afery, to opozycja i Donald Tusk. To oni uważają za niemożliwą swoją wyborczą porażkę i przedsięwzięli środki mające poprawić wyniki wyborów.

Reklama | 17/0922/F

eprasa.pl fb93a73578

Żeby zostać mistrzem świata

ORLEN

trzeba najpierw zostać mistrzem podwórka

ZAGŁOSUJ NA MŁODEGO SPORTOWCA NA:

i.PL /MISTRZOWIE

I POMÓŻ MU WYGRAĆ TRENING Z GWIAZDĄ POLSKIEGO SPORTU.

eprasa.pl fb93a73578

Jarosław Gowin gra o coraz niższe stawki. Dziś jest nią utrzymanie władzy w marginalnym Porozumieniu. Ostatni bunt przetrwał, ale jego nazwisko wciąż jest największym obciążeniem dla partii

Niepotrzebny

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

W polityce nie wolno wykluczać niczego. Ale z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że Jarosław Gowin szczyt swojej kariery ma już za sobą. Stanowisko wicepremiera i niezwykłe wpływy (dużo większe od realnej siły politycznej) są pieśnią, która chyba już nie zabrzmi. Dlatego jest o krok od odejścia z polityki. Przynajmniej na jakiś czas.

– Jeszcze się nie pozbierał. Nie jest z nim dobrze, ale wcale się nie dziwię. Miał prawie wszystko, a dziś nie ma prawie nic – słyszymy od polityka z opozycji, który – jak podkreśla – dobrze życzy byłemu wicepremierowi.

WYROK ODROCZONY

„Przed chwilą Zarząd Krajowy Porozumienia udzielił mi wotum zaufania w głosowaniu tajnym. Dziękuję za jednomyślność Przyjaciołom z partii. Idziemy bić się dalej o Polskę!" – ogłosił Gowin na Twitterze 1 października.

Z każdym elementem tej informacji jest coś nie tak. Gdyby rzeczywiście w dziewięcioosobowym zarządzie partii istniała jednomyślność, nikt nie rozważałby nawet posiedzenia w tej sprawie w środku kadencji władz. Owa dziewiątka to nie tylko przyjaciele Gowina, lecz również osoby, które chętnie by się go pozbyły. Uratowanie się Gowin zawdzięcza ponoć Janowi Strzeżkowi – radnemu

Fot. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl fb93a73578

Warszawy, dziś prawej ręce prezesa – to on zadbał o pozorne podtrzymanie jedności i przekonał kolegów, by ze zmianami jeszcze się wstrzymali. Zapewne na krótko.

Być może jedynym argumentem za pozostawieniem Gowina na czele Porozumienia była publikacja „Gazety Wyborczej" z 29 września, kiedy tonem przesądzającym ogłoszono, że za dwa dni prezesem partii zostanie Magdalena Sroka, dotychczasowa rzeczniczka.

Według naszych rozmówców za tą publikacją miał stać Michał Wypij. Dzień wcześniej był widziany w czasie długiej pogawędki z autorką materiału w gazecie Michnika. Nie jest tajemnicą, że sam nie widzi przyszłości w Porozumieniu. – Między Jarkiem a Michałem nigdy nie było różowo, ale teraz trwa niemal otwarta wojna. Gowin nigdy nie traktował Wypija poważnie i się z tym nie krył. Nie dziwię się, że Michał od kilku miesięcy opowiada, że zaraz odejdzie z partii. Pozostawienie starego prezesa na czele może tylko przyspieszyć jego decyzję – mówi nam były poseł Porozumienia.

Kolejny wskazuje: – Wiem dokładnie, co tam się dzieje, bo to przecież nasi koledzy. Mamy wspólnych znajomych, o tym się teraz nieustannie rozmawia. Gowin ma na pokładzie poważny bunt. Kilkoro ważnych ludzi jest już dogadanych z Hołownią. Jarek obiecał kiedyś, że ci, którzy z nim zostaną, będą ministrami, bo przecież on miał być premierem. Nic z tego nie wyszło, kolejne drogi się przed nimi zamykają i tracą na wartości. A wybory coraz bliżej. Obiecał więc jedynki na listach, ale i tu jest kłopot, bo nawet gdyby poszli z PSL, to będą otwierać listy tam, gdzie dla ludowców nie będzie mandatu.

Michał Wypij jest już podobno po słowie z Polską 2050. Tę samą drogę wcześniej obrał Wojciech Maksymowicz, były wiceprezes Porozumienia, przez kilkanaście miesięcy wiceminister nauki w rządzie Mateusza Morawieckiego. Dla Maksymowicza to naturalny kierunek. W 2015 r. startował do Senatu jako kandydat niezależny z list PSL, z którym dziś zacieśnia współpracę partia Szymona Hołowni. Z Gowinem Maksymowicz był związany od 2013 r., gdy obaj porzucili Platformę Obywatelską i założyli Polskę Razem.

Wypij jest „szczerze zdziwiony", gdy pytamy go o bunt w Porozumieniu i ewentualne wydrenowanie partii przez Polskę 2050, która chciałaby przygarnąć ugrupowanie Gowina, ale bez przywódcy. – Po raz pierwszy teraz od pana dowiaduję się, że jest taka sytuacja, zwłaszcza jeśli chodzi o drenowanie kogokolwiek – mówi poseł. – Nie ma żadnego buntu, było ostatnio posiedzenie zarządu i tam jednogłośnie udzielono wotum zaufania dla premiera Gowina. Trudno więc mówić o niezadowoleniu. Nie ma takich przejawów, choć domyślam się, że niektórzy by nam tego życzyli.

LUDOWCY OTWARCI

Aby rozważać możliwości Porozumienia, warto zerknąć na ostatni sondaż poparcia dla partii politycznych przeprowadzony przez pracownię Social Changes dla portalu wPolityce.pl. Wynika z niego, że partia Gowina może liczyć ledwie na 1 proc. poparcia. Tracą też inni mali: Kukiz'15 ma 2 proc., PSL – 4 proc., Lewica – 7 proc., Konfederacja – 8 proc., Polska 2050 – 9 proc. Tylko giganci nieco poprawili wyniki i dziś PiS cieszy się poparciem 37 proc. badanych, a KO – 30 proc.

Już pobieżna analiza tego sondażu uświadamia, gdzie Porozumienie może szukać ostatniej nadziei. To PSL, które zdecydowało, że nie pójdzie do przyszłorocznych wyborów na jednej liście z Platformą i SLD. Władysław Kosiniak-Kamysz wie jednak, że dzisiejszy kształt Koalicji Polskiej nie gwarantuje dostania się do Sejmu. Dlatego potrzebuje co najmniej jednego silnego sojusznika (w tej roli może wystąpić Polska 2050) albo przynajmniej kilku słabszych.

Z tego powodu od dawna powstaje blok skupiający m.in. konserwatystów niedawno bez żalu żegnanych w PO (środowisko Ireneusza Rasia). Już wcześniej byli w nim ludzie Marka Biernackiego. Dziś z sympatią w tę stronę patrzy też Bronisław Komorowski i przy wielu okazjach błogosławi centroprawicową inicjatywę (on zresztą jako jedyny ciepło mówi

eprasa.pl fb93a73578

o Porozumieniu i z troską pochyla się nad Gowinem, twierdząc, że staje się ofiarą linczu politycznego). Lecz to wciąż za mało, by Koalicja Polska miała pewność dostania się do Sejmu w 2023 r.

– Może być tak, że o naszym „być albo nie być" zadecydują pojedyncze głosy. Dlatego liczy się każda osoba, która doda „coś ekstra". Np. Magda Sroka jest bardzo lubiana, ma świetne wyniki na Pomorzu – mówi nam polityk z władz PSL.

Posłanka z Trójmiasta jest zresztą najmocniej zaangażowana we współpracę z KP. Na początku czerwca wspólnie z Markiem Biernackim (kiedyś ministrem u Donalda Tuska, dziś posłem Koalicji Polskiej) podpisali „Deklarację współpracy programowej dla Pomorza", niedługo później otworzyli wspólne biuro poselskie w Kwidzynie, a we wrześniu kolejne w Żukowie.

Biernacki zapowiadał, że celem są wspólne listy wyborcze obu ugrupowań. Tyle że istnieje jedna przeszkoda: Jarosław Gowin.

Plan maksimum zakłada bowiem blok centrowy z udziałem Polski 2050, a lider tej formacji nie chce nawet słyszeć o jednej liście z Gowinem i wyklucza z nim jakąkolwiek współpracę. W odpowiedzi Władysław Kosiniak-Kamysz w „Kwadransie politycznym" w TVP1 przypomniał Hołowni, że ma u siebie na pokładzie Wojciecha Maksymowicza, który pozostał w rządzie PiS nawet wówczas, gdy nie było w nim już Gowina.

Prezes ludowców stara się nie stracić żadnej opcji, dlatego nie zamyka drzwi przed kimkolwiek. Jednak z naszych informacji wynika, że to już tylko kurtuazja, bo jego kontakty z Gowinem znacznie się rozrzedziły. A to prezes PSL był łącznikiem opozycji z Porozumieniem, gdy chwiała się koalicja Zjednoczonej Prawicy.

NIECHCIANY

Paweł Zalewski z Polski 2050 pytany o przyszłość Jarosława Gowina próbuje odpowiadać wymijająco i odsyła do samego zainteresowanego. A czy w jakiejkolwiek konfiguracji widzi go w sojuszu z Polski 2050? – Wypowiedź Szymona Hołowni była w tym względzie jednoznaczna, nie planujemy żadnej współpracy z panem Gowinem. Nie to znaczy nie – mówi poseł Polski 2050. Można wywnioskować, że tej stanowczości nie złamią nawet zabiegi PSL. Pytamy więc, dlaczego możliwa jest współpraca z Wojciechem Maksymowiczem, a z samym Gowinem nie? – Pan Maksymowicz był w tym obozie, ale już nie jest – ucina Zalewski.

Donald Tusk, delikatnie mówiąc, nie był zadowolony, że Jarosław Gowin pojawił się na spotkaniu liderów opozycji, które zorganizowano w rocznicę wstąpienia Polski do NATO. „Już kiedyś miałem okazję współpracować z panem Jarosławem Gowinem. Wystarczy" – odpowiedział na pytania dziennikarzy. Po tej nieco sennej imprezie pozostał jeszcze jeden cytat Tuska, tym razem ze spotkania z partyjną młodzieżówką we Wrocławiu: „Zaczęła się dyskusja o przyszłości politycznej polityków, którzy budowali tę władzę PiS, uczestniczyli w niej, a dzisiaj się budzą. Wszystkim życzę jak najszybszego dojścia do uczciwej refleksji nad tym, co się robiło i robi. [...] Powiem brutalnie: pan Jarosław Gowin będzie jednak raczej rozliczany, a nie będzie rozliczał" – stwierdził Donald Tusk.

Gowin i jego ludzie z całych sił próbują uwiarygodniać się w mediach społecznościowych, strzykając jadem w niedawnych koalicjantów. Tweetują o zdegenerowanym państwie pod rządami PiS czy „szczujni" w TVP. A mimo to kolejne drogi politycznego rozwoju dla Porozumienia są odcinane. – Jeżeli ktokolwiek chce wygrać z PiS, a zaczyna od podziałów czy ataków na opozycji, ten nie zdaje sobie sprawy, że tak naprawdę tańczy do melodii, którą zagrał mu Jarosław Kaczyński – komentuje słowa Hołowni i Tuska poseł Michał Wypij. I dodaje: – Mam wrażenie, że chyba jako jedyni na opozycji mamy świadomość tego, jak dobrze zorganizowaną machiną wyborczą jest obecny obóz władzy.

> Gowin ma na pokładzie poważny bunt. Kilkoro ważnych ludzi jest już dogadanych z Hołownią – mówi nam były poseł Porozumienia

Takie okoliczności skazują Gowina na mariaż z PSL, co i tak może nie wypalić. – Jarek nie może się pozbierać po słowach Tuska, że będzie rozliczany. A przecież dołożył jeszcze Hołownia, że nie będzie współpracy i za chwilę to samo zrobi Kosiniak – mówi były poseł Porozumienia. Według naszego rozmówcy prezes PSL może po prostu wybrać sojusz z Hołownią, który da mu obecność w Sejmie. Od Gowina na pewno tego nie dostanie.

SERIA BŁĘDÓW

Za Gowinem ciągnie się także bliska współpraca z Robertem Anackim, byłym wiceprezesem partii. Opuścił ją w maju 2021 r., tłumacząc się kwestiami osobistymi i chęcią rozwoju kariery biznesowej. Dwa miesiące wcześniej w tygodniku „Sieci" opisaliśmy, jak samorządowiec z Gorzowa Wielkopolskiego, prawa ręka wicepremiera, miał lobbować w Ministerstwie Finansów na rzecz słowackiej firmy SkyToll, która chciała budować nowy krajowy systemu poboru opłat drogowych w Polsce. „Prześledziliśmy strukturę właścicielską firmy SkyToll i jej powiązania. Szlaki wiodą poprzez Holandię na Cypr, a ostatecznie do Olega Dieripaski, który jest jednym z »putinowskich ambasadorów«. Rosyjski prezydent używa ich do budowania relacji, które mogą być pożyteczne w dużych operacjach polityczno-biznesowych prowadzonych przez Moskwę. Sprawdziliśmy te informacje. Rzeczywiście łańcuch właścicielski nad firmą SkyToll prowadzi od jej szefa Petra Syrovátki do należących do niego spółek rejestrowanych na Cyprze" – pisaliśmy wówczas w „Sieci".

Krajowy Sąd Koleżeński Porozumienia pytał też o firmę TecraCoin działającą na rynku kryptowalut. Wątpliwości dotyczyły m.in. tego, czy Gowin wiedział, że Anacki jest w niej współwłaścicielem i zarządzającym. To zasadne pytanie, bo

eprasa.pl fb93a73578

Tecra otrzymała 10 mln zł dotacji z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, nad którym nadzór sprawował Gowin.

Anacki był też człowiekiem, którego wysyłano w teren, by pomóc przejąć struktury Ochotniczych Hufców Pracy. Ta organizacja przypadła w ramach koalicyjnych uzgodnień Porozumieniu, ale politycy Gowina szybko wyczuli, że jest na tyle prężna, iż można na niej zbudować istotną strukturę partyjną. Pisaliśmy również o głośnych protestach, bowiem stanowiska kierownicze obejmowali ludzie bez żadnego przygotowania, zastępując wieloletnich pracowników. – Dziwna to była koalicja z PiS, skoro koalicjantów wycinano brutalniej, niż gdyby to byli polityczni wrogowie – przypomina nam jeden z komendantów OHP ze wschodniej Polski.

Przygotowania do takich operacji miały się zacząć już po wyborach w 2019 r., gdy swoim ludziom Gowin ogłosił, że to ostatnia kadencja Porozumienia w Zjednoczonej Prawicy. Rozpoczął grę obliczoną na maksymalne poszerzenie zaplecza i rozbicie układu władzy. Kluczowym momentem był sprzeciw wobec organizowania wyborów prezydenckich w 2020 r. w trybie korespondencyjnym ze względu na pandemię.

Rozbujał koalicyjną łódkę, ale jej nie wywrócił, bo ostatecznie nie pokusił się o jawne przejście na stronę opozycji i zajęcie stanowiska marszałka Sejmu w zamian za pomoc przy obaleniu rządu Morawieckiego. Ambicja pchała go do fotela premiera. Przeliczył się, po krytyce Polskiego Ładu został wyrzucony z koalicji, partia mocno mu się skurczyła, a on sam przypłacił to poważnymi kłopotami zdrowotnymi.

Wiele osób w Zjednoczonej Prawicy utrzymuje, że zjazd Gowina z najwyższych szczebli polityki zaczął się od otoczenia niewłaściwymi ludźmi. Nasi rozmówcy wskazują przede wszystkim na Wojciecha Maksymowicza (swoimi ambicjami nieustannie podburzał szefa do bombardowania trwałości koalicji z PiS i SP) oraz właśnie Roberta Anackiego, dziś radnego w Gorzowie Wielkopolskim (wykluczonego z klubu PiS). – Od ponad dziewięciu miesięcy sesje rady miasta odbywają się już stacjonarnie i w tym czasie pan Anacki pojawił się tylko raz. Wszedł na salę, po chwili wyszedł, nie przywitał się nawet – opowiada jeden z gorzowskich radnych. W kuluarach mówi się, że poplecznik Gowina zniknął ze sceny, bo pojawiło się za dużo wątpliwości wokół jego interesów, a dodatkowo ma problemy ze zdrowiem. – Życzymy mu oczywiście dobrze, ale napięcia, z którymi musi się mierzyć, pojawiają się zazwyczaj, gdy idzie się do polityki bez idei. Okazało się, że Porozumienie nabrało część swoich wyborców i po jednej kadencji znika. Jak Palikot.

Hucpiarz z Biłgoraja miał jednak tę przewagę nad Gowinem, że z parlamentu mógł wrócić do biznesu. Był też odporniejszy na olbrzymie obciążenia psychiczne, nierozerwalnie związane z uprawianiem polityki. A to słaby punkt byłego wicepremiera. Przed rokiem z powodu głębokiej depresji, z ranami po samookaleczeniu na miesiąc trafił do szpitala.

Szybko wrócił do spraw partyjnych, choć przyjaciele mu to odradzali. Teraz, gdy odbudowa kariery politycznej się nie udała, będzie mógł skupić się już tylko na własnym zdrowiu.

49/0822/F

REKLAMA

KRYNICA FORUM

MAŁOPOLSKA

KRYNICA FORUM 2022

SYNERGIA ŚWIATA BIZNESU, POLITYKI I NAUKI W SERCU EUROPY

Specjalnie dla czytelników SIECI rabat 30%!*

*na wejściówkę BASIC

Zarejestruj się już dziś z kodem:

KF30SIECI

Krynica-Zdrój, 19-21.10.2022

eprasa.pl/fb93a73578

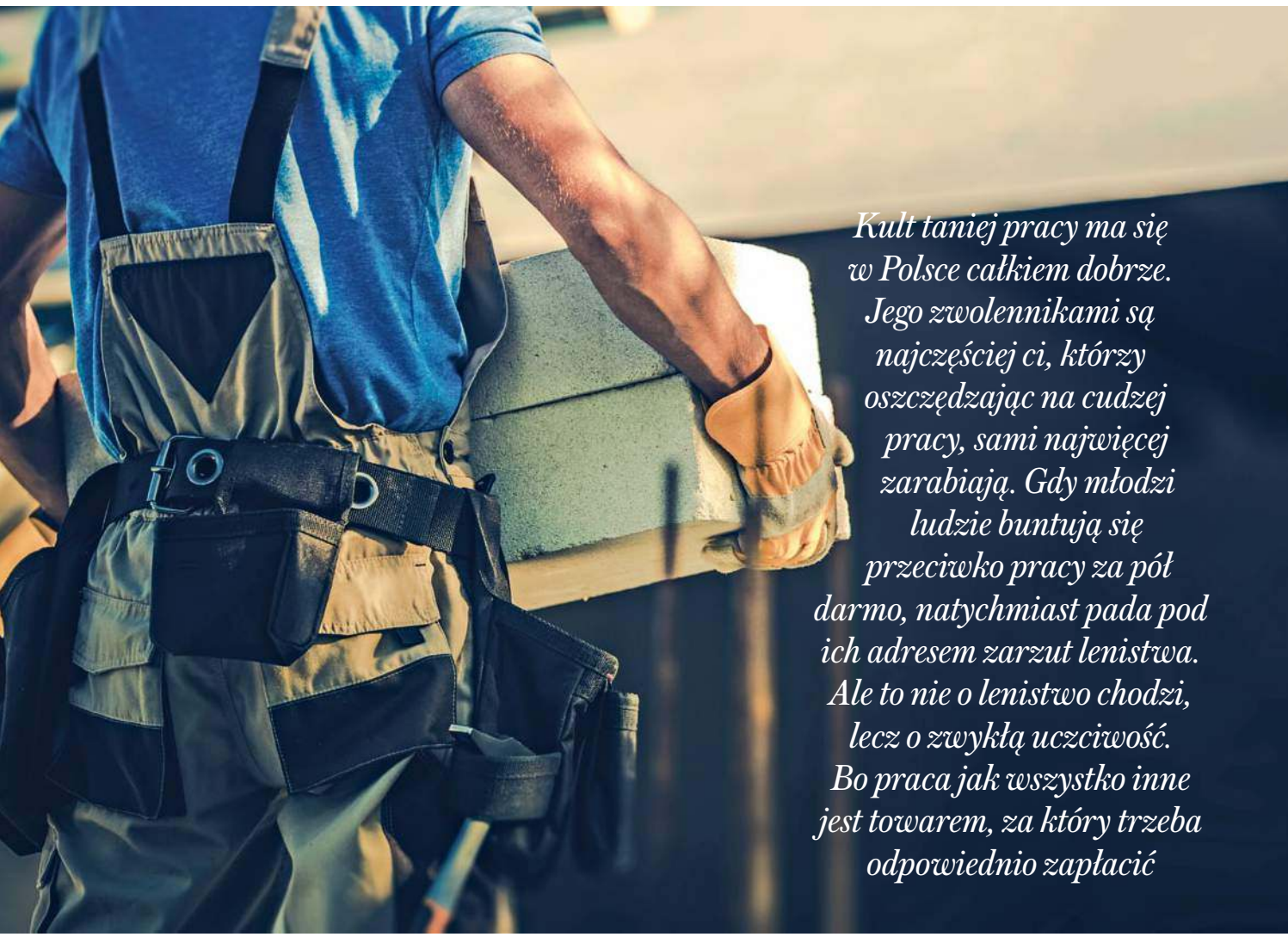

Kult taniej pracy ma się w Polsce całkiem dobrze. Jego zwolennikami są najczęściej ci, którzy oszczędzając na cudzej pracy, sami najwięcej zarabiają. Gdy młodzi ludzie buntują się przeciwko pracy za pół darmo, natychmiast pada pod ich adresem zarzut lenistwa. Ale to nie o lenistwo chodzi, lecz o zwykłą uczciwość. Bo praca jak wszystko inne jest towarem, za który trzeba odpowiednio zapłacić

Praca czy niewola?

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Mamy dziś w Polsce biedakapitalizm. Polega on na tym, że oszczędza się na wszystkim, począwszy od podatku VAT (to już na szczęście w dużej mierze historia), a skończywszy na wypłatach dla pracowników. Dzięki temu w kieszeni biedakapitalisty zostaje więcej pieniędzy. Bo przecież – jak wszyscy wiemy – jest bardzo ciężko, sytuacja gospodarcza nie najlepsza i trudno chyba oczekiwać od biedakapitalisty, by odejmował sobie od ust i rezygnował z kolejnego samochodu, wysłania dziecka na zagraniczne studia czy z wakacji na Mauritiusie. Pracownik musi się na to wszystko zrzucić. Na tym polega przecież zdaniem biedakapitalisty solidarność społeczna – on daje pracę, a pracownik ją bez szemrania wykonuje. I powinien się cieszyć, że ją w ogóle dostał.

Taki system panował w Polsce przez wiele lat, bo przez wiele lat wychodziliśmy z PRL-owskiego dziadostwa. O prawach pracowniczych szybko zapomniano, bo przecież w kapitalizmie one rzekomo nie obowiązują. Praca, praca, ciężka praca – to dzięki niej wszyscy mieli się wzbogacić. Pracodawca, który dawał taką możliwość, był bogiem, bo to dzięki jego dobrej woli,

Fot. Shutterstock

eprasa.pl fb93a73578

pańskiej łasce można było utrzymać się przy życiu, a – jak dobrze poszło – trochę się dorobić. Protestować przeciwko takiemu łaskawcy było czymś gorszym od bluźnierstwa. Biblią wśród biedakapitalistów stała się „Etyka protestancka i duch kapitalizmu" Maxa Webera, który dowodził, że narody katolickie są zacofane, bo katolicy są skończonymi leniami, którym nie chce się pracować.

Nasze stosunki pracy przypominały trochę te, które panują między Polską a Unią Europejską. Polska jest w tym porównaniu pokornym pracownikiem, który żebrze o łaskę u swojego pracodawcy zasiadającego gdzieś w Brukseli lub Berlinie. Polska ma się cieszyć, że ją przyjęto do Unii, bo przecież Unia łoży na Polskę wielkie pieniądze. A jak się Polsce to nie podoba, to może zostać wyrzucona z elitarnego klubu. Nikt oczywiście nie wspomina o tym, że unijne koncerny zarabiają gigantyczne pieniądze na polskich tanich pracownikach i transferują zyski do swoich central. A więc nie jest tak, że wyłącznie Polska na tym zyskuje.

Gdy w końcu Polska zaczęła się burzyć przeciwko dotychczasowemu układowi i domagać się większej podmiotowości, Unia się zdenerwowała. Z pracodawcami i pracownikami jest podobnie. Gdy tylko pracownik żąda od pracodawcy lepszych, bardziej uczciwych warunków, natychmiast jest atakowany. A to przecież tylko – podobnie jak w relacjach polsko-unijnych – wybijanie się na niepodległość, domaganie się podmiotowości i normalności.

MĄDROŚCI PANI GRAŻYNY

Relacje między pracownikiem i pracodawcą są obustronne w tym sensie, że każda ze stron osiąga jakieś korzyści. Jeśli ta równowaga jest zachwiana, to mamy do czynienia z wyzyskiem. Oczywiście nie brakuje uczciwych pracodawców, tak jak – z drugiej strony – zdarzają się nieuczciwi pracownicy, chodzi jedynie o to, by skończyć z mitem, że praca jest łaską. Nie, praca to po prostu towar, który – tak jak wszystko – ma swoją cenę.

Co ciekawe, nasi rodzimi biedakapitaliści, którzy są – jak wiadomo – wielkimi wyznawcami wolnego rynku („niewidzialna ręka" i tym podobne bzdury), wyłączają spod jego reguł stosunki pracy. Gdy cudza praca staje się dla nich zbyt droga, protestują, histeryzują, jak – nie przymierzając – zawodowi związkowcy. I natychmiast żądają obniżki stawki.

Niedawno w podobnym kontekście wypowiedziała się Grażyna Kulczyk, miliarderka i słynna była żona swojego równie słynnego, nieżyjącego już męża. W rozmowie z „Gazetą Wyborczą" oburzała się ona na młodych ludzi, że nie chce im się pracować po 20 godzin na dobę i że ciągle zerkają w pracy na zegarek, a nawet wtedy, gdy są w trakcie robienia „czegoś fantastycznego", po prostu wychodzą do domu.

> Ciężka praca nie świadczy najczęściej o zamożności, lecz o ubóstwie. Jeśli gdzieś trzeba pracować po kilkanaście godzin na dobę, by przeżyć, oznacza to, że życie w takim miejscu nie jest lekkie

Zapewne łatwiej jest siedzieć w pracy po 20 godzin, gdy zarabia się przykładowo na drakońskich opłatach za przejazd wiecznie remontowaną autostradą, ma się wielki dom handlowy, a do pieniędzy dochodziło dzięki przetargom na samochody dla policji oraz zyskownym prywatyzacjom zakładów chemicznych i największej polskiej firmy telekomunikacyjnej. Takie projekty rzeczywiście są „fantastyczne" i praca przy nich jest przyjemnością, a nie obowiązkiem. Punkt widzenia właściciela firmy niekoniecznie jest jednak tożsamy z punktem widzenia pracownika. Jego zyski są znacznie niższe, więc wkład pracy również.

Oczywiście nie ma nic złego w tym, jeśli ktoś pracuje po 20 godzin na dobę. Pod warunkiem, że sam tego chce i że nie liczy się z własnym zdrowiem. No i otrzymuje za to solidne wynagrodzenie. Najczęściej tak jednak nie jest. Praca w nadgodzinach jest uważana za obowiązek pracownika i rzadko kiedy dostaje za nią dodatkowe pieniądze.

Wcześniej pracę w nadgodzinach zachwalał polski prawnik-celebryta Marcin Matczak, który rozczulał się nad czasami, gdy sam pracował po 16 godzin na dobę i dzięki temu doszedł do tego, do czego doszedł. Teraz do tego grona dołączył jeszcze Sławomir Mentzen, korwinista i właściciel kancelarii podatkowej, w której – jak piszą media – za pracę ponad normę oferuje swoim pracownikom 3500 zł brutto wypłaty. Mentzen chwali swoich podwładnych za pracę w soboty i niedzielę oraz podziwia ludzi pracujących po 60 godzin tygodniowo. Jeśli dobrze zarabiają, to wszystko w porządku. Problem w tym, że wielu ludzi haruje w takim wymiarze nie dlatego, że chcą sobie dorobić, ale dlatego, że im nie starcza na utrzymanie.

EMIGRACJA DO BANGLADESZU

Według danych OECD Polacy nie są leniwi i pracują bardzo dużo. W 2017 r. przepracowali średnio 1928 godzin, co dało nam w rankingu wysokie, siódme miejsce. Warto jednak zwrócić uwagę na miejsce pierwsze, na którym znalazł się Meksyk (2258 godzin rocznie). Czy ktoś o elementarnej wiedzy o świecie uważa to latynoskie państwo za oazę bogactwa i wzór do naśladowania?

Ciężka praca nie świadczy najczęściej o zamożności, lecz o ubóstwie. Żyje się przecież nie po to, by pracować (to byłoby niewolnictwo), ale pracuje po to, by żyć. I jeśli gdzieś trzeba pracować po kilkanaście godzin na dobę, by przeżyć, to oznacza to po prostu, że życie w takim miejscu nie jest lekkie. Nie zachwycałbym się więc niczyją harówką od rana do nocy, bo to jest raczej powód do zmartwienia, a nie do dumy.

eprasa.pl fb93a73578

Miłośnicy cudzej pracy za friko dobrze o tym wiedzą. Bo sami nie chcą przecież zasuwać po kilkanaście godzin za grosze. Jeśli więc chcą utrzymać wysoki standard życia, muszą złupić swoich pracowników, wmawiając im, że taka jest naturalna kolej rzeczy.

Nasi biedakapitaliści, których nie stać na wypłaty dla swoich pracowników, są zwykle wielkimi przeciwnikami programów socjalnych. To oni bardzo głośno krzyczą, że rząd rozdaje pieniądze leniwej tłuszczy, która wszystko przepija i której nie chce się potem pracować. Oczywiście tak nie jest. W gruncie rzeczy biedakapitalistom przeszkadza to, że wraz z eliminacją ubóstwa w Polsce tracą niewolników, którzy zgodzą się u nich pracować za najniższą stawkę.

Z ich punktu widzenia najlepiej więc byłoby, gdyby Polska nadal tkwiła w biedzie. Nie mogą znieść tego, że poziom życia w ciągu ostatnich 30 lat wyraźnie wzrósł i ich oferta przestała być dla wielu ludzi atrakcyjna. No cóż, takie są twarde prawa wolnego rynku, chciałoby się powiedzieć. Najlepiej byłoby więc, gdyby w poszukiwaniu zysków wyemigrowali, np. do Bangladeszu czy Sri Lanki. Tam na pewno znajdą jeszcze chętnych.

W emigracji nie ma przecież nic złego. Przez całe lata byliśmy przecież karmieni naukami, że człowiek poszukujący pracy powinien być mobilny i gotowy przenieść się na drugi koniec świata. W Ameryce wszyscy tak robią. Niech więc biedakapitaliści, skoro im tak źle, skorzystają teraz z własnych nauk. Nie ma w tym żadnej złośliwości, skoro czyjś biznes nie dopina się z powodu wypłat dla pracowników, to ma trzy wyjścia: albo zlikwidować interes, albo go przenieść, albo zmienić zasady wynagradzania, tak by były one atrakcyjne dla tych, którzy gotowi są więcej pracować.

Oczywiście z punktu widzenia polskiego interesu gospodarczego lepiej byłoby utrzymać istniejące miejsca pracy. Jednak taki układ musi być uczciwy, za ciężką pracę (nie za każdą, za ciężką) należy dobrze zapłacić. Wysokość dochodów pracowników przekłada się przecież na ogólny poziom bogactwa: zwiększa dochody z podatków oraz tworzy popyt na towary i usługi – czyli właściciele firm w ostatecznym rachunku zyskują. Nasi biedakapitaliści pozostają jednak mentalnie w siermiężnej rzeczywistości lat 90. Najczęściej nie rozumieją, że ich egoizm długofalowo nie popłaca.

SEDES KONTRA UNIWERSYTET

Oczywiście pojawia się pytanie, czy w Polsce są wykwalifikowani pracownicy, którym warto dobrze zapłacić. Podaje się przykłady młodych, niedoświadczonych zawodowo ludzi, którzy domagają się od pracodawców solidnych zarobków już na samym starcie kariery.

> Nie tylko czas pracy decyduje o zarobkach, ale i popyt na określone usługi czy kompetencje. To dlatego wzięty stolarz czy hydraulik jest w Polsce zamożniejszy od nauczyciela akademickiego

Pojawia się tu konflikt międzypokoleniowy. Ci, którzy przepracowali już kilkanaście lub więcej lat, zaczynali zwykle od najniższych stawek i uważają za niesprawiedliwe, że nowi pracownicy domagają się dzisiaj znacznie więcej. To zrozumiałe, ale znowu trzeba przypomnieć, że warunki życia w Polsce są inne, niż były kiedyś. Młodzi ludzie zostali wychowani w większym dobrobycie niż ich rodzice i mają wyższe oczekiwania. Jak wynika z badań, są gotowi w ogóle nie pracować, niż podjąć pracę za grosze. Ten problem pojawił się wraz z wyższym poziomem zamożności na Zachodzie. I tam został rozwiązany dzięki emigrantom, którzy byli gotowi podjąć niskopłatną pracę.

Pracodawca nie jest jednak bezbronny. Jeżeli oferuje pracę wymagającą większych kwalifikacji, uczciwie jest zaoferować wyższą stawkę, ale zatrudnić pracownika na czas próbny. Jeśli taki pracownik się nie sprawdzi lub będzie leniwy, zawsze można mu podziękować.

Osobnym problemem jest struktura rynku pracy, na którym istnieją lepiej i słabiej płatne zawody. Informatyk czy lekarz ma statystycznie znacznie większą szansę na wysokie zarobki niż – powiedzmy – historyk czy polonista. Dwaj ostatni mogą harować nawet całą dobę, a i tak zarobią mniej niż tamci przez kilka godzin. Zatem nie tylko wymiar czasu pracy decyduje o zarobkach, ale i popyt na określone usługi czy kompetencje. To dlatego wzięty stolarz czy hydraulik jest w Polsce zamożniejszy od nauczyciela akademickiego. Kogo bowiem obchodzą rozważania o filozofii pracy, jeśli nie działa mu sedes. Naprawa sedesu rynkowo i finansowo wygrywa z pracą naukową.

Pewna niezbyt wyrafinowana studentka medycyny (nazwiska nie pomnę, zresztą nie warto go przytaczać, by dziewczynie wstydu nie robić) napisała na Twitterze, że jako przyszła lekarka nigdy nie będzie szukała męża/partnera wśród humanistów, bo to niższa klasa społeczna. Oczywiście można tak uważać, jeśli jedynym kryterium oceny ludzi jest grubość ich portfeli.

Wszystko to ma potem swoje konsekwencje. Choćby quasi-korupcyjne, przykładowo naukowcy na gwałt szukają grantów, a skoro te najlepsze, zagraniczne, są przyznawane według kryteriów ideologicznych, to trudno się potem dziwić, że uczelnie stają się lewicowe. Być może byłoby inaczej, gdyby za wiedzę płacono więcej. Ale to już inna kwestia, odnosząca się raczej do długofalowej polityki państwa.

Dobrobyt współczesnych narodów nie zależy od tego, ile pracujemy, ale od tego, jak pracujemy i jakie mamy kompetencje. Przynoszący zyski, wydajny pracownik nie jest żebrzącym, wyczerpanym dziadem, a Polska nie jest – z całym szacunkiem – Bangladeszem, by przyjmować standardy tamtejszego rynku pracy. Jeśli ktoś się temu dziwi i uważa inaczej, to na przyszłym rynku nie przetrwa.

Reklama | 52/0922/F

eprasa.pl fb93a73578

PODLASKIE FORUM EKONOMICZNE

11-12 października 2022, Białystok

NAJWIĘKSZE WYDARZENIE POŚWIĘCONE WSPÓŁPRACY GOSPODARCZEJ POLSKI Z AZJĄ

Dwa dni spotkań i debat

Rozmowy nt. współpracy polsko-azjatyckiej

17 paneli tematycznych
70 prelegentów

1000 uczestników

BEZPIECZEŃSTWO EKONOMICZNE
GOSPODARKA CYFROWA
WYZWANIA GOSPODARCZE

forum.investinpodlaskie.pl

ORGANIZATOR

Podlaskie

WSPÓŁORGANIZATOR

AGENCJA ROZWOJU REGIONALNEGO ARES SUWAŁKI

PARTNER STRATEGICZNY

KGHM POLSKA MIEDŹ

Honorowy patronat
Prezesa Rady Ministrów
Mateusza Morawieckiego

eprasa.pl fb93a73578

Życie nieobyczajne przy Wiertniczej

Kolejna afera obyczajowa w TVN. Tym razem gwiazda stacji Anna Wendzikowska zdradziła, że była ofiarą wieloletniego mobbingu. Co jest takiego w najpotężniejszym medium w Polsce, że tyle skandali ulewa się stamtąd raz po raz?

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

2 października reporterka TVN opublikowała w mediach społecznościowych wstrząsające wyznanie. Zdradziła w nim, że przez lata wykorzystywała swój aktorski uśmiech na zawołanie, by „nie było widać co się dzieje w środku. I że ten uśmiech stanie się na długo więzieniem, w którym nieuwolnione, prawdziwe emocje, niby stłumione, siały spustoszenie". Wendzikowska obszernie opisała mobbing, któremu była poddawana w pracy. „Byłam poniżana, gnębiona, codziennie drżałam o pracę" – stwierdziła. „Nikt nie wie, że poleciałam na wywiad do Los Angeles trzy tygodnie przed porodem. Musiałam mieć pisemną zgodę od lekarza. Cały lot siedziałam jak na szpilkach. Bałam się, że urodzę w samolocie". Aktorka twierdzi, że spotykała się z brakiem szacunku, grożono jej wyrzuceniem z pracy, gdyby chciała zadbać o swoje zdrowie czy bezpieczeństwo i nie podjąć kolejnego wyczerpującego zadania. „Pamiętam, jak się zastanawiałam, czy skok z piątego piętra, na którym mieszkam, załatwi sprawę, czy trzeba jednak wejść wyżej... Wpisałam w Google »z którego piętra trzeba skoczyć, żeby...«. Przeraziło mnie, ile jest w internecie pytań na ten temat" – czytamy w jej wyznaniu. Jako że Wendzikowska przez 15 lat występowała w „Dzień Dobry TVN", nie trzeba zgadywać, o jakiego pracodawcę i o atmosferę w jakiej pracy tutaj chodzi.

Opowieść reporterki szybko wskoczyła do nagłówków plotkarskich, skomentowało ją kilkoro celebrytów, jak np. Andrzej Piaseczny czy Agnieszka Woźniak-Starak, w tytułach tekstów popularnych portali temat brzmiał, jakby to Wendzikowska była winna. Pisano, że to ona rozpętała aferę albo że dzięki jej refleksji TVP miało używanie. Nad sprawą unosił się wniosek, że o takich historiach nie wypada mówić publicznie, bo przez to obóz lewicowo-liberalny w Polsce traci swoją reputację.

SPRAWA W PROKURATURZE

Ale Wendzikowska i tak została łagodnie potraktowana. Dzięki znanej i rozpoznawalnej twarzy dostała wiele wyrazów wsparcia. Na podobną pomoc nie mógł – i nadal nie może – liczyć Kamil Różalski, operator TVN i jego otoczenie, które dla potężnej stacji realizowało dziesiątki produkcji, m.in. serialowych. Jak twierdzi Różalski, obsługę techniczną zmuszano do wielogodzinnej pracy i wykonywania zadań niezapisanych w umowie. Z powodu niejasnego systemu rozliczeń pracownicy nie wiedzieli nawet, jakiej wypłaty mogą się spodziewać w danym miesiącu, a wszelki sprzeciw kończył się pogróżkami dotyczącymi zwolnienia i otrzymania wilczego biletu w całej branży medialnej. Sprawa trafiła do prokuratury i do ZUS – bo jej szczegóły dotyczą także składek i podatków – ale ta ostatnia instytucja nie spieszy się z wyciąganiem wniosków.

Wendzikowska to celebrytka, która publikując czarno-białe zdjęcie i smutny wpis, zyskuje sympatię tysięcy ludzi, a Różalski to nieznany widowni człowiek, który przez lata trzymał kamerę, będąc – jak twierdzi – upokarzanym nie mniej niż gwiazda stacji. Tymczasem takich jak Różalski w stacji było więcej. Byli pracownicy opowiadają, że podczas pracy nad serialami w terenie obsłudze nie organizowano nawet toalet – „za potrzebą" odsyłano do lasu, pod drzewo. To znaczące upokorzenie, szcze-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fb93a73578

gólnie dla kobiet, które także całe godziny spędzały na tym, by plan produkcji spełnił wymagania kierownictwa.

UPADŁE GWIAZDY

Ale przecież stacja z ul. Wiertniczej w Warszawie co rusz szokuje opinię publiczną głośnymi skandalami.

Cały kraj dowiadywał się przez kolejne lata i miesiące, że największe gwiazdy TVN lekceważyły prawo i łamały rozmaite standardy etyczne. W 2015 r. tygodnik „Wprost" oskarżył Kamila Durczoka o molestowanie seksualne w pracy – celebryta próbował uciszyć pismo pozwem sądowym, ostatecznie przegrał. Wokół byłego prezentera stacji pojawiały się poważne oskarżenia o narkotyki czy o narażanie życia innych podczas kierowania autem po wpływem substancji psychoaktywnych.

Innego gwiazdora TVN, Piotra Kraśkę, policja zatrzymała w kwietniu 2021 r. do rutynowej kontroli – okazało się, że prezenter ma cofnięte uprawnienia do kierowania pojazdem, a mimo tego cały czas jeździ bez prawa jazdy. Inny celebryta stacji, Dominic D'Angelica, wykreowany przez program „Top Model", został wcześniej skazany za seks z nieletnią dziewczynką. Gdy mężczyzna brał udział w telewizyjnym konkursie, sprawa była już znana, ale kierownictwu z Wiertniczej wydawało się to nie przeszkadzać.

Nie tylko twarze TVN są uczestnikami skandali. Na przełomie 2020/2021 r. wyszło na jaw, że kierownictwo stacji zaszczepiło się przeciw COVID-19 poza kolejnością, omijając prawo i zabierając dawki przeznaczone jednak dla kogoś innego. W elitarnym szczepieniu udział wzięli m.in. Katarzyna Kieli (prezes i dyrektor zarządzający Discovery EMEA), Edward Miszczak (dyrektor prowadzący) ze swoją partnerką, Mariusz Walter (założyciel stacji) i inni. Tak jak we wcześniejszych przypadkach nadużyć czy łamania prawa sprawę w stacji bagatelizowano. Według anonimowego listu pracowników stacji Kieli tłumaczyła się później swoim podwładnym ze swoistą pogardą: „To była moja prywatna sprawa. Szczepcie się. Uważam, że każdy z was powinien się zaszczepić tak szybko, jak tylko będzie miał taką możliwość. Jeśli ktoś do was zadzwoni tak jak do mnie z propozycją, nie wahajcie się z niej skorzystać. Cała afera jest inspirowana przez wrogie nam media".

SKĄD MY TO ZNAMY?

Dziennikarze TVN od lat są zaangażowani nie w opisywanie, ale kreowanie polityki w Polsce, pouczają widzów o standardach demokracji i dojrzałego społeczeństwa, biorą udział w kampaniach medialnych wyznaczających, co jest dobre, a co dla Polaków złe. Tymczasem sami mieszają zasady etyczne z błotem, rozsiewając wokół pogardę nawet wobec bliskich współpracowników. Kondycja moralna i poczucie wyższości TVN-owskich VIP-ów do żywego przypomina świat komunistycznych mediów, zarysowany w licznych tekstach i wspomnieniach Leopolda Tyrmanda.

Świat dziennikarski zawsze był w awangardzie społecznego zepsucia, ustępując jedynie politykom i aktorom, ale jednak potrafił tworzyć jakieś pożyteczne wartości, które wzmacniały społeczeństwo. Tutaj mamy do czynienia z jaśniepaństwem, które chce uchodzić za wybrańców boga sukcesu, gdy tymczasem swoje kariery robi na ludzkiej krzywdzie czy łamaniu prawa. Tyrmand w „Życiu towarzyskim i uczuciowym" opisał grono miernych medialnie karierowiczów, którzy używkami, łamaniem prawa i oszustwami dorabiali się statusu ogólnonarodowych autorytetów i twórców społecznej rozrywki. Brzmi znajomo? Ale i pewien rys ideologiczny bohaterowie TVN i PRL-owskiego dziennikarstwa mają wspólny – i nie chodzi tu o komunistyczne kadry stacji z Wiertniczej. I poputczycy PZPR,

Wendzikowska opublikowała w mediach społecznościowych wyznanie, że przez wiele lat była mobbingowana w pracy

i celebryci III RP mają jakąś wewnętrzną potrzebę wtłaczania ludziom do głów górnolotnych zasad, w które sami nie wierzą. PRL-owskie gwiazdy wspierały niby to klasę robotniczą, a same żyły jak arystokracja, dziś Kraśki czy Kiele płaczą o praworządność czy wzajemną tolerancję w Polsce, sami zaś łamią procedury i gardzą zwykłymi ludźmi. Dla narodu – chleb, woda i równość, dla nich – prowadzenie samochodu bez prawa jazdy, szczepienie poza kolejnością, upokarzanie słabszych od siebie.

A jednak jest coś we współczesnym mainstreamie gorszego niż w świństwach powojennych medialnych gwiazd. Tamci co jakiś czas mieli dość obłudy i degeneracji, publikując w swoich wspomnieniach, artykułach, powieściach prawdziwy obraz środowiska. Ci obecni są jakoś zaskakująco cisi, wstrzemięźliwi z ujawnianiem kulis, jakoś w ogóle się tej degrengolady nie brzydzą. Aż tak bardzo weszła im w krew?

Fot. Bartosz Krupa/East News; ania.wendzikowska/Instagram

eprasa.pl fb93a73578

Tęczowy pistolet przy głowie

Ujawniona sprawa jest wielkim ciosem dla sceny LGBT+ w Polsce. Aktywiści, którzy – jak to zwykli opisywać – walczą przeciwko wszelkiego rodzaju przemocy, nagle znaleźli się w centrum skandalu tuszowania przestępstw seksualnych

GORAN ANDRIJANIĆ

To był marketingowo atrakcyjny projekt. Według zeznań założycieli Homokomando stowarzyszenie to miało pokazać opinii publicznej, „że społeczność LGBT+ już dawno zerwała z wizerunkiem chłopaków, którzy nie potrafią wbić gwoździa w ścianę, jak nas opisała Krystyna Pawłowicz".

Co to oznacza w praktyce? Członkowie Homokomando zajmują się sportem i sportami walki. Na protestach pojawiają się obnażeni do pasa, z tęczowymi opaskami na ramionach, organizują dla środowiska LGBT+ kursy samoobrony, by jej członkowie mogli bronić się przed ewentualnymi atakami. Jednym słowem – niszczą stereotyp o przestraszonych homoseksualistach i pokazują, że są gotowi do walki. Symbolicznie i dosłownie.

Od fali protestów po decyzji Trybunału Konstytucyjnego o zniesieniu aborcji eugenicznej członkowie Homokomando stali się jeszcze bardziej aktywni. Pojawiali się na protestach, a także w lewicowo-liberalnych mediach.

„Ktoś mi kiedyś powiedział, że nie jestem mężczyzną. Usłyszałem, że jestem ciotą, nie stanę w obronie naszego narodu, bo przecież nie byłem w wojsku. Popatrzyłem na niego i powiedziałem: »Żebyś ty się, k..., kiedyś nie zdziwił«" – mówił jeden z członków Homokomando w wywiadzie dla mediów.

Powstanie organizacji było przemyślane i przygotowane na przyjęcie hojnych donacji z różnych zagranicznych fundacji, które finansują takie działania.

Okazało się jednak, że „toksyczna męskość" może być toksyczna nie tylko w przypadku heteroseksualistów, ale również homoseksualistów. I to jak.

GWAŁT I ZMOWA MILCZENIA

3 października 2022 r. „Gazeta Wyborcza" opublikowała artykuł śledczy napisany przez Damiana Maliszewskiego o jednym z członków zarządu Homokomando, oskarżonym o gwałt i mobbing. W tekście został on podpisany jako Maciej L.

Historia, którą opowiada Maliszewski, jest naprawdę bolesna. Dziennikarz „Wyborczej" rozmawiał z młodym gejem podpisanym w tekście jako Rafał. Mężczyzna poznał Macieja L. przez stronę,

eprasa.pl fb93a73578

na której homoseksualiści umawiają się na seks z nieznajomymi. To, co miało być „seksem na co dzień" z pewnymi elementami perwersji (geje nosili maski podczas seksu), przerodziło się w coś bardzo brutalnego. W pewnym momencie Maciej L. wyciągnął pistolet i zaczął zachowywać się coraz bardziej agresywnie, zdjął maskę, krzyczał na Rafała i przeklinał.

„Rafał klęczy z pistoletem wycelowanym w jego głowę. Rozpoznaje mężczyznę, to Maciej L., znany aktywista, członek zarządu Homokomando, organizacji zajmującej się walką o prawa osób LGBT+. Rok wcześniej Rafał odrzucił jego propozycję seksu" – pisze Maliszewski.

Sytuacja wymknęła się spod kontroli, gdy Maciej L. uderzył Rafała pistoletem w głowę i zmusił do seksu oralnego. Mężczyzna zgodził się, ale chwilę później zebrał na odwagę, nakazując Maciejowi L. wyjść.

Co się stało później? Rafał poinformował o tym, co się stało dwóch liderów i samego założyciela Homokomando. To Linus Lewandowski i Tomasz Sarosiek. Pierwszy to główna twarz grupy, mężczyzna znany ze zdjęcia z Rafałem Trzaskowskim podczas jego Campusu Polska Przyszłości. Drugi to wybitny warszawski onkolog, który kilka lat temu dokonał coming outu i tym samym stał się bohaterem lewicowo-liberalnych mediów.

Według zeznań Rafała reakcja Lewandowskiego była co najmniej dziwna. „Linus przyznaje, że Maciej L., który jest jego przyjacielem, powiedział mu o tym, co zaszło. »Kiedyś go z czymś zawiodłeś« – pisze do Rafała" – czytamy w tekście, który wyjaśnia dalsze tajemnice tej sprawy.

Okazuje się, że o szokującym agresywnym zachowaniu Macieja L. wiedzieli wszyscy przywódcy Homokomando, ale nie zrobili nic, by mu zapobiec.

W tekście czytamy o atakach Macieja L. na mężczyzn, którzy odrzucali jego zaloty, o seksie z bezdomnymi, których poderwał na ulicy, o kłótni z taksówkarzem, któremu proponował usługi seksualne, oraz o całej serii szczegółów, których nie warto tutaj przytaczać. Może z wyjątkiem oskarżeń o nieprzejrzyste operacje finansowe stowarzyszenia, na co, szczerze mówiąc, nie przedstawiono żadnych jasnych dowodów.

Najważniejsze jest jednak to, że Lewandowski przez cały ten czas chronił przyjaciela i ukrywa to, co zrobił. Dopiero atak na Rafała i przygotowywany artykuł dziennikarski okazał się tym, co przeważyło szalę, w czego efekcie część zarządu zrezygnowała ze swoich stanowisk.

PRZYBYWAJĄ Z ODSIECZĄ

Ujawniona sprawa, nie ma co do tego wątpliwości, jest wielkim ciosem dla sceny LGBT+ w Polsce. Aktywiści, którzy – jak to zwykli opisywać – walczą przeciwko wszelkiego rodzaju przemocy oraz o równość, nagle znaleźli się w centrum skandalu tuszowania przestępstw seksualnych

Oczywiście działacze LGBT+ i bliskie im media natychmiast rozpoczęli akcję „damage control". „Wiadomo było, co z tą informacją zrobi TVPiS. U nas statystyczny gwałciciel to heteroseksualny mężczyzna, Polak, katolik, biały, który na ofiarę wybiera kobietę z najbliższego otoczenia. Gwałt w Homokomando ma to wszystko przesłonić" – pisała Anna Dryjańska w portalu NaTemat.

Gej aktywista Bartosz Staszewski, znany z tego, że robił zdjęcia przy samodzielnie przyczepianych do nazw gmin tabliczkach z napisem „Strefa wolna od LGBT", był jeszcze perfidniejszy. „Homokomando nie jest kłopotem środowiska LGBT+. Tak samo jak mama Madzi z Sosnowca nie jest kłopotem dla środowiska hetero" – napisał na Twitterze.

Oczywiście, że tragedia, która wydarzyła się 10 lat temu w Sosnowcu, kiedy matka zabiła swoje dziecko, nie ma nic wspólnego z zachowaniami heteroseksualnymi. Staszewski powtarza tę jasną i oczywistą prawdę, by zmanipulować i zatuszować kilka faktów. Przede wszystkim ten, że zachowanie Macieja L. jest mocno związane ze środowiskiem, w którym żył i pracował.

Pomińmy teraz niektóre wypowiedzi przekazane przez Maliszewskiego w jego tekście. Np. twierdzenie byłej pracownicy organizacji, która powiedziała dziennikarzowi, że kilkakrotnie „ratowała" Macieja L. po jego wybuchach (pracownica później wycofała zgodę na udział w tekście, ale nie zaprzeczyła temu, co powiedziała). Pomińmy też fakt, że lider Homokomando cały czas ignorował oskarżenia pod adresem swojego przyjaciela, uzasadniając to interesami organizacji („To jest członek zarządu i nie możesz o nim mówić źle" – powiedział pracownicy skarżącej się na Macieja L.).

Zignorujmy to wszystko i zwróćmy uwagę na coś innego. Mianowicie na to, że tekst „Wyborczej" opisuje atmosferę, w której aktywizm LGBT+ miesza się z najgorszym rodzajem niemoralnego zachowania. I to niemoralnego pod każdym względem, nie tylko „konserwatywnym".

PARADYGMAT ZACHOWANIA

„W Homokomando chodzi głównie o szpanowanie na ściankach i wyrywanie młodych chłopaków. Z zewnątrz spoko, a w środku zgnilizna" – mówi w tekście jeden z byłych członków organizacji.

Promiskuityzm, perwersje seksualne, w których nikt nie widzi problemu, manipulacje emocjonalne, które stają się powszechnym sposobem komunikacji w tym środowisku... A w centrum tego wszystkiego pieniądze z różnych polskich i międzynarodowych fundacji. Cóż, to jest obraz aktywizmu LGBT+, który dokładnie opisuje ten tekst, i tu nie chodzi tylko o jedną agresywną osobę. Chodzi o paradygmat zachowania, który stał się rodzajem reguły w tym środowisku.

Patologia społeczna i psychologiczna w mniejszym lub większym stopniu może istnieć w każdej dużej zorganizowanej grupie. Jednak w przypadku środowiska LGBT+ problem nieco się komplikuje z dwóch zasadniczych powodów. Po pierwsze, nie ma autorefleksji. Reakcja na ten skandal wyraźnie o tym mówi. Zamiast uczciwie zająć się przyczynami patologicznej sytuacji, aktywiści i ich przyjaciele obawiają się jedynie, że prawica wykorzysta to wszystko przeciwko nim. Po drugie, trudno mówić o walce z niemoralnością w środowisku, które moralności nie uznaje.

Jeśli jedyną zasadą, którą ktoś się kieruje, jest jego własna potrzeba seksualna i jeśli na niej buduje całą swoją filozofię społeczną – jak można oczekiwać czegoś innego niż właśnie tego typu skandali? „Jeśli nie ma Boga, wszystko jest dozwolone". Jest to znana teza, dobrze charakteryzująca niektóre aspekty współczesnej mentalności. Przypadek Homokomando to dobrze potwierdza.

eprasa.pl fb93a73578

Niemcy i opozycja chore na Odrę

Wszystko służy propagandzie i celom wyborczym, a więc nawet rzece i zwierzętom walka polityczna nie będzie oszczędzona. Tak jest i z katastrofą na Odrze, która ma kilka aspektów. Ten podstawowy, a więc kwestia związana z dbałością o naturę, został przykryty przez dwa inne – rozpętaną wokół zdarzenia histerię, która ma służyć wyłącznie celom wyborczym, i drugi dotyczący ewentualnych polskich inwestycji na rzece, czemu pod pretekstem dbania o Odrę sprzeciwia się Berlin. Spławne rzeki mogą być w Niemczech, a w Polsce już nie

DARIUSZ MATUSZAK

30 września 2022 r. ukazały się dwa raporty o katastrofie na Odrze – polski i niemiecki. Podobno miał być jeden wspólny, ale strony się nie porozumiały, jak twierdzą Niemcy – z polskiej winy, więc tego samego dnia każda przedstawiła własny. Zbieżność dat najprawdopodobniej nie jest przypadkowa. W obydwu dokumentach jako podstawową przyczynę katastrofy podano występowanie złotych alg (*Prymnesium parvum*), których ichtiotoksyny, nieszkodliwe dla człowieka, doprowadziły do śmierci ryb. Tych glonów w rzece nie powinno raczej być, bo żyją w wodach słonych. Nie stwierdzono również, by to metale ciężkie, w tym osławiona rtęć, mogły być przyczyną pomoru ryb. I na tym się właściwie kończy zbieżność ustaleń polskiej i niemieckiej komisji. Od tego momentu można pisać protokół rozbieżności.

DWA RAPORTY, DWIE KONKLUZJE

Polska strona twierdzi, że nie wiadomo, dlaczego algi pojawiły się w Odrze. To mógł być efekt zbiegu naturalnych przyczyn – bardzo niskiego stanu wód, wysokiego nasłonecznienia, wysokiej temperatury wody – czyli kombinacja czynników, które doprowadziły do wyż-

eprasa.pl fb93a73578

szego niż zazwyczaj stężenia soli w rzece płynącej przez przemysłowe tereny, a to wszytko z kolei do pojawienia się *Prymnesium parvum*. Raport ogłoszony przez Instytut Ochrony Środowiska wskazuje, że do takich zjawisk – zakwitu złotych alg w zbiornikach słodkowodnych – dochodziło w wielu krajach, a przyczyny nigdy nie zostały do końca wyjaśnione. Glony te doprowadziły m.in. w Norwegii do śnięcia aż 750 ton ryb. W Odrze zebrano ich zaś trzy razy mniej – 249 ton. Polscy naukowcy zauważają również, że nigdzie na świecie nie wskazano parametrów granicznych, których akumulacja prowadzi do katastrofy. Nad raportem pracowało 14 placówek naukowych, 49 badaczy i 2435 pracowników. Badania nie są zakończone, a sprawa tego, czy i jaki wpływ na katastrofę miały jakieś konkretne działania ludzkie, pozostaje otwarta, choć nie ma wątpliwości, że człowiek też wpłynął na to, jaką rzeką jest Odra. Co innego jednak wpływać, a co innego zaszkodzić tak, że doprowadza się do katastrofy.

Niemieckie ministerstwo środowiska podało w komunikacie, że przyczyną zakwitu alg był „nagły wzrost zawartości soli w powiązaniu z innymi czynnikami". To zaś według Niemców oznacza, że Polacy zanieczyścili wodę: wlali do niej wielką ilość chemikaliów. Kto i kiedy – nie wiadomo, dowodów nie ma, ale jak pisze „Die Zeit", to dlatego, że Polska nie chce wykrycia sprawców. Według dziennikarki Dagny Lüdemann Polska blokuje dojście do prawdy i to jest „przerażająca sytuacja, że dwa należące do Unii kraje nie są w stanie zapewnić rzetelnych badań". Niby Niemcy ponoszą jakąś odpowiedzialność za stan rzeki, ale do katastrofy doprowadzili Polacy. Należy się więc spodziewać, że Niemcy podobnie jak poseł lewicy Śmiszek zażądają, by sprawę Odry zbadała jakaś niby niezależna komisja unijna.

Wszystko jest też jasne dla tygodnika „Der Spiegel": „To oczywiste, że to polski przemysł wydobywczy doprowadził rzekę do katastrofy". Serafin Reiber pisze, iż rząd w Warszawie blokuje odnalezienie sprawców, a „klimat polityczny [między Polską a Niemcami – przyp. red.] jest teraz zatruty jak Odra". A jak wiadomo, rzekę zatruli Polacy. Właściwie to nawet dziwne, że niemiecki tygodnik nie idzie dalej i nie pisze za Donaldem Tuskiem, że PiS jest jak rtęć, wziął w rzece zbiorową kąpiel i ją zatruł podobnie jak wzajemne dotychczas wspaniałe i miłosne relacje między obydwoma państwami.

Wątpliwości nie ma też „Tageszeitung", który pisze, że rząd PiS ukrywa prawdę, bo akurat trwa kampania wyborcza. Co prawda, wybory są za rok, ale co tam – papier cierpliwy, każdą brednię zniesie. Według Nicka Reimera polska opozycja wykryła 238 miejsc nielegalnych zrzutów, ale Warszawa wszytko ukrywa dlatego, że „skandal ekologiczny nie byłby w interesie partii rządzącej, bo wędkarze są dla PiS ważnym elektoratem".

Wywody niemieckich mediów sprowadzają się do dwóch rzeczy: w Polsce rządzą konserwatyści, którzy dopuścili do zatrucia Odry. Na dodatek teraz nie chcą pozwolić, by Odra się odrodziła, tylko chcą z niej zrobić rzekę spławną, która może połączyć przez Dunaj nawet Morze Czarne z Łabą. A na to Niemcy, oczywiście z troski o naturę, zgodzić się nie mogą, co stanowczo oznajmiła minister środowiska Steffi Lemke.

POLITYCZNA RTĘĆ

Zarówno z polskiego, jak i niemieckiego raportu wynika, że marszałek województwa lubuskiego Elżbieta Polak opowiadała brednie o zatruciu Odry rtęcią. Mechanizm był mniej więcej taki: coś ktoś jej powiedział, więc powtórzyła, swoje dodając. Te brednie do propagandowych bon motów postanowił wykorzystać Donald Tusk. Dzisiaj już można mówić wprost, iż marszałek Polak postanowiła siać panikę, wzbudzać histerię dla celów politycznych, bo znacznie ważniejsza jest walka o władzę niż prawda o rzece, która ma taki wpływ na życie mieszkańców województwa, któremu marszałkuje. Na stronach portalu lubuskie.pl, należącego do urzędu marszałkowskiego, nadal znajdziemy rozważania o rtęci. Nie ma znaczenia praca polskich naukowców, tysięcy ludzi, liczy się efekt polityczny, a więc że to jakoby rządzący zatruli rzekę. Odra ma być martwa – i to jest kolejne obrzydliwe kłamstwo z portalu marszałkowskiego. Instytut Ochrony Środowiska podaje, że już trwają prace nad ponownym zarybieniem rzeki, co oczywiście oznacza, że jej środowisko nie jest martwe, jak podają władze samorządowe województwa lubuskiego, tylko może rozwijać się w nim życie.

Marszałkowski portal, na którym są podawane informacje o rzece, można traktować metaforycznie jako obraz polityki uprawianej przez opozycję. Nie znajdzie się na nim raportu instytucji państwa polskiego – Instytutu Ochrony Środowiska, tylko jego omówienie przez „Gazetę Wyborczą" z wybitym wnioskiem, iż nie da się wykluczyć, iż zawinił człowiek, a więc w domyśle władza. Jest też odniesienie do Onetu i niemieckiej gazety „Welt am Sonntag", że, co prawda, żadna rtęć nie była przyczyną śnięcia ryb, ale marszałek mogła sobie jednak o tym gadać jak jedna baba drugiej babie. Prezentowane niedzielne wydanie „Die Welt" snuje też rozważania na temat tego, jak to rządzący „narodowi konserwatyści" potraktowali informacje o rtęci jako afront: „[...] polski obóz rządowy i związane z nim media wykorzystały sytuację do odwrócenia uwagi od katastrofy i skierowania jej na krytyków rządu".

Jeszcze raz, żeby to dobrze wybrzmiało: dla Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubuskiego, który najwyraźniej uważa się za jakąś placówkę platformianego ruchu oporu walczącego z pisowskim reżimem, nie ma najmniejszego znaczenia praca polskich badaczy, tysięcy ludzi zaangażowanych w sprawę Odry, raport instytucji państwa polskiego. Ważniejsze są upławy myślowe jakiegoś niemieckiego dziennikarza o tym, jak to PiS z pomocą rtęci walczy z opozycją, i informacja, że premier Brandenburgii Dietmar Woidke oznajmia, że niemieccy eksperci będą wyjaśniać przyczynę katastrofy.

NIEMIEC POMOŻE

Do dziś nikt nie wziął odpowiedzialności za nikczemne, kłamliwe słowa o rtęci, o martwej Odrze, o katastrofie na miarę Czarnobyla. Nie ma znaczenia, co czuły mamy, których dzieciaki kąpały się w Odrze. Siewców strachu nie obchodziło to, co dzieje się z tymi, którzy mają nad rzeką swoje gospodarstwa, także agroturystyczne, hotele, przystanie, korzystają z wody. Nie obchodzili wszyscy ci, którzy nad Odrą żyją czy tylko przebywają. Furda z nimi, będziemy straszyć, siać panikę, histerię, bo złe emocje pomogą wygrać wybory. A Niemiec nam pomoże i Niemiec nam też powie, co nam wolno zrobić z Odrą, a co nie.

Fot. Andrzej Szkocki/Polska Press

eprasa.pl fb93a73578

Ukraina szykuje się na atomowy atak

Jeśli zapowiadana przez Moskwę „ofensywa zimowa" zakończy się porażką, to ryzyko rosyjskiego uderzenia nuklearnego realnie wzrośnie, bo Putin znajdzie się w pułapce bez wyjścia

MAREK BUDZISZ

Andrij Jermak, szef administracji prezydenta Zełenskiego, napisał w artykule opublikowanym w „The Atlantic", mając na myśli pogróżki Putina o odwołaniu się Rosji do broni atomowej: „Wiemy, że on nie blefuje".

JAK KRYZYS KUBAŃSKI

Farida Rustamowa, rosyjska dziennikarska specjalizująca się w opisywaniu sytuacji i nastrojów na szczytach rosyjskiej władzy, dysponująca w związku z tym wieloma źródłami informacji na Kremlu, napisała, że „Putin zawsze eskaluje". Mając do wyboru politykę ustępstw albo zwiększanie napięcia, niemal zawsze wybiera tę drugą opcję. Wynika to z jego życiowych doświadczeń, zwłaszcza z petersburskich czasów, kiedy był młodocianym chuliganem. Wówczas miał się nauczyć, że w starciu z silniejszym trzeba uderzyć pierwszym, bo być może uda się zaskoczyć przeciwnika, zyskać inicjatywę i w konsekwencji wygrać. Teraz tym silniejszym jest Zachód i Stany Zjednoczone, bo to z nimi, w świetle oficjalnej narracji, a nie z Ukrainą Rosja toczy wojnę.

Choć Kyryło Budanow, szef ukraińskiego wywiadu wojskowego, którego

Fot. Shutterstock

służby prawidłowo zdiagnozowały przed 24 lutego groźbę rosyjskiej agresji, uważa, że choć na razie Moskale nie podjęli jeszcze kroków, które świadczyłyby o tym, iż mają zamiar użyć broni atomowej przeciw Ukrainie, to tym nie mniej prawdopodobieństwo takiego scenariusza jest jego zdaniem bardzo wysokie.

Podobnie myśli Aleksiej Arbatow, rosyjski akademik, specjalista w dziedzinie rozbrojenia nuklearnego. Powiedział on w wywiadzie dla „Niezawisimej Gaziety", że obecnie stopień ryzyka eskalacji nuklearnej jest największy od czasów kryzysu kubańskiego w 1962 r. W jego opinii sytuacja pod pewnymi względami jest nawet gorsza, bo wówczas kryzys związany z próbą zainstalowania przez ZSRS na Kubie rakiet z głowicami nuklearnymi trwał 12 dni i politykom udało się rozładować napięcie, a obecnie wojna ciągnie się już siódmy miesiąc i nie widać jej końca. Co gorsze, kanały komunikacyjne są niedrożne i prawie każdy, nawet przypadkowy incydent może spowodować uruchomienie spirali eskalacyjnej. Arbatow, który jest zresztą przeciwnikiem wojny na Ukrainie i za jej krytykę został usunięty przez Putina z komitetu doradczego przy rosyjskiej Radzie Bezpieczeństwa, powiedział też, że najgroźniejszy moment nastąpi nie wtedy, kiedy Rosja uderzy, ale potem.

Amerykanie i Zachód na rosyjski atak odpowiedzą i od skali tej odpowiedzi będzie zależeć rosyjska reakcja. Bo wówczas albo nastąpi deeskalacja, albo spirala zacznie się szybko rozkręcać. W opinii Arbatowa zejście z drogi, na którą już wstąpiliśmy i która prowadzi do konfrontacji nuklearnej, jest o tyle trudne, że wymaga silnego przywództwa, bo w otoczeniu każdej władzy, a w Rosji jest to obecnie aż nadto widoczne, w czasie przedłużającej się wojny przewagę zyskują radykałowie, różnego rodzaju hurrapatrioci, którzy wywierają presję, by „iść do końca" i wygrać. Wówczas tylko silny przywódca, a władza Putina w ostatnich tygodniach wyraźnie słabnie, ma wystarczająco dużo determinacji, by przeciwstawić się tym nastrojom i zejść z drabiny eskalacyjnej.

W tym przypadku mamy w gruncie rzeczy do czynienia z pytaniem o perspektywę zakończenia wojny. Ci w Rosji, którzy proponują poważnie zastanowić się nad użyciem broni jądrowej, tacy jak Dmitrij Trenin, były już dyrektor moskiewskiego biura Centrum Carnegie, mówią o potrzebie przywrócenia ze Stanami Zjednoczonymi „równowagi strachu" i przypominają słowa Putina, który w 2018 r. powiedział, że Rosji świat nie jest potrzebny, jeśliby ceną za jego przetrwanie miał być rozpad federacji. Wśród rosyjskich elit ugruntowało się przekonanie, że Rosja nie może przegrać tej wojny, bo taki scenariusz, zakładający zwycięstwo Zachodu, będzie oznaczać podyktowanie Moskwie bardzo surowych warunków pokojowych, kres mocarstwowych snów, a może nawet rozpad państwa. Jeśli zatem stawką w konflikcie jest przetrwanie państwa i narodu, to potrzeba użycia broni jądrowej staje się oczywista, a nawet można poważnie myśleć, iż jest to forma obrony.

Hein Goemans, profesor politologii, który napisał monografię o tym, jak kończą się wojny, powiedział tygodnikowi „The New Yorker", że wojnę, którą się przegrywa, najłatwiej zakończyć rządom demokratycznym lub twardym dyktaturom. Politycy wyłonieni w trybie wyborów po prostu tracą władzę, odchodzą z rządu, nieraz z życia publicznego, ale nikt nie wtrąca ich do więzienia czy nie rozstrzeliwuje, mają nawet szanse, tak jak Nikoł Paszynian, premier Armenii, odnowić swój demokratyczny mandat. Bezwzględni dyktatorzy w rodzaju Saddama Husajna też mogą przyjąć porażkę, kontrolują bowiem na tyle sytuację we własnym kraju, że po prostu mordując przeciwników politycznych, są w stanie stłumić głosy krytyki. Najgorzej jest w przypadku „miękkiej dyktatury". Ta nie jest na tyle silna, by uciszyć niezadowolonych, a jednocześnie jej dotychczasowy „dorobek" jest taki, że trudno liczyć na brak represji, jeśli utraci się władzę. Wówczas zaczyna dominować skłonność do przedłużania wojny – nawet jeśli jest oczywiste, że nie można jej wygrać – bo gdzieś na końcu tunelu majaczy światełko zwycięstwa, jeśli tylko uda się zmobilizować więcej żołnierzy lub odwołać do użycia nowej, „cudownej" broni.

MANEWRY I POKAZ SIŁY

Na razie Rosjanie straszą, starając się sprawiać wrażenie, że przygotowują się do ataku jądrowego. Rozpoczęli w obwodzie kaliningradzkim i na Bałtyku manewry, podczas których mają zamiar użyć swoich systemów rakietowych Iskander-2 o zasięgu do 500 km, by markować elektronicznie uderzenia na wrogie cele. Raczej nie znajdują się one na Ukrainie, a skądinąd wiadomo, że systemy te mają zdolność do przenoszenia głowic nuklearnych. W tym samym czasie jednostki Floty Bałtyckiej mają ćwiczyć reakcję na odpowiedź na tego rodzaju atak ze strony umownego przeciwnika. Ale to nie jedyny taki sygnał wysłany przez Moskwę w ostatnich dniach.

W morze ze swojej bazy na półwyspie Kola wyszedł okręt podwodny Biełgorod, który dysponuje, jak uważają specjaliści, co najmniej ośmioma atomowymi torpedami Posejdon. Zachodni eksperci są zdania, że w tym przypadku Rosjanie mogą chcieć przeprowadzić demonstracyjne odpalenie głowicy nuklearnej nad arktycznymi, niezamieszkanymi terenami, po to by pokazać swoje zdolności i determinację. Tego rodzaju krok jest zresztą przewidziany na niskich szczeblach drabiny eskalacyjnej w rosyjskiej doktrynie użycia broni atomowej. Ale to są wszystko spekulacje zachodnich analityków, bo jak ujawnił już kilkanaście lat temu gen. armii Jurij Bałujewski, były szef rosyjskiego sztabu generalnego, obok jawnej i analizowanej przez ekspertów części rosyjskiej doktryny nuklearnej jest też jej część tajna. Co ona przewiduje – wie na świecie tylko kilka osób. Dziennik „The Times" napisał z kolei, że swoją bazę opuścił „pociąg atomowy" podległy 12. Głównej Dyrekcji Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej, odpowiadającej za magazyny długiego składowania, w których znajdują się rosyjskie głowice nuklearne. Niewiele wiadomo o misji tego składu przemieszczającego się w stronę granic Ukrainy, ale dziennikarze „The Times" spekulują, że Rosjanie mogą chcieć przeprowadzić demonstracyjną próbę

nuklearną nad Morzem Czarnym albo nieopodal ukraińskich granic.

Rosjanie w kwestiach nuklearnych mają wiele różnych możliwości. W ubiegłym tygodniu Putin podpisał dekret, w którym obwieścił światu, że Federacja Rosyjska przejmuje największą w Europie elektrownię atomową w Zaporożu. Posunięcie to może wydawać się dziwne, skoro kilka dni wcześniej przyłączył do Rosji cały obwód zaporoski. Po co więc specjalne regulacje dotyczące znajdującej się tam elektrowni?

Rosjanie mają zamiar uruchamiać nieczynne bloki energetyczne, a to może oznaczać również, że zbliżamy się do scenariusza, o którym od pewnego czasu mówi się w Rosji. Latem br. Wiaczesław Wołodin, speaker Dumy Państwowej, wezwał z urlopów liderów frakcji parlamentarnych i przewodniczących co ważniejszych komisji. Chodziło o przyjęcie oświadczenia, w którym rosyjscy deputowani oskarżali Zachód o prowokowanie katastrofy nuklearnej. Linia rozumowania była w tym przypadku prosta. Zachód dostarcza Kijowowi nowoczesną broń, w tym rakiety, których strona ukraińska używa na froncie. Może się zdarzyć, że jedna z nich trafi w reaktor albo choćby w specjalne magazyny, w których są składowane odpady radioaktywne, i katastrofa nuklearna gotowa. A zatem jeśli ludzkość ma uniknąć drugiego Czarnobyla, to sojusznicy Ukrainy, do czego wezwali rosyjscy politycy, winni wstrzymać dostawy broni. Ten wariant odwołania się do potencjału nuklearnego może być dla Rosji o tyle wygodny, że o wszystko będzie można oskarżyć stronę ukraińską i zaapelować do świata o rozpoczęcie rokowań pokojowych, po to aby uniknąć najgorszego. Niedawny wpis Elona Muska, najbogatszego człowieka świata, który zaproponował, by w imię pokoju Ukraina oddała Rosji Krym oraz zgodziła się na referenda mające przesądzić o przyszłości pozostałych terenów okupowanych, wskazuje, że tego rodzaju groźby działają. Z rosyjskiej perspektywy jedynym minusem tej opcji jest to, że – jak stwierdzili naukowcy – chmura radioaktywna, która powstałaby w wyniku detonacji w elektrowni atomowej w Zaporożu, mogłaby przesunąć się nad Turcję, która jest dziś jednym z ostatnich rosyjskich „okien na świat".

OFENSYWA ZIMOWA

Na razie, jak oświadczyła Laura K. Cooper, zastępca sekretarza obrony, Pentagon nie ma danych, na podstawie których mógłby stwierdzić, że Rosja rozpoczęła przygotowania do użycia broni nuklearnej. Wszystkie magazyny są zresztą pod baczną obserwacją amerykańskich służb, a stopień nadzoru, jak powiedział niedawno jeden z przedstawicieli wywiadu, został zwiększony. Nie ma jednak pewności, że Amerykanie zauważą, jeśli zacznie się dziać coś podejrzanego. Rosjanie dysponują bowiem, jak się szacuje, liczbą 2 tys. głowic nuklearnych mniejszej mocy, uznawanych za taktyczne środki oddziaływania. Ile ich jest – dokładnie nie wiadomo, bo te arsenały, w przeciwieństwie do systemów strategicznych, nigdy nie były przedmiotem rozmów rozbrojeniowych ani tym bardziej międzynarodowych inspekcji. Na dodatek Moskwa ma 22 systemy podwójnego przeznaczenia, od bomb, przez rakiety, torpedy, artylerię, aż po miny jądrowe, które mogą być uzbrojone w ładunki nuklearne. Jeśli Rosjanie będą chcieli rzeczywiście uderzyć, to wyśledzenie ich ruchów może być w istocie bardzo trudne.

> Szef ukraińskiego wywiadu wojskowego uważa, że choć na razie Moskale nie podjęli jeszcze kroków, które świadczyłyby o tym, iż mają zamiar użyć broni atomowej przeciw Ukrainie, to tym nie mniej prawdopodobieństwo takiego scenariusza jest jego zdaniem bardzo wysokie

Wydaje się jednak, że na razie nie uderzą. Może dlatego, że – jak powiedział minister Szojgu – na 80 poligonach i w 6 centrach szkoleniowych ćwiczy właśnie 200 tys. zmobilizowanych rezerwistów. Moskwa przygotowuje się do kolejnej, wielkiej, o skali przypominającej być może to, co obserwowaliśmy po 24 lutego, ofensywy na Ukrainie. Jej rozpoczęcie ma mieć miejsce w grudniu lub styczniu, po tym, jak ziemia zamarznie. To dlatego rzecznik Kremla Pieskow powiedział, że rosyjskie władze nie martwią się obecnymi postępami strony ukraińskiej, bo zajmowane tereny już niedługo zostaną odbite. W takim ujęciu dzisiejsze groźby nuklearne mają służyć zastraszeniu sojuszników Ukrainy, po to by zablokować czy choćby spowolnić dostawy uzbrojenia.

Co stanie się jednak, jeśli zapowiadana przez Moskwę „ofensywa zimowa" zakończy się porażką, a Ukraińcy nie stracą swojego impetu uderzeniowego i przystąpią do metodycznego wyzwalania swojego kraju, po to by wczesną wiosną, jak powiedział szef ukraińskiego wywiadu wojskowego, zmusić Rosję do kapitulacji? To wtedy, za dwa, trzy miesiące, ryzyko rosyjskiego uderzenia nuklearnego realnie wzrośnie, bo Putin znajdzie się w pułapce bez wyjścia. Może już wówczas nie dysponować armią, która mogłaby odwrócić koleje wojny, a nie być gotowym, by przyjąć porażkę. I to wówczas może dojść do ataku nuklearnego, początkowo zapewne o niewielkiej skali. Arbatow powiedział, że ryzykowne jest nie tyle samo pierwsze uderzenie Rosji, choć oczywiście konsekwencje tego kroku mogą być straszne, ile odpowiedź Amerykanów. I w jeszcze większym stopniu to, jak na tę odpowiedź zareagują w Moskwie. Rozważania te są ważne, jeśli poszukujemy odpowiedzi na pytanie, czy grozi nam globalny konflikt jądrowy. Jeśli jednak chcemy się dowiedzieć, czy Rosjanie użyją broni nuklearnej na Ukrainie, to scenariusz taki już za kilkanaście tygodni może okazać się więcej niż prawdopodobny.

Reklama | 46/0722/f

eprasa.pl fb93a73578

IKONA WYGODY W TWOIM TELEFONIE

Aplikacja IKO ułatwia codzienne sprawy, nie tylko bankowe:

- płać Blikiem i przelewaj na telefon
- kupuj bilety komunikacji miejskiej, płać za parking czy autostradę
- korzystaj z ubezpieczeń np. AC/OC, domu, podróży
- wymieniaj waluty online

Bank Polski
dzień dobry

Pobierz IKO z oficjalnego sklepu z aplikacjami, w Twoim telefonie.

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora.

Aplikacja IKO stanowi usługę bankowości elektronicznej. Bilety komunikacji miejskiej i opłaty parkingowe są usługami dostępnymi w wybranych miastach i realizowanymi przez operatora aplikacji moBILET. Usługa opłaty za autostrady świadczona jest za pośrednictwem PKO BP Finat. PKO Bank Polski działa jako agent ubezpieczeniowy. Szczegółowe informacje o ubezpieczeniach, w tym o ograniczeniach i wyłączeniach odpowiedzialności Ubezpieczyciela znajdują się w Ogólnych Warunkach Ubezpieczenia poszczególnych produktów dostępnych na www.pkobp.pl. Szczegóły dotyczące funkcji IKO dostępne są na iko.pkobp.pl.

eprasa.pl fb93a73578

Nie przyjmujmy jodku potasu na własną rękę

Za optymalne uznaje się podanie stabilnego jodu na 24 godziny przed przewidywanym początkiem ekspozycji na promieniowanie radioaktywne do 2 godzin po jej rozpoczęciu

Z dr n. med. Dorotą Szydlarską, specjalistką medycyny nuklearnej, specjalistką endokrynologii, kierownik Przychodni Medycyny Rodzinnej w szpitalu MSWiA w Warszawie, rozmawia Dorota Łosiewicz

Rząd dystrybuuje w Polsce jodek potasu. Argumentuje, że to rutynowa procedura wynikająca z zasad ochrony ludności i zarządzania kryzysowego na wypadek ewentualnego uszkodzenia reaktorów zaporoskiej elektrowni atomowej. Jak dokładnie działa ten preparat?

Dorota Szydlarska: Wskutek podania do organizmu wysokich dawek egzogennego jodu dochodzi do czasowego zaprzestania wychwytu jodu przez tarczycę, co skutkuje zahamowaniem produkcji oraz uwalnianiem hormonów tarczycy. Mechanizm ten jest nazywany efektem Wolffa-Chaikoffa. Efekt zablokowania produkcji oraz uwalniania hormonów tarczycy ma charakter przejściowy i po adaptacji tarczycy do wysokiego poziomu jodu w warunkach fizjologicznych powraca produkcja hormonów tarczycy.

Podczas zdarzenia radiacyjnego lub jądrowego osobom, które mogą zostać narażone na kontakt z jodem promieniotwórczym (*sine qua non*), a o tym poinformują odpowiednie władze, należy niezwłocznie podać stabilny jod, by zablokować jodochwytność tarczycy, co skutecznie zmniejszy narażenie jej na napromienienie. Należy mieć na uwadze, że blokowanie jodochwytności tarczycy z użyciem jodku potasu jest tylko jedną ze składowych koniecznych działań ochronnych. Ważne są również inne metody prewencji, w tym dążenie do ograniczenia spożycia zanieczyszczonej żywności, mleka czy wody pitnej.

Jaką dawkę jodku potasu trzeba przyjąć w razie wystąpienia zagrożenia?

Opieramy się na wytycznych Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) z 2017 r. dotyczących zasad stosowania stabilnego jodu w celu blokowania jodochwytności tarczycy przed spodziewanym skażeniem środowiska jodem promieniotwórczym. Doustne podanie stabilnego jodu przed ekspozycją na jod promieniotwórczy lub na samym jej początku uważa się za właściwą strategię działania profilaktycznego na poziomie populacyjnym. Dodatkowo, jak wspomniałam wcześniej, zaleca się również unikanie spożywania skażonej żywności i wody pitnej. Po wysyceniu tarczycy jodem stabilnym dochodzi do zablokowania jej jodochwytności, co istotnie ogranicza możliwość kumulacji w niej jodu promieniotwórczego, a tym samym zmniejsza ryzyko wystąpienia niekorzystnych skutków zdrowotnych w razie kontaktu z jodem promieniotwórczym. Na szczęście na obszarze Polski obecnie nie stwierdza się niedoboru tego pierwiastka. Uważamy, że podaż jodu w kraju jest odpowiednia, a w głównej mierze zostało to osiągnięte dzięki odpowiedniej profilaktyce jodowej. W 1997 r. na mocy ustawy wprowadzono obowiązkowe jodowanie soli kuchennej przeznaczonej do użytku gospodarstw domowych. Polski model profilaktyki jodowej zakładał również obowiązkowe jodowanie odżywek dla niemowląt oraz rekomendował dodatkowe suplementowanie jodem kobiet ciężarnych i karmiących piersią.

Dawkowanie jodku potasu w przypadku zdarzenia radiacyjnego lub jądrowego osobom, które mogą zostać

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fb93a73578

narażone na kontakt z jodem promieniotwórczym, jest uzależnione w głównej mierze od wieku pacjenta. Noworodkom zaleca się przyjęcie 12,5 mg jodu, dzieciom w wieku od 1 miesiąca do 3. roku życia 25 mg jodu, pacjentom pediatrycznym od 3. do 12. roku życia 50 mg jodu, a dzieciom powyżej 12. roku życia oraz dorosłym do 60. roku życia rekomendujemy przyjęcie 100 mg jodu. Proszę zwrócić uwagę, jak wysokie są to dawki, znacznie przewyższające zalecane dzienne zapotrzebowanie organizmu.

Jak szybko należy przyjąć jodek potasu w sytuacji skażenia?

Za optymalne uznaje się podanie stabilnego jodu na 24 godziny przed przewidywanym początkiem ekspozycji na promieniowanie do 2 godzin po jej rozpoczęciu. Jednakże jest także uzasadnione zastosowanie blokowania jodochwytności tarczycy w ciągu ośmiu godzin od początku ekspozycji. Jako ekspozycję rozumiemy bezpośredni kontakt z chmurą radioaktywną, a nie spodziewaną awarię elektrowni.

Czy warto zaopatrzyć się w lek na wszelki wypadek?

Absolutnie taki sposób postępowania nie jest zalecany. Co więcej, zdecydowanie należy podkreślić, że może wywołać więcej działań niepożądanych niż korzyści dla pacjenta. Dystrybucja leku jest zalecana dopiero w przypadku wystąpienia skażenia środowiska jodem promieniotwórczym, dopiero po otrzymaniu stosowanego komunikatu o zagrożeniu radiacyjnym.

Ile dawek jodku potasu należy przyjąć?

Zwykle podanie pojedynczej dawki jest wystarczające. Warto zaznaczyć, że noworodki, kobiety ciężarne i karmiące piersią oraz osoby powyżej 60. roku życia są bardziej narażone na wystąpienie ewentualnych niekorzystnych skutków zdrowotnych po ponownym zastosowaniu wysokiej dawki stabilnego jodu.

W internecie sprzedaje się w dużych ilościach płyn Lugola. Czym różni się płyn Lugola od tabletek z jodkiem potasu?

Nie zaleca się przechowywania jodu stabilnego w postaci proszku lub roztworu wodnego, gdyż okres trwałości takich preparatów jest znacznie krótszy. Zaletą tabletek jest łatwość ich przechowywania oraz dystrybucji. Stabilny jod podawany w postaci tabletek może zmniejszać ryzyko wystąpienia objawów niepożądanych ze strony przewodu pokarmowego. Tabletki można kruszyć i mieszać z sokiem owocowym, dżemem, mlekiem lub innym płynnym pokarmem, co ma duże znaczenie przy podawaniu leku pacjentom pediatrycznym. Jod w jodku potasu, tzw. jod nieorganiczny, roztwór Lugola lub nasycony roztwór jodku potasu (w tym ostatnim jedna kropla jest równoważna jednej tabletce jodku potasu!) zmniejszają syntezę i uwalnianie hormonów tarczycy. Bywa stosowany w bardzo rzadkich przypadkach w medycynie, jest wykorzystywany w endokrynologii i medycynie nuklearnej. Ma zastosowanie w leczeniu przełomu tarczycowego oraz w wyjątkowych sytuacjach w przygotowaniu pacjenta do operacji tarczycy w przebiegu choroby Gravesa-Basedowa z obecnym wolem naczyniowym, ale bez współistniejących zmian ogniskowych tarczycy. Płyn Lugola ma zastosowanie w niektórych procedurach w medycynie nuklearnej, w których są używane radiofarmaceutyki znakowane radioizotopem jodu, np. preparat MIBG znakowany I-131. Przy próbie samodzielnego przyjęcia płynu Lugola jest zbyt wysokie ryzyko zastosowania zbyt dużej dawki jodu stabilnego. Jeszcze raz podkreślę, że jedna kropla nasyconego roztworu jodku potasu jest równoważna jednej tabletce jodku potasu! Przekraczając zalecaną dawkę, ryzykujemy wystąpienie działań niepożądanych.

A jakie mogą być działania niepożądane po przyjęciu dużej dawki jodu stabilnego?

W grupie ryzyka wystąpienia działań niepożądanych znajdują się pacjenci z tyreotoksykozą leczeni farmakologicznie lub chorzy z nadczynnością tarczycy w fazie remisji. Spowodowana jodem nadczynność tarczycy może wystąpić u nieleczonych pacjentów z bezobjawowym wolem guzkowym lub utajoną chorobą Gravesa-Basedowa. Sole potasu powinny być stosowane ostrożnie u pacjentów z niewydolnością nerek, niewydolnością nadnerczy, ciężkim odwodnieniem. Należy zachować ostrożność, jeśli sole potasu są podawane jednocześnie z lekami moczopędnymi oszczędzającymi potas, ponieważ istnieje ryzyko wystąpienia hiperkaliemii, co może skutkować ciężkimi zaburzeniami rytmu serca. Niekorzystne reakcje na stabilny jod są rzadkie i obejmują przemijającą niedoczynność lub nadczynność tarczycy indukowaną jodem oraz reakcje alergiczne. Wraz z wiekiem ryzyko wystąpienia działań niepożądanych pod postacią tyreotoksykozy (zwłaszcza w przypadku wola guzkowego bądź w przebiegających dotychczas bezobjawowo przypadkach choroby Gravesa-Basedowa) przewyższa ryzyko zachorowania na raka tarczycy (odległego skutku narażenia na jod radioaktywny). Istnieją doniesienia o skutkach niepożądanych, takich jak: zapalenie ślinianek, zaburzenia żołądkowo-jelitowe i osutka. Zdarzają się również bardzo rzadkie, ale istotne klinicznie reakcje alergiczne, na które szczególnie są narażeni pacjenci z opryszczkowym zapaleniem skóry lub z pokrzywkowym zapaleniem naczyń z hipokomplementemią. W wyjątkowych sytuacjach w przypadku nadwrażliwości na jod można rozważyć zastosowanie nadchloranu potasu, by zahamować wychwyt jodu przez tarczycę.

Należy podkreślić, że przedawkowanie jodu może być groźne w skutkach i stanowić zagrożenie nie tylko dla zdrowia, ale i życia pacjenta.

Jakie mogą być dla organizmu skutki nieprzyjęcia preparatu na czas?

Potencjalne korzyści z profilaktycznego podania jodu są największe u osób młodych. W sytuacji narażenia na kontakt z jodem promieniotwórczym ryzyko wyindukowania w przyszłości nowotworu tarczycy jest większe u płodu, noworodka i małego dziecka niż u dorosłego w przeliczeniu na jednostkę dawki radioaktywnego jodu.

eprasa.pl fb93a73578

Relacja z Ukrainy

Pola obsiane minami

Do Charkowa dotarłem po wielu godzinach spędzonych w autokarze, pociągu i samochodzie. Właśnie tam, 1,3 tys. km od Warszawy, wraz z ukraińskimi wolontariuszami wkroczyliśmy na terytoria niedawno oswobodzone spod raszystowskiej okupacji

Sałtiwka – północno-wschodnia dzielnica Charkowa

Do drugiego pod względem liczby ludności miasta Ukrainy (przed wojną ok. 1,5 mln mieszkańców) orkom nie udało się wedrzeć. Ukraińska armia osłoniła Charków własną piersią i zatrzymała najeźdźców na okalającej go obwodnicy. Za nieugiętą obronę miasto w marcu otrzymało tytuł bohatera Ukrainy – podobnie jak Irpień tak i ono zapłaciło za ten zaszczyt zbyt wygórowaną cenę. Sałtiwka – skrajny północno-wschodni rejon – obecnie w niczym nie przypomina największej, bo aż 400-tys. miejskiej sypialni w byłym ZSRS. Dzielnica została niemal doszczętnie zniszczona przez ciężki ostrzał artyleryjski.

– My, wszyscy mieszkańcy, siedzieliśmy w piwnicach, a nasi chłopcy bili się za nas na górze. Wielu z nich raszyści (rosyjscy faszyści – jedno z używanych przez Ukraińców pogardliwych określeń okupantów) zabili, ale nas nasi chłopcy obronili – opowiada jedna z mieszkanek budynku ledwo nadającego się do zamieszkania. – Mówią, że chcą nas oswobodzić. Od czego?! Wszystkim nam żyło się tu dobrze, była praca i normalność. Rosjanie przyszli tu nieproszeni, zabijają tysiące, wszystko niszczą. To są ludzie?! – płacz uniemożliwia jej dalszą rozmowę.

Wokół nas rozpościera się nierealny widok. Z każdej strony patrzą na nas pustymi oczodołami wypalone czarne okna wielopiętrowych bloków. Swąd spalenizny jeszcze nie wywietrzał, choć minęły miesiące od czasu najcięższych walk. Z ocalałych budynków dosłownie każdy jest okaleczony ostrzałem, tylko w nielicznych zostały szyby, w większości są zastąpione folią lub płytami pilśniowymi. Różnej średnicy i głębokości kratery dziurawią asfaltowe ścieżki na równi z trawnikami. Największe wrażenie robi dosłownie rozerwany na pół 16-piętrowy blok. Przed jego pozostałościami usypała się, sięgająca trzeciej kondygnacji, góra gruzów przemielonych z dobytkiem mieszkańców. Wejść do niego da się jedynie po tym gruzowisku. Do większości pomieszczeń nie ma dostępu – z zewnątrz jest widoczny odarty z jednej ze ścian pusty szyb windy i towarzyszące mu zawalone schody. W nielicznych oknach innych domów z lekka tli się światło. Garstka mieszkańców postanowiła zostać w swoich domach, choć nie ma tu ani prądu, ani wody, ani ogrzewania.

Już pierwszego dnia wojny rosyjskie samoloty zrzucały swój śmiercionośny ładunek na centrum Charkowa. Wypalony gmach delegatury Ministerstwa Spraw Wewnętrznych był jednym

Zdjęcia archiwum autora

eprasa.pl fb93a73578

Sałtiwka – widok z obwodnicy miasta

Jedno pudełko to żywność na kilka dni

Po drodze mijamy zniszczone pojazdy

z pierwszych celów. Zniszczone domy, wraki samochodów w zgorzałych garażach, kratery na ulicach są widoczne na terenie całego miasta. Całkowite zaciemnienie nie tylko skrywa cele przed oczyma agresorów z „Pederacji Rosyjskiej" (kolejne ukraińskie określenie okupantów), ale umożliwia też obserwację wyjątkowo licznych gwiazd na nocnym firmamencie. Już wieczorem pierwszego dnia naszego pobytu syreny ogłaszają alarm. Gdzieś w oddali słyszymy odgłosy wystrzałów – ukraińska obrona przeciwlotnicza czuwa na posterunku. Na tle srebrzystych konstelacji z ziemi wznoszą się czerwone punkty, to rakiety PWO (protiwwozdusznaja obrona), część z nich dosięga celów, część ulega samodestrukcji po przebyciu określonego dystansu. Mimo regularnych ostrzałów w Charkowie jesteśmy w miarę bezpieczni. Następnego dnia wyruszamy na front.

MIASTO POD OGNIEM

Wczesnym rankiem wraz z miejscowymi wolontariuszami załadowujemy do pełna jedzeniem i wodą busa i karetkę pogotowia. Na jednym z parkingów wraz z innymi formujemy kolumnę złożoną z blisko 15 furgonetek i wyruszamy do oddalonego o 100 km Kupiańska. Po przejechaniu przez punkt kontrolny, umieszczony na granicy Charkowa, silnie umocniony i wsparty ciężkim sprzętem pancernym, wjeżdżamy na tereny jeszcze do niedawna okupowane przez Rosjan. Droga wiedzie przez pola obsiane głównie minami i spalonymi czołgami. Mijamy porzucone na poboczach zniszczone samochody i transportery opancerzone, przejeżdżamy obok zrujnowanych stacji benzynowych i gruzów domów. Asfalt jest rozorany gąsienicami ciężkich pojazdów i wybuchami pocisków. Tak jak na całej Ukrainie również tu słońce wypaliło przekwitłe słoneczniki do tego stopnia, że całe ich połacie przybrały czarną barwę – co aż nadto wpisuje się w ponury, wojenny krajobraz.

Przed wjechaniem do Kupiańska jesteśmy legitymowani na kolejnych blokpostach. Miasto niedawno zostało oswobodzone. Ukraińska ofensywa zepchnęła wrogów na wschodni brzeg przepływającej przez nie rzeki Oskił. Sytuacja w tym rejonie zmienia się bardzo szybko. W dniu naszego przybycia linia rzeki była jednocześnie linią demarkacyjną między walczącymi stronami. Większość budynków jest zniszczona lub poważnie uszkodzona, nie działają nadajniki sieci telefonicznej, sygnał GPS jest głuszony. Bezustanna kanonada i odgłosy bliższych i dalszych wybuchów powodują, że poprawiamy kamizelki kuloodporne i zakładamy hełmy, mając nadzieję, że ewentualne trafienie nie będzie bezpośrednie. Tak jak prawie wszędzie na Ukrainie – tak i tu walka toczy się przede wszystkim przy użyciu artylerii.

Pojawiają się nerwy i zamieszanie. Większość samochodów z naszej kolumny rozjechała się w różne strony. Próbujemy się odnaleźć, kontaktując się przez krótkofalówki. – Czekamy na górze, przy sklepie Pasad – zgłasza kierowca towarzyszącej nam ciężarówki.

Kwietnik w wystającej z ziemi rakiecie

eprasa.pl fb93a73578

Saperzy…
…i pojazdy pancerne na kupiańskiej ulicy

Większość naszego ładunku zostawiamy w lecznicy…

…w jego miejsce zabieramy uchodźców

Chwilę po naszym wyjeździe Kupiańsk
po raz kolejny zostaje ostrzelany rakietami

– Nie wiemy, gdzie to jest – odpowiada znajomy z zagubionego auta. – My znajem! – do rozmowy wtrąca się obcy głos. – Uciekamy! – zarządza, mający doświadczenie z Legii Cudzoziemskiej, kierowca mojej karetki. Udało się nam odjechać, zanim w miejsce naszego niedawnego postoju dotarła salwa „ołowianych pozdrowień" od prowadzących nasłuch ruskich artylerzystów.

Jednocześnie miasto jakoś funkcjonuje... Gdzieniegdzie przemyka ktoś z zakupami, saperzy w ochronnych stronach detonują miny, w wystającej z ziemi końcówce rakiety Grad ktoś urządził kwietnik. Szpital, policja i straż pożarna mają pełne ręce roboty, jedynie przywykłe już do nieustannych wybuchów półdzikie koty leniwie spoglądają na wszystko, niewiele rozumiejąc z tego, co widzą.

Większość naszego ładunku zostawiamy w lecznicy, resztę rozdajemy mieszkańcom. Do pustej karetki i busa zabieramy część ze zgromadzonych na jednym z placów ludzi czekających na ewakuację. – Dokąd was zabrać? – pytamy. – Dokądkolwiek. Tu nie ma już wody, gazu, prądu. Zabierzcie nas gdzieś, gdzie to jest – pada wiele znacząca odpowiedź. Wywozimy ich za miasto, gdzie przesiadają się do autobusów, które zabiorą ich do punktu filtracyjnego. Każdy ewakuowany musi zostać sprawdzony przez służby pod kątem ewentualnej kolaboracji z okupantami. Wykonujemy kilka takich wahadłowych kursów, dopóki nie wywieziemy wszystkich. Przy ostatniej rotacji zostajemy poproszeni o zabranie kobiety, która z racji wieku nie jest już w stanie wstać z łóżka. W karetce mamy jedno miejsce leżące. We czterech znosimy na kocu staruszkę z czwartego piętra. Cały jej dobytek, który zabiera z sobą, to ubranie, które ma na sobie, i ów koc. Sąsiedzi żegnają się z nią, jakby przeczuwali, że najprawdopodobniej już jej nigdy nie zobaczą. Odwozimy ją do krewnych w Charkowie. Większość osób, które zostało w Kupiańsku, to ludzie starzy, samotni i bardzo biedni, niemający dokąd ani niechcący wyjeżdżać.

Po raz ostatni tego dnia wyjeżdżamy z miasta. Po raz kolejny Opatrzność nad nami czuwała. Niedługo po naszym odjeździe zaczął się silny ostrzał rakietowy Kupiańska. W bocznych lusterkach obserwujemy oddalający się słup czarnego dymu.

WODA TO ŻYCIE

Dwa dni później, dwa dni po tym, jak w iziumskim lesie mój redakcyjny kolega Jakub Maciejewski dokumentował miejsce ekshumacji pomordowanych mieszkańców miasta, docieram do Iziumu wraz z wielonarodową kolumną z pomocą humanitarną. Wśród nas są Polacy, Anglicy, Francuz, Niemiec i oczywiście Ukraińcy. Rejestracje samochodów, którymi się przemieszczamy, reprezentują jeszcze więcej narodowości. Tym razem towarzyszą nam dwa tiry załadowane paletami wody pitnej.

Czekaliśmy na nie przy zburzonej stacji benzynowej. Na asfalcie przy zniszczonym wybuchem pocisku, który zostawił po sobie pokaźny krater, leżą pociski do automatu kałasznikowa. W tym miejscu mam okazję z bliska przyjrzeć się polu czarnych, wypalonych słoneczników. Wcześniej widziałem je tylko z okna jadącego samochodu lub były one zbyt daleko od miejsca postoju, by móc do nich podejść bez obaw o wdepnięcie na minę. Ich pochylone głowy nadają im upiorny wygląd postaci rodem z postapokaliptycznych grafik Bronisława Linkego. Niestety, doskonale wpisują się w całokształt tej krainy zbrukanej kacapskim butem.

Izium jest typowym dla tych terenów „wiejskim" miastem. Posiada zwartą zabudowę w centrum, ale przeważająca większość budynków to parterowe posesje, po części jeszcze drewnianej konstrukcji, stawiane luźno przy otaczających je poletkach. Zatrzymujemy się przy remizie – straż pożarna była potrzebna również okupantom – więc jest nienaruszona. Przypadkiem trafiamy na Desant Kultury – specjalną grupę służących w ukraińskiej armii artystów, którzy koncertują dla żołnierzy i cywilów, by podtrzymywać ich moralnie. „Moja kraina nie upadnie na kolana, w moim sercu ty na wieki jedyna, nikt nam nie zabroni cieszyć się wolnością, jakie mam szczęście, że urodziłem się na Ukrainie" – przy akompaniamencie gitary śpiewał hiphopowiec YarmaK.

Od strażaków dowiadujemy się, że Izium znajduje się na skraju katastrofy humanitarnej. W mieście nie ma żadnych

eprasa.pl fb93a73578

Wodę wydajemy na rynku zniszczonego Iziuma...

Desant Kultury, śpiewa YarmaK

...a także na jednym z osiedli

mediów, brakuje dosłownie wszystkiego, centrum miasta jest zniszczone, a mosty są zerwane. Mieszkańcy czekają na pomoc na rynku, ale nasze tiry są zbyt duże, by dojechać tam po tymczasowej przeprawie zbudowanej przez saperów. Przeładowujemy tyle baniaków z wodą, ile to tylko możliwe, do naszej karetki i jedziemy do centrum. Po drodze musimy omijać tony powyginanego żelastwa, na których widnieją złowrogie znaki „Z". To resztki pobitej tu przez pogardzanych przez nią Ukraińców „drugiej armii świata".

Przeprawa przez most pontonowy zajmuje dużo czasu. Głównie ze względu na możliwy jedynie ruch wahadłowy – dostępny jest tylko jeden wspólny pas dla obu kierunków. Sytuacja pogarsza się, gdy jeden z samochodów częściowo spada z mostu, całkowicie go blokując do czasu przybycia dźwigu. W końcu, jadąc przez pozostałości spalonej miejscowości, docieramy na rynek. Zgromadzeni na nim ludzie przebierają ubrania usypane na chodniku w kilka hałd. Szybko jednak zaczynają się interesować naszym transportem. Wieść o dostawie wody szybko się roznosi. Ludzie kłębią się bezładnie wokół karetki, prosząc o wydanie im baniaków. Cała zawartość furgonetki rozchodzi się w błyskawicznym tempie. Dochodzi do waśni. Jedna butla upada na ziemię, pękając przy tym. Starszy mężczyzna szybko ją podnosi i dopija resztki wprost z baniaka. Jedna z kobiet prosi nas o jakiekolwiek jedzenie dla siebie i córki, oddajemy jej własne zapasy. Rosjanie, wywołując tę wojnę, pozbawili tych ludzi wszystkiego i wyłącznie oni ponoszą odpowiedzialność za doprowadzenie tych ludzi do takiego stanu.

Jeden kurs, podczas którego rozdaliśmy mniej niż 10 proc. naszego transportu wody, zajął nam ok. 90 minut. W strefie przyfrontowej godzina policyjna zaczyna się znacznie wcześniej. By zdążyć wrócić do Charkowa, musimy zmienić sposób działania. Tir podąża za naszą karetką. Jedziemy w drugie miejsce, z którego mieszkańcy odbierają „humanitarkę". Ciężarówka ustawia się na zniszczonym przystanku autobusowym, a karetka objeżdża okolicę, informując o transporcie wody. Z pomocą miejscowych mężczyzn w blisko godzinę cała naczepa, znacznie ponad 10 ton wody, zostaje rozdane licznie przybyłym i wdzięcznym mieszkańcom Iziumu.

To jednak tylko kropla w morzu potrzeb. Woda nie wystarczy na długo. Żywność, środki czystości, leki, elektryczność, gaz – to, wszystko czego w Iziumie drastycznie brakuje. Wraz z upływem czasu noce będą stawały się coraz chłodniejsze. Dotychczas „gen. Zima" pomagał Rosji uporać się z atakami Napoleona i Hitlera. Tym jednak razem agresor przyszedł ze wschodu. Miejmy nadzieję, że srogi „gen. Zima" zachowa się konsekwentnie i po raz kolejny porazi swoją mocą, ale tym razem putinowskich najeźdźców, a nie bezbronnych pogorzelców, którzy bez naszej pomocy będą mieli ogromne trudności w przetrwaniu do wiosny.

***Andrzej Skwarczyński** (na zdjęciu)*

W wywiadach i publicznych wystąpieniach była kanclerz Angela Merkel broni się przed oskarżeniem, że jej polityka wobec Rosji była błędna. „Nie muszę za nic przepraszać" – mówi. Czas rozliczeń jednak zapewne nadejdzie

Rysy na pomniku

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Europa przeżywa wyjątkowy wprost nieurodzaj, jeśli chodzi o polityków wielkiego formatu. Dzisiejsi prezydenci państw europejskich, premierzy, czołowi członkowie Komisji Europejskiej są raczej rozmiarów kieszonkowych. To albo śmiertelnie nudni administratorzy, biurokraci bez żadnej wizji i szerszego oddechu, albo błazny medialne nastawione tylko na doraźny efekt. To można zaakceptować w czasach stabilizacji, dobrobytu i pokoju. Kiedy wszystko toczy się gładko, ustalonym trybem, którego nie warto zakłócać. Tyle tylko, że takich czasów nie ma. Ani gospodarczo, ani politycznie.

Takim nudnym administratorem, pozbawionym wizji jest kanclerz Niemiec Olaf Scholz. Dlatego niektórzy za Odrą tęsknią za jego poprzedniczką. Angela Merkel była w końcu „everybody's darling", ulubienicą wszystkich, gwarantem liberalnego porządku, „teflonową" władczynią Europy.

BRAK SKRUCHY

Tyle że niewiele z tego pozostało. 12 miesięcy minęło od ostatnich wyborów do Bundestagu, które wygrali socjaldemokraci, spychając chadecję do opozycji. A świat w tym czasie zmienił się diametralnie. Rosja zaatakowała Ukrainę, a niemiecki model gospodarczy, oparty m.in. na tanich, importowanych z Rosji surowcach energetycznych, oraz gospodarczej zależności od Chin, egoistyczny i ukierunkowany na doraźną korzyść niemieckiego przemysłu, rozpadł się jak domek z kart. Przez półtorej dekady Merkel uporczywie pogłębiała uzależnienie energetyczne Niemiec od Rosji. Zaspała cyfryzację. W 2015 r. przyjęła 1,5 mln uchodźców, nie bacząc na konsekwencje. „Damy radę" – mówiła.

Teraz, gdy Niemcy obawiają się, że nie dadzą rady wobec kryzysu energetycznego oraz inflacji, zaczęli się domagać odpowiedzi od byłej kanclerz. To ona była w końcu głównym architektem polityki, która umożliwiła rosyjską agresję na Ukrainę. Jak pisał w XIX w. brytyjski premier William Ewart Gladstone: „Polityk myśli o kolejnych wyborach, mąż stanu o kolejnych pokoleniach".

Merkel nie jest jednak gotowa przyłożyć ręki do obalenia własnego pomnika. Już będąc kanclerzem, nie lubiła przyznawać się do błędów i to się teraz, gdy jest na politycznej emeryturze, nie zmieniło. Podczas swojego pierwszego publicznego wystąpienia po zakończeniu politycznej kariery (w czerwcu 2022 r. w Berlinie) była kanclerz mówiła dużo o potrzebie prywatności, wędrówkach po górach oraz małej książeczce pod tytułem: „Czym jest więc mój kraj?" („Was ist also mein Land?"), zawierającej trzy z jej przemówień. Gdy została zapytana o rosyjską agresję na Ukrainę, stanowczo ją potępiła. Jednocześnie uznała jednak, że nie musi za nic przepraszać. Ani za zablokowanie drogi Ukrainy i Gruzji do NATO, ani za proponowanie Rosji partnerstwa modernizacyjnego po ataku na Gruzję. A już na pewno nie za budowę gazociągu Nord Stream, którego pierwszą nitkę dokończyła i drugą rozpoczęła po aneksji Krymu przez Rosję w 2014 r. „Robiłam, co mogłam" – rzekła.

SPRZECZNOŚCI

Dodaje również, że za pomocą procesu mińskiego i zbliżenia z Kremlem kupiła Ukrainie czas. Na modernizację i rozwój gospodarczy. „Ukraina była wtedy krajem skorumpowanym i podzielonym. Ponadto Putin mógł jej wyrządzić ogromną szkodę". Postawiła więc na appeasement. Wiedziała wprawdzie – jak zaznaczyła – jak myśli Putin, ale przecież wojny nikt, także ona, nie mógł przewidzieć. Bunde-

eprasa.pl fb93a73578

swehra tymczasem – bo o to także pytano Merkel – nie jest taka zła, na jaką wygląda.

Merkel wikłała się przy okazji w sprzeczności. Bo z jednej strony oferowanie Putinowi dialogu i współpracy było słuszne, ale sama nie wierzyła w przemianę Rosji dzięki relacjom handlowymi. „Nie byłam naiwna i to, że moja dyplomacja nie okazała się skuteczna, nie oznacza, że była błędna" – podkreśliła. Ale Rosja jej zdaniem jest zbyt blisko Niemiec, by nie utrzymywać z nią relacji.

Można było odnieść wrażenie, że była kanclerz miała na końcu języka słowa, których przecież wypowiedzieć nie może: robiłam, co trzeba w interesie Niemiec, a reszta mnie nie obchodziła. Ani Ukraina, ani solidarność europejska, ani partnerzy w Europie Środkowo-Wschodniej.

W kolejnych publicznych wystąpieniach dalej brnęła w tym samym kierunku. Pod koniec września podczas inauguracji Fundacji Helmuta Kohla w Berlinie domagała się głośno przywrócenia integralności terytorialnej Ukrainy. Jednocześnie zapytała, czy po wojnie będzie można „na nowo nawiązać coś w rodzaju stosunków z Rosją". Dzień później z okazji 1100-lecia miasta Goslar oceniła, że trzeba będzie przeprowadzić długofalową pracę nad paneuropejską architekturą bezpieczeństwa obejmującą Rosję. Rozzłościła tym odchodzącego ambasadora Ukrainy w Niemczech Andrija Melnyka, który zauważył na Twitterze, że była kanclerz ma obsesję na punkcie Rosji i bezwstydnie filozofuje na temat odbudowania z nią relacji.

Brak wstydu to przydatna cecha u polityk, która utrzymała się przy władzy przez 16 lat i odeszła z własnej woli. Jej słowa o Rosji spotkały się z krytyką w Niemczech, choć niezbyt ostrą, szczególnie ze strony dziennikarzy, którzy przez cztery kadencje jej rządów przyzwyczaili się do dworskiego stylu relacjonowania jej konferencji.

10 miesięcy to najwyraźniej wciąż za mało czasu, by nabrać dystansu i przystąpić do poważnego rozliczenia „teflonowej" kanclerz. Ponadto wielu uważa, że to dzięki niej sankcje na Rosję po 2014 r. zostały podtrzymane, a jej ostatnia wizyta w Kijowie w sierpniu 2021 r. miała zapewnić, że gaz z Nord Stream 2 popłynie przez terytorium Ukrainy. I to należy zaliczyć jej na plus. Robiła, co mogła – powtarzają niemieckie gazety po Merkel – choć z perspektywy czasu wszystko to wygląda inaczej. Ale są też inne głosy i z czasem będzie ich zapewne więcej. Powstają pierwsze rysy na starannie wypolerowanym pomniku.

PÓŁHEGEMON

Historyk Michael Wolffsohn uważa, że Merkel nie powinna udzielać Niemcom porad, jak postępować z Rosją. „Była kanclerz swoją polityką wobec Putina wyrządziła fundamentalne szkody Niemcom i wielu Europejczykom" – pisze w komentarzu na łamach dziennika „Bild". „Jestem zdumiony odwagą Merkel i pokorą jej słuchaczy oraz wielu mediów, które wciąż w tonie służalczego podziwu traktują poważnie te diagnozy i propozycje działania" – pisze historyk.

„Była kanclerz, która zawsze uważała, że przejrzała Władimira Putina, stoi na gruzach swojej polityki wobec Rosji. Związanie Niemiec z rosyjską energią, forsowane przez Merkel, okazało się błędem o historycznej skali" – twierdzi także dziennik „Handelsblatt". I dodaje, że nie był to jedyny błąd Merkel. „Bliska współpraca gospodarcza z Chinami, z czego uczyniła sprawę priorytetową, ogranicza pole manewru europejskiej polityki zagranicznej" – czytamy. Współpracy, której celem była doraźna korzyść wąskiej grupy niemieckich koncernów.

W tych krytycznych analizach brakuje oczywiście najważniejszego motywu działań Merkel: budowania pozycji Niemiec jako uczciwego maklera między USA a Chinami, głównego zarządzającego Europą. Niemcy to półhegemon („Die Welt"), który niechętnie przyznaje się do swoich hegemonicznych zapędów. Swojemu następcy Olafowi Scholzowi Merkel zostawiła kraj na skraju recesji, obawiający się o swój dobrobyt. Scholz musi teraz znaleźć alternatywę dla rosyjskiego gazu i sposób na zachowanie przywódczej roli Berlina w Europie. Kanclerz z SPD już ujawnił – chcąc nie chcąc – jak zamierza to zrobić – przez federalizację Unii Europejskiej oraz zaangażowanie w odbudowę Ukrainy po wojnie. Jest bowiem bardziej niż wątpliwe, co najmniej obecnie, że Stany Zjednoczone po raz kolejny zdecydują się na to, by pozostawić Niemcom Europę. Konsekwencją tej decyzji Baracka Obamy i Joe Bidena jest w końcu wojna na Ukrainie.

> Swojemu następcy Olafowi Scholzowi Merkel zostawiła kraj na skraju recesji, obawiający się o swój dobrobyt. Scholz musi teraz znaleźć alternatywę dla rosyjskiego gazu i sposób na zachowanie przywódczej roli Berlina w Europie

Były doradca Merkel Christoph Heusgen wyraził to dobitnie w wywiadzie dla German Marshall Fund: „Rosja i Chiny stają się coraz bardziej agresywne. Chiny systematycznie rozwijają swoje wpływy w Ameryce Łacińskiej, Afryce, Azji, kupując surowce, budując lub kupując strategiczne porty i infrastrukturę. Musimy odgrywać znacznie większą rolę w tej globalnej rywalizacji jako czwarta co do wielkości gospodarka na świecie. Stanąć na własnych nogach. Pierwszym krokiem byłoby przestać umniejszać swoją rolę. Nasza stabilność wewnętrzna jest przedmiotem zazdrości całego świata. Musimy zaangażować się na innych kontynentach, stać się gwarantem międzynarodowej stabilności i przestrzegania zasad".

O Merkel zapewne jeszcze nieraz usłyszymy. Te kilka publicznych wystąpień ma w końcu być według niemieckiej prasy początkiem ostrożnego powrotu byłej kanclerz do przestrzeni publicznej. Była kanclerz pisze także swoje wspomnienia. Mają się ukazać w 2024 r.

Fot. John MACDOUGALL / AFP / EastNews

eprasa.pl fb93a73578

Natarcie na Berlin

Potwierdza się po raz kolejny prawda dotycząca niemieckiej polityki. Gdy jest okazja głosić paneuropejskie ideologiczne frazesy, to Niemcy zawsze są do tego pierwsi. A gdy pojawia się konkret, budujący federalistyczną Europę, od razu słychać ich stanowcze „nein”

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock, Shutterstock

JAN ROKITA

„To program bardzo wyważony, bardzo inteligentny i bardzo zdecydowany" – tak w ubiegły wtorek po rozmowach z holenderskim premierem zachwalał swój plan „podwójnego boomu" Olaf Scholz. Niemiecki kanclerz, chyba niespodzianie dla samego siebie, ma kłopot, gdyż jego szczodry plan subsydiowania niemieckich koncernów energetycznych napotkał na ostrą krytykę nawet wśród jego najbliższych francuskich i włoskich sojuszników.

Co więcej, plan, przynajmniej teoretycznie dotyczący wewnątrzniemieckich problemów energetycznych, odbija się rykoszetem na szefowej Komisji Europejskiej, która przez sam fakt, że jest Niemką, staje nagle pod pręgierzem medialnym jako ta, która (jak pisze „Politico") „ryzykuje, że zostanie uznana w europejskich stolicach za polityczną marionetkę Niemiec". A artykuł opublikowany wspólnie przez dwóch unijnych komisarzy – Włocha Paola Gentiloniego i Francuza Thierry'ego Bretona – zabrzmiał niemal jak wewnętrzny bunt w Komisji Europejskiej przeciw linii forsowanej dotąd przez niemiecką szefową. A to w obyczajach komisji, gdzie obowiązuje niepisana reguła ścisłej politycznej dyscypliny, jest rzeczą dość zaskakującą.

PODWÓJNY BOOM, CZYLI CO?

W czym tkwi przyczyna sporu? „Podwójny boom" – to propagandowy slogan, którym posłużył się w telewizji ZDF kanclerz Scholz, referując nowy program wielkich subsydiów uchwalony przez rząd Niemiec. Deklarowany polityczny cel programu to ochrona społeczeństwa niemieckiego przed skutkami wojennego skoku cen energii, z którym mamy do czynienia w całej Europie. W zasadzie wszystkie rządy państw unijnych (z polskim włącznie) chciałyby obciążyć winą za to zjawisko Rosję, która wywołała wielką wojnę na wschodzie Europy. Ale to tylko połowa prawdy, gdyż spora część owej winy spada na same rządy, prowadzące od lat naiwną politykę energetyczną, a także na wadliwe reguły kształtowania cen na unijnym rynku (wszystkie ceny energii zależą od ceny jej najdroższego nośnika, czyli obecnie gazu). Są jednak dwie istotne różnice między krokami podejmowanymi teraz przez Niemcy a środkami stosowanymi już od jakiegoś czasu w większości państw unijnych. Najczęstsze sposoby, stosowane np. w Polsce albo we Francji – to ustalane przez rząd ceny maksymalne energii, mające przeciwdziałać nadmiernym zyskom wojennym niektórych koncernów, z reguły łączone z bezpośrednim dotowaniem konsumentów energii, przede wszystkim gospodarstw domowych. Tymczasem niemiecki plan „podwójnego boomu" jest adresowany w głównej (choć nie wyłącznej) mierze do niemieckich koncernów energetycznych.

Scholz planuje wielkie subsydia dla przemysłu, wychodząc z założenia, że to właśnie niemiecka energetyka została w wyniku wojny wystawiona na najcięższą próbę z racji konieczności nagłego zrywania z dostawami rosyjskimi, od których tak bardzo była dotąd zależna. Równocześnie rząd Scholza przeprowadza precedensowe i bardzo kosztowne dla niemieckiego podatnika nacjonalizacje niektórych spośród owych koncernów, tak jak to uczynił np. z kontrolowanym dotąd przez fiński kapitał Uniperem, skądinąd do niedawna jedną z firm finansujących budowę rosyjsko-niemieckich rur na Bałtyku.

Jest jeszcze i druga różnica prowokująca krytykę „podwójnego boomu". To skala tego programu. Scholz chce na niego przeznaczyć kwotę 200 mld euro, co – jak Polakowi łatwo przeliczyć – znacząco przekracza całość polskich wydatków budżetowych zaplanowanych na 2023 r. Niemcy chcą przy tym zastosować, tyle że na nieporównanie większą skalę, podobne sztuczki budżetowe do tych, w których wyspecjalizował się rząd Morawieckiego. Te nowe astronomiczne kwoty wydatków państwa mają bowiem zostać „ukryte" poza nominalnymi środkami budżetowymi, a odpowiednikiem funkcji polskiego BGK czy PFR ma być niemiecki WSF (Fundusz Gospodarczo-Stabilizacyjny), który na zlecenie rządu zaciągnie ogromne pożyczki.

EKONOMICZNY KANIBALIZM

Owa skala niemieckiego programu wywołała w Europie obawę i złość o to, że po takim zastrzyku finansowym niemieckie firmy energetyczne zyskają potężną i z gruntu nieuczciwą przewagę konkurencyjną nad całą resztą Europy.

Rząd Słowacji uznał taki plan za niszczenie wspólnego unijnego rynku. Dosadny jak zwykle w słowach Viktor Orbán mówi nawet o przypadku ekonomicznego kanibalizmu. Na posiedzeniu ministrów finansów strefy euro z otwartą, niespodziewaną dla Niemców krytyką wystąpili ministrowie z Hiszpanii i Włoch, obaj reprezentujący sojuszniczą względem partii Scholza europejską lewicę. Hiszpanka María Jesús Montero przekonywała, że Berlin nie może podejmować bez europejskiej konsultacji kroków, które stwarzają zagrożenie dla konkurencyjności europejskiego rynku. Co ciekawe, przeciw Niemcom solidarnie wystąpili Włosi, zarówno przegrana w wyborach i odchodząca lewicowa ekipa Draghiego, jak i zwycięska ekipa Meloni, która jeszcze wprawdzie nie przejęła formalnie władzy, ale plan Scholza już uznała za podważający sam sens istnienia Unii.

Na spotkaniu ministrów finansów strefy euro idei „podwójnego boomu" bronił liberalny niemiecki minister Lindner, twierdząc, że nie chodzi tu w ogóle o jakieś nieuczciwe subsydiowanie niemieckiej gospodarki, ale po prostu o odparcie agresji Putina. Widać, że poczynania władcy Rosji są dziś wygodnym alibi dla wielu rządów, i to w najróżniejszych materiach. Argumentował także wielkością niemieckiej gospodarki, która sprawia, że to dlatego właśnie w Niemczech muszą iść na tego rodzaju program tak olbrzymie fundusze. Jednak ani Lindnerowi, ani potem samemu Scholzowi, który przed piątkowym praskim szczytem Unii osobiście włączył się w przekonywanie rozmaitych przywódców europejskich do idei „podwójnego boomu", nie udało się bodaj nikogo przekonać. Scholz, próbując pomniejszyć znaczenie astronomicznych sum subsydiów, próbował dość zabawnie tłumaczyć, iż krytycy programu pewnie nie zauważyli, że owe 200 mld publicznej pomocy ma zostać wpompowanych w niemiecką energetykę nie od razu, ale w ciągu trzech najbliższych lat.

eprasa.pl fb93a73578

W wyrafinowany sposób zagrał Niemcom na nosie francuski szef resortu gospodarki i finansów Bruno Le Maire (politycznie prawa ręka Macrona). Pochwalił Berlin za odważną ideę subsydiowania gospodarki, tyle że zażądał, aby ową świetną ideę zastosować nie egoistycznie tylko do Niemiec, ale do całej Unii Europejskiej. Nie od dziś przecież Paryż z poparciem całego unijnego południa Europy naciska na to, by UE szła odważniej w stronę gospodarczego i budżetowego federalizmu, zaciągając w swoim imieniu długi, dzięki którym można by potem subsydiować upadające sektory przemysłu w poszczególnych państwach. Do tej pory, zwłaszcza w czasach kanclerstwa Merkel, Niemcy blokowały taką ideę. Merkel, jak wiadomo, raz tylko dała się złamać, dając placet na unijny projekt wspólnotowego finansowania programu Next Generation EU. Czyli planu odbudowy gospodarki europejskiej po zarazie i lockdownach, który (jak tego doświadcza teraz Polska) tak zasadniczo wzmocnił quasi-federalne instrumenty Komisji Europejskiej, używane do nacisku, szantażu i nadzoru nad państwami.

Wygląda na to, że Francuzi i Włosi próbują jednak kuć żelazo póki gorące, gdyż te same żądania co ich rządy formułują w swoim (na poły sensacyjnym) artykule komisarze Gentiloni i Breton. Widać jasno, że toczy się tu uzgodniona poufnie francusko-włoska gra, która przy okazji ujawnia, jak iluzoryczną ideą jest rzekoma niezależność unijnych komisarzy od narodowych rządów, o czym z nabożnością zwykli pisać wszyscy niemal autorzy podręczników na temat Unii. (Nawiasem mówiąc, często miewam wrażenie, że jedynym, który w ową niezależność szczerze uwierzył, jest komisarz Wojciechowski, o którym nigdy nie słyszano jeszcze, by występował w interesie Polski, gdy ta była atakowana kolejnymi posunięciami komisji).

FEDERALIZM FISKALNY

Obaj zbuntowani komisarze dowodzą, że subsydia i protekcjonizm są rzeczą fantastyczną, ale nie wtedy, gdy stosują je egoistycznie Niemcy, ale wówczas, gdy czyni to cała Unia. I domagają się, owszem, „podwójnego boomu", ale paneuropejskiego i finansowanego na poczet długu zaciąganego przez Komisję Europejską. Tocząca się gra polityczna nie budzi żadnych wątpliwości. Paryż i Rzym uznały, że Scholz ze swoim „podwójnym boomem" dał świetną okazję do wielostronnego natarcia na Berlin, które miałoby zmusić Niemców do rezygnacji z ich tradycyjnej nieufności do konceptu europejskiego federalizmu fiskalnego.

Potwierdza się po raz kolejny prawda dotycząca od dawna niemieckiej polityki. Gdy jest okazja głosić paneuropejskie ideologiczne frazesy, to Niemcy zawsze są do tego pierwsi. A gdy pojawia się konkret, budujący federalistyczną Europę, od razu słychać ich stanowcze „nein". Bo federalizm, który musi oznaczać finansowanie biedniejszych, oczywiście nie służy interesom najbogatszego kraju unijnego.

> Skala niemieckiego programu – 200 mld euro – wywołała w Europie obawę i złość o to, że po takim zastrzyku finansowym niemieckie firmy energetyczne zyskają potężną i z gruntu nieuczciwą przewagę konkurencyjną nad całą resztą Europy

Artykuł komisarzy nazwano w mediach granatem wrzuconym do Komisji Europejskiej. Jasno bowiem uderza on także w pozycję Ursuli von der Leyen jako szefowej komisji, ubiegającej się niezadługo o mandat na następną kadencję. Von der Leyen przeforsowała bowiem ostatnio kontrowersyjny kształt ósmego pakietu unijnych sankcji wobec Rosji, w którym zignorowała bez wyjaśnień żądanie przedłożone przez 15 państw, by na importowany rosyjski gaz nałożyć ceny maksymalne, odbierając Gazpromowi chociaż część jego wielkich wojennych zysków. Pod tym żądaniem podpisały się m.in. Francja, Włochy, Hiszpania i Polska, czyli (jak podkreśla m.in. „Politico") druga, trzecia, czwarta i piąta potęga unijna. Teraz wygórowanym cenom Gazpromu sprostają bez problemu koncerny niemieckie, zasilone 200-mld subsydiami, podczas gdy energetyka krajów biedniejszych i niemogących sprostać porównywalnej skali protekcjonizmu popadnie w większe tarapaty. Za artykułem dwóch komisarzy stoi więc niepostawione w jego treści wprost pytanie. W czyim interesie działa szefowa komisji? Europy jako całości? Czy też może w chwili próby okazuje się rzeczniczką interesów niemieckiego przemysłu?

W chwili, gdy piszę te słowa (tuż przed szczytem Unii w Pradze), nie wiadomo, jak skończy się ta ciekawa awantura wokół niemieckiego „podwójnego boomu". Z dwóch możliwych rozwiązań sukces niemieckiego egoizmu jest mimo wszystko lepszy dla polskich interesów niż podążanie quasi-federalistycznym tropem kolejnych wspólnych długów Unii i jeszcze większej w efekcie władzy komisji nad państwami. Nie bez znaczenia jest dobrze znany fakt całkowitej funkcjonalnej integracji gospodarek polskiej i niemieckiej, co sprawia, że w chwili niebezpieczeństwa kryzysu gospodarczego w Polsce silny kryzys przemysłu niemieckiego może być przysłowiowym gwoździem do polskiej trumny. Jest tego zapewne świadom rząd Morawieckiego, który w przyszłym roku musi się poddać wyborczej ocenie Polaków.

Ale z tej awantury o niemiecki „podwójny boom" płynie jeszcze jedna, w sumie dość zdroworozsądkowa konkluzja. Tzw. patriotyzm gospodarczy, którego przejawem jest polityka subsydiowania własnego narodowego przemysłu, świetnie wychodzi i opłaca się najbogatszym. Takim, którzy mogą sobie pozwolić na jednorazowe subsydia, przekraczające roczne wydatki całego polskiego budżetu. Protekcjonizm stosowany przez biednych (powiedzmy to sobie szczerze) jest śmieszny, bo na końcu obraca się przeciw tym, którzy go stosują. W bezwzględnej grze o to, kto może najmocniej wesprzeć własny przemysł, Niemcy – przynajmniej na razie – będą górą. Europejska awantura o „podwójny boom" wskazuje na to, że nauczono się tego już nad Sekwaną i nad Tybrem. Ale jeszcze niekoniecznie nad Wisłą.

Reklama | 32/0922/F

eprasa.pl fb93a73578

MATERIAŁ
MARKETINGOWY

Twoja przyszłość leży **w Twoich rękach**

Zabezpiecz siebie i swoją rodzinę z zaufanym partnerem PZU Życie.

#maszwpływnaswojeżycie

Dowiedz się więcej na **pzu.pl/maszwplywnaswojezycie**

PZU

eprasa.pl fb93a73578

Tu jest prawda

Festiwal Filmowy NNW jest szansą, którą państwo polskie powinno podjąć i wykorzystać. Wytyczony na gdyńskiej imprezie kurs na nowoczesny patriotyzm może być kluczowy w walce o młode pokolenia

MARCIN WIKŁO

Po pierwsze. Festiwal NNW przestał już być brzydszym rodzeństwem znanych i uznanych festiwali filmowych w Polsce i w naszej części Europy. To impreza z dużym rozmachem, prezentująca produkcje doceniane także gdzie indziej.

Środowisko filmowe jest w Polsce podzielone, bo takie mamy czasy. Jego najsilniejsza część nie chce mieć z polskim patriotyzmem nic wspólnego. Dlatego NNW był przez lata marginalizowany, pomijany, nie szczędzono mu przykrych komentarzy w branży. Bo to był (i wciąż jest) festiwal bardzo polski i nie chciał (i wciąż nie chce) wpisywać się w pedagogikę wstydu uprawianą przez wielu twórców.

Filmy, które zgłoszono do konkursów, a przede wszystkim osoby zaproszone przez dyrektora Arkadiusza Gołębiewskiego do jury oraz pracy w Akademii Filmowej, to czołówka światowa. Martha Coolidge, przewodnicząca w konkursie międzynarodowych filmów fabularnych, była prezydent Amerykańskiej Gildii Reżyserów Filmowych, oceniała filmy wraz z polsko-amerykańskim aktorem Markiem Proboszem i Adamem Sikorą (operatorem nagrodzonym Złotymi Lwami w Wenecji za „Essential Killing" w reż. Jerzego Skolimowskiego).

Dokument międzynarodowy oceniało grono jurorów z Gruzji, Wenezueli, Chorwacji i Polski. Pracowali pod przewodnictwem dr. Mateusza Wernera, filozofa kultury, eseisty, krytyka filmowego. Polski dokument oceniali m.in. Mariusz Malec – reżyser filmowy, laureat np. Grand Prix Tampere International Film, czy Maria Stachurska – pisarka, reżyser, producentka filmowa i telewizyjna.

Poszerza się Festiwal NNW zarówno filmowo, jak i tematycznie. Otwarcie na szeroko pojętą wolność bywa krytykowane. Zarzuca się mu zbytnie odejście od pierwotnego opowiadania o walce zbrojnej wyklętych żołnierzy antykomunistycznego podziemia w powojennej Polsce. To prawda, że te historie już nie są wiodące. Mam jednak wrażenie, że przynajmniej w warstwie dokumentalnej zostały już przez lata dosyć dobrze opowiedziane. Kolejna prawda jest też taka, że brakuje dobrych – podkreślam

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl fb93a73578

– dobrych filmów fabularnych o wyklętych, na nie wciąż czekamy. Dla nich zawsze na Festiwalu NNW znajdzie się miejsce. A szerzej pojęta droga do wolności zawiera w sobie przecież także ich walkę. Pozwala jednocześnie reagować na wydarzenia bardziej współczesne, jak choćby wojna na Ukrainie, która dla naszych sąsiadów wcale nie trwa od lutego, lecz od 2014 r., od rosyjskiego najazdu na Krym i Donbas.

Po drugie. Zostańmy na chwilę przy wątku narzekania na brak dobrego kina historycznego. Dlaczego tak jest? Odpowiedź od lat się nie zmienia – brakuje dobrych scenariuszy.

Mierząc się z tym problemem, przy Festiwalu NNW powstała Akademia Filmowa. To seria warsztatów scenariuszowych z udziałem wybitnych twórców: Lecha Majewskiego, Dariusza Gajewskiego, Łukasza M. Maciejewskiego, Grzegorza Packa, Macieja Pieprzycy i wielu innych. Praca zaczyna się od pomysłu, a kończy na czytaniu aktorskim najlepszego scenariusza. Wcześniej twórcy, zarówno dokumentalni, jak i fabularni, mają zajęcia indywidualne z tutorami i okazję do wysłuchania wykładów masterclass.

To charakterystyczne dla twórców Festiwalu NNW, że widząc problem, nie załamują rok, ale działają. Tak jest również w przypadku warsztatów Pitching Forum, których zadaniem jest przygotowanie twórców do zaprezentowania swojego pomysłu potencjalnym producentom i inwestorom na tyle ciekawie, by film mógł powstać. To się zresztą dzieje, a omawiane w Gdyni projekty konsekwentnie wchodzą do produkcji i na ekrany.

Należy też uczciwie stwierdzić, że skala tych działań jest zbyt mała w stosunku do potrzeb. I tutaj widzę rolę instytucji państwowych, które powinny w Festiwal NNW zainwestować. Nie traktować go jak konkurencji. Przy systemowym i stabilnym wsparciu przełoży się to po prostu na dobre filmy.

Po trzecie. Festiwal NNW kilka lat temu zyskał dodatkowy człon w nazwie: „międzynarodowy". Przyjeżdżają do Gdyni Węgrzy, Rumuni, Czesi, Amerykanie i oczywiście także Ukraińcy. To sprawia, że arcyciekawe stają się rozmowy o drogach do wolności z różnych perspektyw. Z przedstawicielami państw Europy Środkowo-Wschodniej możemy się porównywać, przeglądać w nich jak w lustrze. Zastanawiać się, czym był komunizm u nas, a czym u nich. Jak sobie z nim poradziliśmy. Goście z odleglejszych zakątków świata, np. z Wenezueli czy Japonii, również przez lata marzyli o wolnej ojczyźnie. Przyszedł więc czas, by i z nimi o tym porozmawiać, by i ich filmy o tej tematyce obejrzeć.

Festiwal NNW jest sam w sobie inspiracją. Od dwóch lat Praga ma swój festiwal „Niezłomni i ofiarowani", jego pomysł zawiózł do siebie goszczący w Gdyni od lat historyk Petr Blažek. Należy więc pozbyć się jakiegokolwiek kompleksu, więcej, należy być dumnym, że ten sposób debaty o patriotyzmie zyskuje uznanie poza Polską.

To w Gdyni opowiada się historie do tej pory przemilczane. To tutaj jest ustawiony wręcz rodzinny stół, który tak bardzo przeszkadzał komunistom. To przy nim rozmawia się o sprawach najważniejszych w bezpiecznym gronie. Dlatego przez lata była rozbijana rodzina, w której wnuki i dzieci są przez dziadków oraz rodziców nasycane ważnymi opowieściami. Festiwal NNW stał się miejscem, gdzie niejedno wyznanie padło po raz pierwszy. Nieraz słyszałem po ważnych debatach: „A wie pan, że dziadek nigdy nam tego nie opowiadał...".

Po czwarte. Jest jeszcze jedna rzecz, być może najważniejsza, która wyróżnia Festiwal NNW na tle innych imprez filmowych. Zazwyczaj uroczyste pokazy filmowe są puentą pracy reżysera i jego ekipy. To czas na celebrowanie. Tutaj też są nagrody, statuetki, oklaski, ale nie tylko. To tutaj twórcy spotykają bohaterów swoich przyszłych filmów. Tutaj dotykają historii bezpośrednio.

Dlatego w Gdyni jest wręczana nagroda Źródło – dla postaci, które swoim życiem pobudzają wyobraźnię filmowców, pchają ich za kamerę, skłaniają do refleksji i zrobienia filmu. Jedną z takich osób była pani Maria Mirecka-Loryś, która jeszcze w ub.r., w wieku 106 lat, gościła w Gdyni. Odeszła na początku br. Należała do antykomunistycznej partyzantki, po wojnie jeździła ze Stanów Zjednoczonych, gdzie mieszkała, z pomocą na ukochane Kresy.

Innym przykładem jest prof. Krzysztof Szwagrzyk, który wraz ze swoją ekipą z IPN dokonuje odkryć dla polskiej historii bezcennych, wydziera z dołów niepamięci bohaterów pomordowanych przez komunistycznych oprawców. Dzięki niemu i opartych na jego pracy filmach nikomu dzisiaj w Polsce nie trzeba chyba tłumaczyć, czym jest Łączka.

Po piąte. Jednym z gości tegorocznego, 14. Festiwalu NNW był kpt. Krzysztof Flizak, najmłodszy żołnierz gen. Władysława Andersa. Weteran przyjechał z USA, znalazł się tam jako nastolatek, po wojnie. Dostał powołanie do US Army i walczył w m.in. w Korei, gdzie został ciężko ranny. Koledzy, słysząc jego niezwyczajny akcent, pytali: „Kim jesteś?". Zawsze odpowiadał: „Jestem żołnierzem amerykańskiej armii, ale w sercu mam Polskę!".

Jedno z uhonorowań – przyznany pośmiertnie Sygnet Niepodległości dla gen. Stanisława Maczka – odbierała podczas gali finałowej Karolina Maczek-Skillen, wnuczka dowódcy. Przyjechała do Gdyni z Wielkiej Brytanii. – Dziadek zawsze powtarzał, że polski żołnierz walczy na różnych frontach na całym świecie, ale umiera tylko dla Polski – usłyszeliśmy od niej ze sceny.

Gościem festiwalu był także Wit Kaczanowski, malarz znany bardziej jak Witold-K, wysłany przez komunistyczne władze w 1964 r. do Paryża z biletem w jedną stronę. W tę podróż zabrał manuskrypt książki Stanisława Cata-Mackiewicza przeznaczony dla paryskiej „Kultury". Dzięki temu dzieło przetrwało. Mimo wielu lat na emigracji Witold-K mówi: „Jestem bardzo polskim malarzem", i zapewnia, że mimo 90 lat wciąż chce malować dla Polski.

To trzy historie osób, które na ojczyznę patrzą z oddali. I tęsknią. Spotykając się z nami na Festiwalu NNW, uświadamiają nam, że patriotyzmem nie można się znudzić, że należy go pielęgnować, a nie zamieniać na chwilowo atrakcyjne mody. To cenna lekcja, warto po nią przyjechać do Gdyni.

eprasa.pl fb93a73578

NNW – wspólnota wolnych ludzi

„Ten festiwal czyni nas narodem, a nie zbiorowiskiem ludzi”

Marcin Wikło, zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Sieci”, znalazł się w gronie osób odznaczonych przez szefa Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Minister Jan Józef Kasprzyk wręczył medale za organizację Festiwalu NNW i wieloletnie zaangażowanie w krzewienie postaw patriotycznych.

Uroczystość odbyła się podczas Gali Finałowej XIV Festiwalu NNW w Gdyni. Medale „Pro Bono Poloniae” otrzymali Arkadiusz Gołębiewski, dyrektor Festiwalu NNW, oraz Jan Ruman i Paweł Nowacki, jego współtwórcy. Medalem „Pro Patria” uhonorowano też Marcina Wikłę.

Płk Artur Frączek przeczytał w uzasadnieniu, że medale „Pro Bono Poloniae” przyznano osobom wyróżniającym się w upowszechnianiu wiedzy o historii walk niepodległościowych, krzewieniu postaw patriotycznych w polskim społeczeństwie oraz poza granicami kraju, a medal „Pro Patria” – w uznaniu szczególnych zasług w kultywowaniu pamięci o walce o niepodległość ojczyzny.

– To dla mnie ogromny honor, że mogłem wręczyć te medale „Pro Bono Poloniae” i „Pro Patria” osobom tak szczególnie zasłużonym dla polskiej kultury, dla Rzeczypospolitej, organizatorom tego festiwalu, który buduje wspólnotę ludzi wolnych, dumnych, zakochanych w niepodległości – mówił minister Kasprzyk. – Marsz. Piłsudski powiedział, że naród, który traci pamięć, przestaje być narodem, staje się tylko zbiorowiskiem ludzi, którzy czasowo zajmują dane terytorium. Ten festiwal czyni nas narodem, a nie zbiorowiskiem ludzi. I za to jego twórcom raz jeszcze serdecznie podziękujmy – zakończył szef UdSKiOR.

Fot. Materiały prasowe

Autopromocja

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz

WEJDŹ NA: wPolityce.pl

eprasa.pl fb93a73578

Z taką załogą nie ma lęku

O Orle i „strasznych bliźniakach", kobiecej sile na wojennym planie, osaczeniu i głębokim oddechu historii rozmawiamy z Jackiem Bławutem, reżyserem, operatorem i producentem, twórcą filmu „Orzeł. Ostatni patrol"

Fot. Bartosz Mrozowski

eprasa.pl fb93a73578

Z Jackiem Bławutem, reżyserem, operatorem i producentem, twórcą filmu „Orzeł. Ostatni patrol", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Orzeł znów wypłynął w morze, przynosząc – w finale 47. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni – statuetkę za reżyserię panu, a także nagrody Radosławowi Ochni i Michałowi Fojcikowi za dźwięk, duetowi Piasek & Wójcik za montaż i Dariuszowi Krysiakowi za charakteryzację. Równolegle z tymi laurami pojawiło się sporo głosów zawodu. Jak pan na nie reaguje?

Jacek Bławut: Schematy w narracji filmowej, zwłaszcza dotyczące tematów związanych z wojną, z reguły są tak skostniałe, że nie dają pola na wyobraźnię. Osoby, które tkwią w tych stereotypach, mogą się czuć zagubione, mam jednak nadzieję, że większość widzów stanie się częścią załogi Orła.

Długo zbierał się pan do wyjścia z tą historią na kinowe ekrany?

Można powiedzieć, że od dzieciństwa, kiedy pierwszy raz usłyszałem o ostatnim patrolu ORP Orzeł. Związana z tą jednostką legenda, niewyjaśnione przyczyny jej zaginięcia... już wtedy bardzo mnie poruszały, pobudzały wyobraźnię. Kiedy na dobre zabrałem się za przeniesienie na ekran historii okrętu, od zamknięcia etapu scenariusza do premiery minęło z pięć lat. Trzeba było zdobyć na projekt pieniądze, co nie jest proste. I jeszcze pokonać pandemię.

Dlaczego tak bardzo zależało panu na powstaniu tego filmu?

Skoro bohaterowie tamtych wydarzeń nie poddali się, jak ja mógłbym dać się pokonać przeciwnościom? Nie jest tajemnicą, że od lat pasjonują mnie niezwykłe wojenne polskie dokonania. Jest ich tyle, że gdybyśmy byli w Ameryce, o każdym z nich powstałby jak nie film, to serial.

Wybrałem Orła, bo to temat, którym wszyscy nadal żyjemy. Jest jak polski Święty Graal. Przy czym „Orzeł. Ostatni patrol" to film o wszystkich marynarzach podwodniakach, którzy walczyli niezwykle dzielnie, często brawurowo, służąc m.in. na słynnej torpedowej parze „strasznych bliźniaków" – ORP Dziku i ORP Sokole.

Już po internowaniu w Tallinie załodze Orła udało się zbiec (w nocy z 14 na 15 września 1939 r.), Sowieci wykorzystali to jako pretekst, wkraczając do Estonii, a po dwóch dniach – do Polski. Tymczasem Orzeł przedarł się do Anglii, walczył do przełomu maja i czerwca 1940 r., kiedy to zaginął wraz z całą załogą podczas patrolu na Morzu Północnym.

Teraz, można powiedzieć, sytuacja się powtarza. Tuż obok nas Sowieci rozgrywają tragiczne w skutkach wojenne plany, więc jak się wydaje, Orzeł nie bez przyczyny wraca właśnie dziś, z jego duchem walki, patriotyzmem załogi, bardzo czystym, pięknym. Wraca w czasie, kiedy potrzebujemy takich jak tamci marynarzy, ich energii, siły.

Było kilka hipotez, co się stało z Orłem. Którą z nich pan przyjął?

Przekonała mnie koncepcja moich konsultantów. Jeden z nich, poświęcając na to kilka lat, przekopał się przez wszystkie możliwe archiwa (niemieckie, brytyjskie), co do godziny opisał drogę Orła od czasu wypłynięcia w ostatni rejs do zaginięcia, analizując dzienniki pokładowe innych okrętów, samolotów... Do jakich wniosków doszedł, trzeba samemu zobaczyć.

A co pan zobaczył w historii ostatniego rejsu Orła, pracując nad filmem?

Bezsensowne umieranie. Młodych ludzi, którzy zostawili za sobą rodziny, dzieci, plany, marzenia... Niezwykły dramat, niszczący życie nie tylko członków załogi, który wydarzył się, bo jakiś nawiedzony człowiek postanowił zrealizować swoje plany, zabijając ludzi. Przerażające, że znów takie działania widzimy.

10 lat temu za sprawą dokumentalnej „Wirtualnej wojny" spojrzał pan na wydarzenia sprzed 80 lat z powietrza. Szeroka perspektywa, można by powiedzieć, chociaż oglądana z kokpitu. Teraz zdecydował się pan na pełne zanurzenie?

Żeby pogłębić to, co się dzieje w głowach członków załogi i we wnętrzu jednostki, pokazać osaczenie związane z poczuciem zagrożenia, realnym widmem śmierci... trzeba było znaleźć odpowiednią perspektywę. Orzeł to organizm. Załoga też jest organizmem. O tym, co dzieje się w ludziach, opowiadamy z perspektywy okrętu, można też powiedzieć, że w jakimś sensie ich podglądamy. Na pierwszy rzut oka brzmi to brawurowo, ale zamknięta, ciasna przestrzeń maksymalnie skraca dystans, a wypełniona odgłosami wymuszonymi akustyką wnętrza i specyficznym światłem sprawia, że znajdujący się w niej bohaterowie intensywniej przeżywają zmagania z własnymi ograniczeniami.

Jako reżyser zdecydował się pan na brawurowe, nowatorskie podejście realizacyjne, które doceniło jury festiwalu w Gdyni. Zaskoczył pan też decyzją powierzenia scenografii wojennej produkcji kobiecie.

Reżyserię w filmie można porównać do dowodzenia oddziałem wojsk, gdzie każdy człowiek jest ważny. Decydująca o ostatecznym kształcie filmu jest również atmosfera, emocje, które są na planie. Ważne jest zobaczenie tego, co można wydobyć nie tylko z aktora, ale przede wszystkim z jego osobowości, wrażliwości. Co do scenografii to, przyznaję, w pewnym momencie byłem lekko przerażony. Mieliśmy dogadanych wstępnie dwóch scenografów z najwyższego pułapu, ale po kolei dawali nogę zaraz po tym, jak się zorientowali, z jaką skalą musieliby się zmierzyć. I wtedy producentka podsunęła mi propozycję Marceliny Początek-Kunikowskiej. Pamiętam, przyszła delikatna, ładna kobieta, ale kiedy zaczęliśmy rozmowę, już po pierwszym zdaniu wiedziałem, że to ktoś, kto przeniesie góry.

Pasja i determinacja to jedno, a kompetencje?

Marcelina jest też architektem z wykształcenia. Patrzy na wnętrze z pełną świadomością możliwości konstruowania przestrzeni. Ze swoim zespołem właściwie zamieszkała na budowie dekoracji pod Krakowem. Kiedy pierwszy raz wszedłem do stworzonej przez nich głównej centrali, poczułem, że wszystko, co wiem i co znam dzięki historycznej dokumentacji, w pełnej skali i w najdrobniejszym detalu, mam przed oczami. Że siedzę na miejscu Mokrskiego, obok jest sternik, dalej kapitan Jan Grudziński. Od pierwszego wejścia dałem się wkręcić w to wnętrze, tak jak wcześniej w historię Orła i jego załogi. Dla mnie to oscarowa scenografia. Ale wszystkie piony tej produkcji dały radę. Na każdym poziomie. Efekty, scenografia, kostiumy, zdjęcia, aktorski zespół...

A jak układała się współpraca reżysera, producenta, a także operatora z wieloletnim stażem i osiągnięciami ze znakomitą i doświadczoną autorką zdjęć Jolantą Dylewską?

Pamiętam nasze pierwsze niezobowiązujące rozmowy o jeszcze bardzo wstępnych etapach projektu. Nie sądziłem, że będzie ją to zawodowo interesowało, ale na którymś ze spotkań, zupełnie niezwiązanych z tematem, usłyszałem: „Jeśli będziesz robił casting na operatora, weź mnie pod uwagę". W tym momencie mogłem tylko jedno powiedzieć: „Już to masz!". Przy takich trudnych, twardych tematach kobieca wrażliwość i delikatność – wsparta autorytetem i kompetencjami – jest nie do przecenienia. Jola na planie mówi szeptem, ale wystarczy, że spojrzy, by sprawy biegły zgodnie z jej życzeniem i wizją.

À propos wizji, spieraliście się na temat jakichś scen?

Kiedy podjęliśmy decyzję, że będziemy „podglądać" bohaterów, prowadzić tę historię z perspektywy okrętu, zaczęły się poszukiwania – formalne, techniczne. Każde oko kamery, każde ujęcie musiało zostać indywidualnie potraktowane. To była żmudna praca, ale cieszyłem się, że mam obok siebie osobę, z którą komunikujemy się na każdym poziomie, rozumiemy niemal bez słów. Gdy pojawia się kwestia światła, malarstwa czy optyki, wiemy, o czym rozmawiamy. Myślę, że doskonale to widać na ekranie. Warto sprawdzić ten efekt. „Orzeł. Ostatni patrol" trafi do kin już w najbliższy piątek.

Na koniec zadam pozornie dalekie od „Orła. Ostatniego patrolu" pytanie: gdzie się pan urodził?

W średniowiecznym zamku Grodno w Zagórzu Śląskim. Ojciec był tam kierownikiem.

Czyli nie jest pan chłopakiem znad morza?

Ale uwielbiam morze, kocham otwarte przestrzenie. Może właśnie dlatego, że urodziłem się w Sudetach. Wokół mnie były tylko góry. Musiałem wejść na wieżę zamkową, żeby zobaczyć, jak pociąg jedzie 10 km dalej. Przez lata dzieciństwa nic więcej nie widziałem. I to może tłumaczyć efekt zamknięcia, który stale jest obecny w moich filmach. Skolimów w fabularnym „Jeszcze nie wieczór" – zamknięcie, „Nienormalni" – zamknięcie, „Cyrk Skalskiego", „Byłem generałem Wehrmachtu" – też. Po pierwszych pokazach „Orła" dzwonili do mnie ludzie, mówiąc, że z końcem projekcji musieli szybko wyjść z kina. Żeby złapać oddech. Wynurzyć się z historii, która dla załogi zakończyła się w wielkim metalowym cielsku podwodnej łodzi. To zamknięcie, mrok mnie przyciąga jak magnes, ale szukam też światełka i tego, co się za nim ukrywa.

Tak też będzie przy kolejnym projekcie?

To gigantyczny temat. Też w zamknięciu. Jeszcze większym. Ale na koniec chciałbym wrócić do „Orła. Ostatniego patrolu" – na jego pokładzie nie ma strachu, bo z taką załogą nie ma lęku. Tylko jest walka.

Fot. Darek Minkiewicz, materiały prasowe

eprasa.pl fb93a73578

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Franciszek Pieczka – całym sobą opowiadał historie

Żeby uczcić śmierć Franciszka Pieczki, Teatr Telewizji przypomniał „Fedrę" Jeana Racine'a w reżyserii Laco Adamika. Spektakl z 1985 r., w którym aktor zagrał Tezeusza, króla Aten, męża i ojca.

Najpierw o przedstawieniu. Adamik zrobił wszystko, co powinien. Pięknie skomponowana scenografia Barbary Kędzierskiej niby umieszczała całą akcję na morskim wybrzeżu, a przecież nadawała poszczególnym scenom niemal ekspresjonistyczny wymiar. Nieskazitelny wiersz z 1677 r. recytują najlepsi aktorzy. Można się przekonać po raz kolejny, że Teresa Budzisz-Krzyżanowska (Fedra) i Ryszarda Hanin (Enona) to przednie tragiczki. Że Katarzyna Figura (Arycja) była talentem już w szkole teatralnej, a Bogusław Linda (Hipolit), klasyfikowany niesprawiedliwie jako facet od kilku min w filmach akcji, też umie mówić wiersz z wielkim wyczuciem.

Cóż stąd, kiedy ten wiersz jawi się dzisiaj mnie, obrońcy dawnego teatru, zbyt nieskazitelny, za elegancki. Za mało w nim ludzkiego chaosu, splątania, rozbełtania, jakie oferował nam choćby Szekspir. Choć niby dostajemy wszelkie archetypy ludzkich dramatów, skoro to opowieść o macosze zakochanej beznadziejnie w pasierbie i przywodzącej go do zguby.

Może to i należy przypominać z powodów filologicznych, ale nie wiem, czy poszedłbym na to do teatru. Maja Kleczewska próbowała to odwracać w Teatrze Narodowym, robiąc z „Fedry" rozedrganą psychodramę ociekającą biologią, seksem i sosem. I nie wyszło. Sprzeczność między słowami i obrazami pchała ten eksperyment na granice śmieszności.

Adamik śmieszności uniknął, ale nadał temu ledwie pozory życia. Choć powiadam: jako repetytorium historii dramatu ta inscenizacja budzi respekt.

Franciszek Pieczka jest tu stonowany, ascetyczny. Jak cała historia dziwnie zdawkowy w tragicznych pomyłkach wprowadzonego w błąd Tezeusza, które ledwie się zaczynają, zaraz mają swój kres. A przecież patrzyłem na niego jak zaczarowany, choć z niedosytem. Bo od razu widać, że pośród postaci potencjalnie ciekawych on jest najciekawszy.

Była okazja zadumać się nad jego arcydługą aktorską drogą. Drągal o podłużnej twarzy i niezwykłym głosie. Ten głos zawsze drgał jakąś nieporadnością, zbytnią poczciwością, nawet naturalną topornością zatrącającą o śmieszność. Ciekawe, czy dziś Pieczka dostałby się do szkoły aktorskiej. Choć widzę, że ostatnio znowu szukają one ludzi charakterystycznych, różnorodnych.

Był Gustlikiem, Mateuszem, Jańciem Wodnikiem, chociaż także groteskowo plebejskim bogaczem Muellerem z „Ziemi obiecanej". Również kochanym przez masy Stachem Japyczem z „Rancza". Ja najmocniej zapamiętałem milczącego, pogrążonego w tragicznych stuporach Wodza Bromdena z „Lotu nad kukułczym gniazdem" Kena Keseya z Teatru Powszechnego z lat 70.

To był aktor, który stojąc nieruchomo na scenie, opowiadał samym swoim ciałem, nachyleniem głowy, zgięciem pleców najbardziej dramatyczne historie. Choć zawsze czekaliśmy po prawdzie, że zaraz przemówi po śląsku.

Wielki artysta, jest dziś żegnany jako przyzwoity, ludzki, otwarty na innych, za to nigdy niemądrzący się człowiek. Autorytet, który kompletnie się o to nie starał. Który nie zgłaszał się do komentowania tego, co do niego nie należało. A jednak cały był chodzącym komentarzem.

Odejdę daleko od „Fedry" Racine'a. Prezydent Duda przypomniał, że Pieczka umiał łączyć śląskość z polskością. Nie mieszając się do bieżączki, wziął niedawno w sędziwym wieku udział w kampanii medialnej poświęconej upamiętnieniu powstań śląskich. Także wbrew współczesnym modnym trendom. Bo był ich zaprzeczeniem.

Piotr Zaremba

Fot. Niemiec/AKPA

Reklama | 44/0922/F

PATRONAT HONOROWY WICEPREZESA RADY MINISTRÓW
MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO
PROF. DR. HAB. PIOTRA GLIŃSKIEGO

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

ORGANIZATOR

MUZEUM HISTORII POLSKI

WSPÓŁORGANIZATOR

Muzeum Narodowe w Warszawie

PATRONI MEDIALNI

POLSKIE RADIO · TVP · pap POLSKA AGENCJA PRASOWA · SIECI · nasza HISTORIA · DZIEJE.PL PORTAL HISTORYCZNY · Poleca nam! naszemiasto · GOŚĆ NIEDZIELNY

eprasa.pl fb93a73578

3 MIŁOŚCI

Queer, czyli odmieńcy

ROBERT TEKIELI

To oczywiście banał: seks jest narzędziem, które ma umożliwić wywrócenie Zachodu na nice, cofnięcie go w rozwoju o przynajmniej 3 tys. lat. Nawet w Kościele toczy się dziś dyskusja na temat nierozerwalności małżeństwa, co w obliczu jasnych słów Boga-człowieka na ten temat wydawało się dotąd niewyobrażalne. Coraz głośniej brzmią głosy katolickich hierarchów i teologów, którzy chcą pozbawić sakramentalny związek mężczyzny i kobiety aury nadprzyrodzonej sakry, zamieniając go w kolejną umowę cywilnoprawną, którą można kiedy się chce rozwiązać.

Rozpowszechnienie się instytucji świeckich rozwodów w czasach po rewolucji francuskiej było mocnym uderzeniem w ideę trwałej monogamii. Potem w sukurs wrogom nierozerwalnego małżeństwa przyszli naukowcy. Co jakiś czas czytam o badaniach naukowych wykazujących wyższość poligamii bądź poligynii nad monogamią. A to Masajowie w wioskach z wielożeństwem mają się lepiej od tych mieszkających w wioskach zeuropeizowanych, a to jakieś plemiona z Amazonii świetnie egzystują dzięki poliandrii. Oczywiście istnieją różne cywilizacje i różne sposoby kanalizowania potężnego żywiołu seksualności, jednak dowartościowywanie marginalnych czasem kultur i zrównywanie stosowanych w nich pomysłów na okiełznanie seksu z kulturą zachodnią jest receptą na klęskę. Nie zdajemy sobie bowiem zazwyczaj sprawy z rewolucyjności Pięcioksięgu. Tora zabroniła seksu pozamałżeńskiego. A to zmieniło właściwie wszystko.

W świecie starożytnym seksualność, szczególnie męska, była całkowicie nieokiełznana. Mężczyźni uprawiali seks z kobietami, mężczyznami, małymi dziewczynkami i małymi chłopcami. Z jednym partnerem i w dużych grupach, z osobami zupełnie obcymi i bliskimi członkami rodziny oraz z różnymi zwierzętami domowymi. Do zapewniania sobie seksualnej przyjemności używano płatów skóry, butów, osiągano orgazm przez oddawanie moczu i kału na siebie, przez ubieranie się w kobiece stroje, stosunki z karłami, podglądanie innych osób poddawanych torturom, zadawanie bólu, gwałty, wymuszone stosunki z dziewicami... Podobnie życie religijne było zdominowane przez seks. Isztar uwiodła człowieka, Ozyrys był z Izydą, El współżył z Aszerą, Kriszna miał wiele żon i kochanek, Zeus uganiał się za kobietami, porwał Ganimedesa, masturbował się. Posejdon zgwałcił Tantala. Na starożytnym Bliskim Wschodzie dziewice były deflorowane po ślubie przez kapłanów, sakralna prostytucja miała miejsce w Mezopotamii, Fenicji, Koryncie, Kartaginie, Sycylii, Libii oraz w starożytnych i nowożytnych Indiach. Nawet w Judei w pewnym momencie powrócono do tradycji męskich prostytutek świątynnych.

Nałożenie kontroli na aktywność seksualną przez judaizm, wtłoczenie jej w ramy małżeństwa sprawiło, że nie mogła jak dotąd dominować życia społecznego. To ograniczenie kontynuowane przez chrześcijaństwo było jednym z najbardziej zasadniczych elementów umożliwiających społeczeństwom postęp i doprowadziło Zachód do zdominowania reszty globu.

Dziś w obrębie naszej cywilizacji trwają intensywne prace nad zaprzepaszczeniem tego dziedzictwa. Trwa ponowna panseksualizacja wszelkich elementów kultury.

W starożytności płeć partnera nie była problemem moralnym, judaizm to zmienił. Od paru dekad aprobowanie homoseksualizmu jest uznawane za nowoczesne, a w istocie cofa nas o tysiąclecia.

Dziś rewolucjoniści neomarksistowscy idą jeszcze dalej. Związki jednopłciowe mają stać się normą, tak, ale w dalszej perspektywie chodzi o ostateczne zniesienie płci.

Dla teoretyków ideologii gender-queer płeć nie jest biologicznym faktem, lecz skutkiem politycznej przemocy, która płynną, pierwotną seksualność zamyka w ramach dwóch płci, co jest błędem.

W pracach publikowanych na użytek własnego środowiska teoretycy gender wprost wyznaczają sobie za cel stworzenie nowego społeczeństwa i nowego człowieka o płynnej, zmienianej według upodobania orientacji i tożsamości seksualnej. W miejsce zlikwidowanej tradycyjnej rodziny i małżeństwa ideolodzy lewicowego feminizmu chcą wprowadzić „nienormatywne praktyki rodzinne". Czyli związki homoseksualne, poliamoryczne, kazirodcze, sadomasochistyczne i inne, praktykowane przez osoby o zaburzonej seksualności, określane wspólną nazwą „queer". Co po polsku znaczy – odmieńcy.

W „Queer Studies. Podręcznik kursu" czytamy: „Rozwiązaniem nie jest wprowadzenie małżeństw dla lesbijek i gejów, ale całkowita likwidacja instytucji małżeństwa, także dla par heteroseksualnych".

Dziś widać jak na dłoni, że demokracja, którą zwykło się określać jako liberalną, wraz z przyjęciem ideologii gender-queer nabywa cech państwa totalitarnego.

Akceptacja homoseksualizmu jako równego heteroseksualizmowi oraz rozbicie instytucji nierozerwalnego małżeństwa i zniszczenie tradycyjnej rodziny będzie oznaczać koniec zachodniej cywilizacji.

eprasa.pl fb93a73578

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Może być Ostatni sezon *„The Walking Dead”* jest niezły. Odpowiednia porcja napięcia, ekipa ocalonych starająca się przeżyć w świecie apokalipsy zombie, nowi przeciwnicy, nowe zagrożenie – głód, a w związku z nim nowe wyzwania oraz śmiertelne napięcie między głównymi bohaterami.

Prowadzący przez jakiś czas prawie sielskie życie rolnicy muszą zamienić się w myśliwych, osiadłe społeczności – w zbieraczy.

Jak w każdej bajce o 10 Murzynkach nie wiemy, kto następny wypadnie z obsady serialu. Starych głównych bohaterów zastępują nowi i jakoś wszystko zgrabnie się toczy.

Mamy zawsze równolegle dwa lub trzy wątki i emocje. Raz przyjaźń, kiedy indziej miłość i dobijanie śmiertelnie rannych, by nie przemienili się w żywe trupy. Pielęgnowanie zamknięcia się na porażający świat, by zachować resztę człowieczeństwa, ale i trudne otwieranie się na innych, bo samotnik w tym świecie nie ma szans na przeżycie. Widzimy więc różne techniki przetrwania, mniej lub bardziej altruistyczne, po skrajnie egoistyczne. Ale wbrew tytułowi nieumarli są tylko dalekim tłem toczącej się akcji. Trzeba mieć pecha, by dać się im zabić. Są symbolem osaczającego wszystkich zagrożenia i wyostrzają ludzkie postawy.

POPKULTURA

Niezłe Pod koniec września premierę miał amerykański serial telewizyjny, osadzony w świecie „Gwiezdnych wojen” pt. *„Andor”*. Jest to prequel do filmu „Łotr 1” z 2016 r. Serial opowiada o postaci Cassiana Andora pięć lat przed wydarzeniami z filmu. Sam „Łotr 1” nie jest wart uwagi. Jedynym zapamiętanym przeze mnie pomysłem było wykorzystanie animowanych postaci bohaterów wcześniejszych odsłon „Gwiezdnych wojen”, granych kiedyś przez aktorów dziś już nieżyjących.

Odtwarzający w „Andorze” główną postać Diego Luna, meksykański aktor teatralny i filmowy, uniósł duży ciężar, który złożył na jego barkach reżyser. Jak dla mnie duże pozytywne zaskoczenie. Towarzyszą mu równie dobrzy znani aktorzy – Stellan Skarsgård („Czarnobyl”, „Borg/McEnroe”) czy nagrodzony Oscarem Forest Whitaker.

Opowieść jest prowadzona z lekkością, choć np. drugi odcinek jest zdecydowanie słabszy. Zobaczymy więc, w którą stronę całość się potoczy. Czuję sympatię wobec tej produkcji, tym bardziej że akcja „Andora” rozgrywa się w bliskim mojej prowincjonalnej młodości swojskim świecie, w którym wszystko da się załatwić. Rządzą nim biznesy i przysługi, a gdzieś daleko, nad głowami zwykłych ludzi, toczą się odwieczne gwiezdne wojny o władzę.

Pierwszy sezon będzie składać się z 12 odcinków. Pisząc te słowa, mogłem zobaczyć 4 z nich, czego nie żałuję.

POPKULTURA

Może być *„Nowa Ziemia”* to film science fiction Tima Fehlbauma wyprodukowany w koprodukcji szwajcarsko-niemieckiej. Trudno go porównywać z większością produkcji, o których tu piszę. Kino europejskie jest ufundowane na zupełnie innych założeniach i dąży do zupełnie innych celów niż hollywoodzki mainstream. Warto więc czasami zdystansować się od amerykańskiego, jarmarcznego idiomu.

Film trafia w potężną dziś emocję zbiorową: podział na samolubne elity i uzyskujący ułomną świadomość tłum proli jest w świecie postpandemicznym coraz wyrazistszy. Jednak ten wątek nie wybrzmiewa w sposób satysfakcjonujący. No i najważniejsza wada: brakuje w „Nowej Ziemi” zajmującej fabuły. Konflikty napędzające akcję są zbyt wątłe, a punkty zwrotne nie mają wystarczająco przewrotnej mocy. Mimo tych słabości film Fehlbauma jest produkcją przyzwoitą. Mroczna, skandynawska atmosfera, szansa na przynajmniej kilka wzruszeń, no i atut główny: odtwórczyni głównej roli, Nora Arnezeder („Armia umarłych”). Spokojnie może ona grać w mainstreamowych hollywoodzkich produkcjach.

„Nowa Ziemia” stawia pytania o źródło moralności. Reżyser wyraźnie – świadomie czy nie – pokazuje słabość utylitarystycznych systemów etycznych. Nawet przetrwanie gatunku okazuje się wartością nieostateczną. Chrześcijanie wiedzą dlaczego.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl fb93a73578

Wojciech Stanisławski

Paryżanka z Normandii

Tegoroczna laureatka literackiej nagrody Nobla Annie Ernaux wkracza na teren historyków, bada sposoby zapamiętywania przeszłości – i wędruje przez nią jak na szczudłach, z dystansem i chłodem

Niewiele jest okazji do czytania jej po polsku: wydane przez PIW w 1989 r. „Miejsce" przeszło niemal niezauważone. Uważane za najlepsze w jej dorobku i rzeczywiście porywające jak wodospad „Lata" z 2008 r. ukazały się dopiero w br., w tłumaczeniu Krzysztofa Jarosza i Magdaleny Budzińskiej, nakładem wydawnictwa Czarne. Jest potencjał na dzieła zebrane (Ernaux ma w dorobku tuzin tytułów): czy wszystkie znajdą czytelników?

BIAŁE PISANIE

W swoim pisarstwie dokonywała zwrotów. Po opublikowaniu pierwszych trzech powieści, u progu lat 80., zrezygnowała z budowania fabuły na rzecz eksploatowania własnej pamięci, pisania kroniki własnych doświadczeń lub przeżywanych epok. A mimo to rzuca się w oczy zasadnicza jednorodność jej sposobu pisania: chłodny, minimalistyczny, pełen dystansu, wręcz na granicy obrzydzenia. Wśród krytyków Zachodu od lat jest używany w odniesieniu do niej termin „écriture blanche" – białe pisanie. Ja, choć wiem, że to fałszywy obraz (Ernaux, prymuska, nienagannie ukończyła studia z literatury współczesnej, otrzymała certyfikat nauczycielski i liczne „agrégations" na kolejnych szczeblach kariery), z trudem myślę o niej inaczej niż jako o laborantce na wydziale farmacji, która z zaciętą, bladą twarzą zakrapla cyjanki z pipety i w białym fartuchu dokonuje kolejnej dyssekcji żaby.

Dla Ernaux żabą jest naturalnie społeczeństwo ze swoimi rytuałami, rygorami, a przede wszystkim – niewidocznymi, wpijającymi się w ciało dotkliwie jak mocna nitka barierami, podziałami, kastami i klasami. I trudno jej zarzucać, że skupia się na sprawach wydumanych: ostatecznie jedna trzecia prozy Zachodu ostatnich 200 lat karmi się opowieściami o dumie i uprzedzeniu, o kompleksach przybyszów z nizin i podpuchłych oczach pani prezesowej. Zabawne jednak, że to nie Anglia, w której powieściach przez dekady analizowano różnice między lower-middle a middle class, lecz ojczyzna hasła „égalité!" ma tak gigantyczny problem z klasowością i wykluczeniem.

Annie, córka Alphonse'a i Blanche (nawet te imiona są równie wymowne dla francuskiego ucha, co Janusz i Halina w polszczyźnie 2022 r.), drobnych

Fot. Bridgeman Images/East News, Shutterstock

eprasa.pl fb93a73578

sklepikarzy z przedmieść normandzkiego Yvetot, zmagała się z tym od dawna: „Przy jedzeniu nie używał innego noża poza swoim opinelem. Kroił chleb w kosteczki, kładł je obok talerza, po czym nakładał na nie ser, wędlinę i maczał w sosie" – pisze w „Miejscu", noweli o jej ojcu, która jest zarazem epitafium, biogramem i długim dreszczem wstrętu. Gdzie trzeba, pisarka demonstruje niechęć do rytuałów („Ostatnie namaszczenie. Najbardziej niemoralna rzecz na świecie, wtuliłam głowę w poduszkę"), nie dostrzegając zarazem, że jej dziewczyńska fascynacja prozą Simone de Beauvoir nie jest może aż tak oryginalna, jak wydawało się okularnicy z Yvetot.

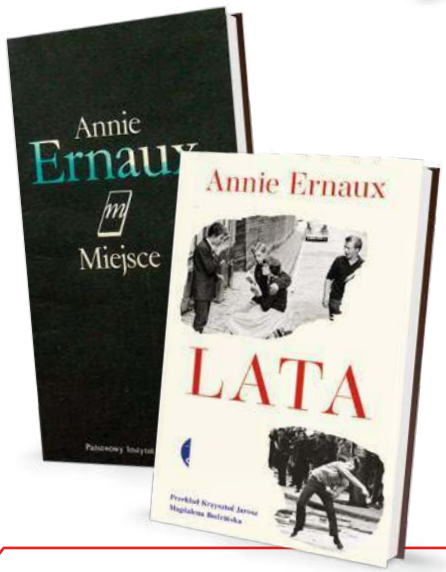

CAŁY SMUTEK NORMANDII

Ciekawe zresztą, że na zapisach Ernaux wzorowało się wielu francuskich raznoczyńców, w tym głośni w ostatnich latach Didier Eribon i Édouard Louis – a jednak to jej właśnie odrazę uhonorowano, odrazę, która towarzyszy jej stale, podobnie jak niepewność prowincjusza wobec modnych, pretensjonalnych powiedzonek spina „Miejsce" i „Lata". Jakie to sztampowe! „Na co człowiek się naraża / kiedy ojca ma masarza" – wzdychały już za Franciszka Józefa bohaterki „Słówek".

A zatem: kobieta wyemancypowana, dystansująca się od drobnomieszczańskich zasad i korzeni, w dodatku z bogatym dossier zaangażowań obywatelskich, zbyt przewidywalnym, by je tu przytaczać: wiadomo, „nie" dla USA, NATO i Izraela, „tak" dla #MeToo, ekologii i prezydenckiej kandydatury Jeana-Luca Mélenchona, wszystko jasne, ale Nobla dostała jednak za pisarstwo, a nie podpisy pod listami zbiorowymi francuskiej lewicy. Czy jest w tym pisarstwie coś prócz smutku wyalienowanej prowincjuszki?

Owszem, już sama umiejętność „białego pisania", trzymania gardy tak, żeby niczego nie napisać przypadkiem, nie dopuścić, by jakiekolwiek emocje przecisnęły się między wierszami, to nie jest mało: „O narratorce nie dowiemy się niczego, czego nie zechce nam powiedzieć" – podsumowała jej dokonania Sylwia Góra. To wręcz zaprzeczenie tego, czego prostoduszni czytelnicy spodziewaliby się po „kobiecej prozie", tym bardziej uderzające, gdy sięgniemy po wspomniane już „Lata".

> Kobieta wyemancypowana, dystansująca się od drobnomieszczańskich zasad i korzeni, w dodatku z bogatym dossier zaangażowań obywatelskich, ale Nobla dostała jednak za pisarstwo

WYSOKO TRZYMAĆ GARDĘ

„Lata" to, paradoksalnie, „biografia bezosobowa", pisany z perspektywy narratorki, która ukrywa swoją tożsamość i intymność, kolaż złożony z tysięcy wrażeń, melodii, strojów, mód, cytatów, urywków reklam – ech kilkudziesięciu powojennych lat, przywoływanych w rytm przeglądanych fotografii. Picorettes (drobne cukierki czekoladowe, wprowadzone przez Nestlé na rynek w początku lat 70.), a właściwie – urywek reklamy tych słodyczy, powracający w „Latach", to oczywiście nie to samo co magdalenka nieco wcześniejszego francuskiego prozaika, ale rytm, szczegółowość i świadome odrzucenie hierarchii obserwowanych zjawisk (a takie są wybory Ernaux) mogą budzić uznanie.

Jest w tym zarazem wyzwanie skutecznie rzucone dziejopisom: „Lata" nie są oczywiście historią powojennej Francji ani Europy Zachodniej, nazwiska wielkich polityków i pisarzy migają tylko na mgnienie w zacierze medialnej papki, w kożuchu codziennego small talku, de Gaulle jest w niej zrównany z reklamą papierosów, doświadczeniem miesiączki i przykładania surowego ziemniaka do oparzonego palca. I rzeczywiście tak właśnie wygląda pamięć, a historia, polityczna czy społeczna, to destylat sporządzony przez profesorów.

Tyle że mnie podobne kolaże obrazów i wspomnień bardziej cieszyły, kiedy powstawały po raz pierwszy. Pochłonąłem „Pamiętam, że" Georges'a Pereca, z radością czytałem „Pamiętam" Piotra Stankiewicza, tegorocznego laureata Nagrody im. Cypriana Kamila Norwida i zapomnianą niemal, a poruszającą poprzedniczkę tej książki, „Pamiętam jak..." Sylwestra Latkowskiego. Oczywiście „Lata", jak będą od jutra pisali dziennikarze, są wielkim freskiem socjohistorycznym, w dodatku pisanym z dyskretnej perspektywy feministycznej, a trzy powyższe warianty „Pamiętam" (cztery, jeśli dorzucić pierwszą prozę tego typu, „I Remember" Joe Brainarda) są żarliwym, tętniącym zgrozą i przerażeniem zapisem życia. I właśnie to mnie do nich przekonuje – są żywe, zdyszane i ciepłe.

A jeśli już Akademia uznała za stosowne nagrodzić prozę chłodną i cierpką, prozę mówiącą o alienacji i konflikcie wartości, francuską prozę mówiącą o przemianach nowoczesności – to trochę szkoda, że nie wybrała autora, który potrafi opisać je nie tylko z perspektywy zakłopotanej swoim pochodzeniem córki masarza czy sklepikarza. Cóż, Houellebecq był dla nich zbyt nieprzewidywalny.

eprasa.pl fb93a73578

Odrabiamy naszą pracę domową najlepiej, jak to możliwe

O nowej strategii największego polskiego banku, o oprocentowaniu kredytów i naszych kont bankowych, o ratowaniu klientów banków, którzy wpadli w kapitałowe turbulencje, i odpowiedzialności za bezpieczeństwo sektora bankowego z ***Pawłem Gruzą***, wiceprezesem zarządu PKO Banku Polskiego, kierującym pracami zarządu, rozmawiają Michał Karnowski i Maciej Wośko („Gazeta Bankowa")

Pierwszy kwartał dla nowego prezesa w instytucji finansowej jest kluczowy z punktu widzenia zarządzania firmą. To czas na najważniejsze zmiany i zasygnalizowanie strategicznych kierunków, w których nowy menedżer będzie prowadzić bank. Został pan prezesem największego polskiego banku w sierpniu – jakie kierunki wskazuje pan PKO BP?

Paweł Gruza: Zacznę od tego, że do czasu uzyskania zgody Komisji Nadzoru Finansowego pełnię funkcję wiceprezesa zarządu PKO Banku Polskiego, kierującego pracami zarządu. Stanowisko objąłem 10 sierpnia. Dwa miesiące, które minęły od tej chwili, to intensywny czas pracy nad wieloma wyzwaniami, które codziennie pojawiają się na rynku bankowym, w gospodarce i geopolityce. Mam jednak ten przywilej, że jesteśmy w trakcie budowania nowej strategii banku na lata 2023–2025, która będzie ogłoszona na przełomie listopada i grudnia br. To daje naturalną perspektywę zasygnalizowania działań na kolejne miesiące i lata, a także możliwość współpracy z zespołem menedżerskim w tworzeniu założeń strategii banku. Grudzień chcemy poświęcić na

eprasa.pl fb93a73578

opracowanie jej ostatecznych postulatów i 1 stycznia startujemy z bardzo konkretnymi decyzjami organizacyjnymi, by osiągnąć założone cele. Nowa strategia PKO Banku Polskiego musi bowiem trafnie odpowiadać na zmiany w otoczeniu, które zaszły w ostatnich miesiącach i latach. Jej filarami będzie przede wszystkim pogłębienie relacji z klientami i zapewnienie im najlepszego doświadczenia we wszystkich interakcjach z bankiem przez wzmocnienie kultury organizacyjnej, a także kreacja odpowiedzialnego ekosystemu gospodarczego i dalsza digitalizacja.

PKO BP jest najbardziej rozwiniętym technologicznie bankiem w Polsce, docenianym właściwie na całym świecie. Czy uda się utrzymać status technologicznego prymusa, wyznaczającego kierunki rozwoju w całym sektorze?

Oczywiście. Digitalizacja będzie jednym z głównych filarów nowej strategii. To dziś absolutny wymóg rynkowy. Nowoczesne technologie muszą być jednak prezentowane klientom w sposób prosty, intuicyjny i odpowiadać na ich aktualne potrzeby. I tak dzieje się w PKO BP. Najprostszy przykład – wybieram aplikację IKO w telefonie, mówię na głos, co bank ma zrobić, i po chwili mój syn dostaje 50 zł na swoje konto, do którego oczywiście ma dostęp także przez telefon. Już dziś z aplikacji mobilnej IKO aktywnie korzysta 7 mln klientów. Traktuje to jako 7 mln dowodów potwierdzających, że PKO Bank Polski jest liderem mobilnej bankowości i konsekwentnie rozwija się cyfrowo.

Pamiętam nasze rozmowy z czasów, gdy jako wiceminister finansów rysował pan szanse związane z cyfryzacją systemu fiskalnego... Dziś to działa?

Działa. To, co udało się w tamtych latach zrobić w dziedzinie elektronizacji procesów raportowania, kontroli zeznań, kontaktów z podatnikami, zaowocowało podczas kryzysu covidowego. Dzięki temu uniknęliśmy chociażby zwiększenia luki VAT-owskiej. Dzięki digitalizacji mogliśmy zachować bardzo dobre parametry ściągalności podatków.

Bezpieczeństwo cyfrowe staje się chyba najistotniejszym wyzwaniem dla instytucji działających w sieci. Wiele osób styka się na co dzień z próbami oszustw wykorzystujących np. podszywanie się pod pracowników banku czy funkcjonariuszy policji. Czy bank obserwuje nasilenie incydentów związanych z cyberbezpieczeństwem i próbami oszustw klientów?

Zapewnienie bezpieczeństwa klientom jest absolutnie najwyższym priorytetem PKO Banku Polskiego. Cyberprzestępcy wykorzystują jednak słabość technologii GSM, która pozwala im podszyć się pod dowolny numer telefonu – infolinii bankowej, a także policji czy prokuratury. Podczas takiego połączenia przychodzącego klient widzi na ekranie telefonu np. numer infolinii banku. Oszuści pozyskują dane klientów z nielegalnych baz i wycieków danych z internetu i próbują trafić na klienta banku, dlatego najczęściej podszywają się pod największe instytucje.

Istnieją pewne oczywiste sygnały, które pozwalają rozpoznać oszustwo. Przede wszystkim pracownik banku – bez względu na to, jak bardzo wiarygodna będzie przedstawiona przez niego historia – nigdy nie poprosi o zainstalowanie dodatkowego oprogramowania czy aplikacji, nie będzie prosił o podanie loginu i hasła do bankowości elektronicznej i nie poprosi o numer PESEL, serię i numer dowodu osobistego czy dane karty płatniczej.

Klient zawsze może sprawdzić, czy osoba, która telefonowała, była konsultantem z banku. Wystarczy zadzwonić na numer infolinii ze strony banku i zweryfikować przedstawioną historię. Dodatkowo, aby zapobiegać takim oszustom, w lutym br. wdrożyliśmy rozwiązanie, dzięki któremu klienci PKO Banku Polskiego, którzy mają aktywną aplikację mobilną IKO, mogą zweryfikować, czy kontaktuje się z nimi rzeczywisty pracownik banku.

Bezpieczeństwo całego systemu bankowego stało się kluczowym problemem od początku pandemii COVID-19. I takie pozostało po ataku Rosji na Ukrainę. Mam wrażenie, że Polacy nie poddali się chwilowym, na szczęście, przejawom paniki i ufają zarówno bankom, jak i instytucjom nadzorującym sektor. Czy polski system bankowy możemy uznać za bezpieczny?

Tak. Proszę zwrócić uwagę choćby na rozpoczętą właśnie przymusową restrukturyzację Getin Noble Banku i sprawność instytucji odpowiedzialnych za zagwarantowanie bezpieczeństwa depozytów. Nasze systemy awaryjne działają i są wspierane przez wiele instytucji, współuczestniczących w zagwarantowaniu stabilności i bezpieczeństwa klientów banku, który od wielu lat wykazywał pogarszającą się sytuację kapitałową.

Po raz pierwszy chyba mamy do czynienia na polskim rynku z udziałem największych banków w restrukturyzacji zagrożonej inwestycji. Pod parasolem Bankowego Funduszu Gwarancyjnego udało się stworzyć System Ochrony Banków Komercyjnych (SOBK), w którym jest osiem największych banków komercyjnych działających w Polsce: ING Bank Śląski, Alior Bank, Bank Millennium, PKO BP, Bank Pekao, BNP Paribas Bank Polska, mBank, Santander Bank Polska. Te instytucje będą właścicielami banku ratującego Getin.

Myślę, że to rozwiązanie optymalne, które jest dowodem na dojrzałość wszystkich banków uczestniczących w tym systemie. Resolution Getin Noble Banku było oczekiwane przez cały sektor bankowy. Sytuacja kapitałowa GNB była trudna od lat i znana publicznie. Jego niekontrolowany upadek stwarzałby ryzyko dla sektora bankowego, które byłoby trudne do zarządzenia. Banki przez System Ochrony Banków Komercyjnych wsparły finansowo proces resolution, ale zgodnie z prawem nie mają wpływu na jego przebieg – od strony decyzyjnej i operacyjnej procesem zarządza Bankowy Fundusz Gwarancyjny. Główną motywacją ośmiu największych banków, które powołały SOBK, była odpowiedzialność za bezpieczeństwo środków klientów oraz za stabilność całego systemu. Chcę także podkreślić, że klienci Getin Noble Banku nie mają powodów do niepokoju, z ich perspektywy nic się nie zmienia. Bezpieczeństwo ich środków gwarantuje BFG.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fb93a73578

Można to czytać jako swego rodzaju ostrzeżenie dla sektora? Jeśli bank będzie podejmował zbyt ryzykowne decyzje przy równoczesnym braku należytej reakcji właściciela na złą sytuacją kapitałową banku – można spodziewać się zdecydowanej reakcji KNF i BFG, a także pozostałych uczestników rynku?

Taka diagnoza jest moim zdaniem zbyt daleko idąca. Ten model restrukturyzacji w przypadku tego konkretnie banku jest jednak optymalny. Główną motywacją ośmiu największych banków, które powołały SOBK, była odpowiedzialność za bezpieczeństwo środków klientów oraz za stabilność całego systemu.

Pandemia była niespotykanym w historii crash testem dla systemu bankowego. Można powiedzieć, że wojna na Ukrainie stała się kolejną próbą zderzeniową dla banków?

Te oba wydarzenia niestety się na siebie nałożyły. Skutki pandemii COVID-19 są przecież cały czas obecne. Chociażby w postaci inflacji. Przypomnę, że zaczęła rosnąć jeszcze przed wybuchem wojny na Ukrainie. A obecnie wciąż zmagamy się z konsekwencjami zaburzeń w gospodarce wynikających m.in. z problemów logistycznych i przerwanych łańcuchów dostaw. Do tego dołączyły się kolejne elementy związane z kryzysem energetycznym, który ewidentnie jest wywołany potworną agresją Rosji na Ukrainę. Obecnie mamy sygnały związane z potencjalnym użyciem przez Rosję broni jądrowej. To dokłada coraz to nowych elementów i buduje niepewność, z którą zmagamy się zarówno w Polsce, jak i w całej Europie.

Jesteśmy w pasie państw frontowych. To raczej nie stabilizuje naszej sytuacji w oczach inwestorów...

Potwierdzam. Spotykam się z przedstawicielami międzynarodowych instytucji finansowych i rozmawiamy choćby o rozliczaniu Polski z różnego rodzaju reform, procesów, decyzji, przykładając matrycę jak dla większości państw Europy. I muszę za każdym razem przypominać, że nasza sytuacja jest szczególna. Jesteśmy krajem przyfrontowym, przyjęliśmy największą liczbę uchodźców. Mamy swoje zobowiązania moralne wobec pomocy Ukrainie. Nie możemy być oceniani w takim sam sposób jak choćby Portugalia. Musimy w związku z tym być traktowani szczególnie – ale tej wrażliwości nie widać.

A przecież PKO BP zaangażował się mocno w pomoc Ukraińcom...

Byliśmy pionierem na wielu różnych poziomach. Od pierwszych chwil agresji Rosji na Ukrainę bank włączył się w działania pomocowe, udzielając wielowymiarowego wsparcia uchodźcom. Bank zaoferował obywatelom Ukrainy pakiet udogodnień biznesowych, m.in. uprościł proces zakładania konta bankowego. Obywatele Ukrainy mogli liczyć również na szybkie i bezpłatne wydanie tymczasowej karty do konta, a także brak opłaty m.in. za prowadzenie rachunku i zlecenia przelewów zagranicznych do banków na Ukrainie. PKO Bank Polski jako jedyny w Polsce umożliwił wymianę hrywny na złote po kursie ustalonym przez Narodowy Bank Ukrainy. Dodatkowo PKO Bank Polski wraz ze swoją fundacją jako pierwszy w Polsce uruchomił powszechną zbiórkę pieniędzy na rzecz uchodźców wojennych. Do 30 czerwca na konto fundacji banku trafiło ponad 11,9 mln zł, z czego ponad 7,4 mln zł przekazano już organizacjom pomagającym uchodźcom oraz bezpośrednio potrzebującym na Ukrainie.

To kolejny test, który przechodzi nie tylko system bankowy, ale i całe państwo polskie. Jeszcze kilka lat temu nie wyobrażaliśmy sobie, że moglibyśmy udźwignąć takie wyzwanie.

Cały proces przyjmowania uchodźców, włącznie z zaangażowaniem instytucji państwa i integracją obywateli Ukrainy na polskim rynku pracy przy wsparciu ZUS, jest wydarzeniem wyjątkowym w światowej skali. Czy nam, po tym wszystkim, czego dokonaliśmy, co wspólnie z Ukraińcami przeszliśmy i przechodzimy, wystarczy energii na autoreklamę poza krajem? Tego nie wiem. Może to rodzaj pewnej cnoty skromności Polaków, choć w dzisiejszych czasach brzmi to naiwnie. To jasne, że instytucje międzynarodowe i europejskie dostrzegają, co nam się udało, ale mówię o tym wciąż koniecznym, niezbędnym i skutecznym informowaniu naszych partnerów, że zdaliśmy wyjątkowo trudny test, że nam się udało. To wielki wysiłek, o którym wciąż musimy przypominać.

Uda nam się zbudować w Polsce swego rodzaju hub pomocowy dla Ukrainy podnoszącej się gospodarczo po wojnie?

Jest wiele rzeczy, które jako Polska, ale też w szczególności my jako PKO Bank Polski, mamy na liście rzeczy do wykonania. Mamy nadzieję, że sytuacja za wschodnią granicą jak najszybciej się ustabilizuje i będziemy mogli pomagać w prawidłowej, efektywnej alokacji strumieni finansowych płynących na Ukrainę, by odbudować infrastruktury tego kraju. W tych wszystkich obszarach zarówno PKO BP, jak i nasz bank na Ukrainie – Kredobank, będzie służył wiedzą, doświadczeniem i pomocą. Chcemy i będziemy też pomagać polskim przedsiębiorstwom, naszym klientom, z którymi mamy dobre, wieloletnie relacje w podejmowaniu decyzji o uczestnictwie w dziele odbudowy Ukrainy.

Te ukraińskie elementy pojawią się w nowej strategii PKO BP?

Tak, choć to specjalny i unikatowy zestaw wyzwań, a strategia jest dokumentem znacznie szerszym. Cieszę się, że jest przygotowywana oddolnie – to nie jest prezentacja sformułowana przez zarząd z doradcami i rozesłana jako załącznik w mejlu do naszych menedżerów i pracowników. Miałem okazję uczestniczyć w warsztatach, podczas których kadra menedżerska banku sama oceniała realizację dotychczasowej strategii i dzięki takiej wyjątkowej atmosferze szczerości wspólnie ustalaliśmy, co w następnym horyzoncie czasowym poprawić. To daje realną szansę na „dowiezienie" tych założeń.

Wzrost cen – nie tylko w Polsce – wciąż jest takim kluczowym wyzwaniem dla gospodarki, także dla banków. Uda nam się pokonać rosnącą inflację?

Nie ukrywam, że ostatni odczyt (inflacja CPI we wrześniu 2022 r. według szybkiego szacunku Głównego Urzędu

eprasa.pl fb93a73578

Statystycznego wyniosła 17,2 proc.) jest pewnym zaskoczeniem. Podobnie jak w sierpniu do wzrostu inflacji przyczyniły się wszystkie główne komponenty poza paliwami. Nie pomaga nam oczywiście sytuacja na Ukrainie, kolejne groźby Rosji czy uszkodzenia gazociągów NS1 i NS2. Czynniki niepewności się zwiększają, a to skutecznie prowadzi do wyższej inflacji. Spekulowanie co do końca tych trendów jest niezwykle trudne. Tym bardziej cieszy, że PKO BP jest w dobrej kondycji kapitałowej i jest optymalnie przygotowany na te wyzwania. Odrabiamy pracę domową najlepiej, jak to możliwe.

Pojawiają się pomysły, by oprocentować środki na rachunkach oszczędnościowo-rozliczeniowych. Czy bank dostrzega, że trzeba dostosować także depozyty do wzrastającej inflacji?

Dokonaliśmy w ostatnich tygodniach korekty polityki depozytowo-kredytowej i oferta banku jest teraz bardzo atrakcyjna. Nasze lokaty są dostępne we wszystkich możliwych kanałach: od aplikacji mobilnej, przez stronę internetową, aż po oddział. Mamy lokaty dla osób 60+, a także produkty o bardziej złożonej naturze z oprocentowaniem na poziomie 9 proc. w skali roku w ostatnim okresie oszczędzania. Do tego dochodzą atrakcyjne produkty dla firm z oprocentowaniem do 7 proc. Nasza oferta jest atrakcyjna i pozbawiona „gwiazdek", których nie unika nasza konkurencja.

A stałe oprocentowanie długoterminowych kredytów mieszkaniowych? Pojawił się projekt, by ostatecznie rozprawić się z WIBOR i doprowadzić do sprawiedliwej i jasnej sytuacji, gdy kredytobiorca wie od początku do końca, jakie raty będzie płacił. To ryzyko dla banków? W kontekście wyroków w sprawach frankowych – gdy sądy orzekają, iż ryzyko powinno być sprawiedliwie rozłożone między bank a kredytobiorcę, ryzyko związane z wysokością stóp procentowych może mieć znaczenie?

Oczywiście państwo, a szczególnie Ministerstwo Finansów i regulatorzy rynku finansowego, ma przeróżne instrumenty oddziaływania na rynek. Najbardziej widocznym elementem jest opodatkowanie oprocentowania na lokatach. Ale mamy też wiele innych przestrzeni, w których korekty mogłyby być bardzo korzystne dla polskiej gospodarki i obywateli. Mówiąc o zapaści na rynku kredytów hipotecznych, warto wspomnieć, że istnieją instrumenty oddziałujące zarówno na koszt kredytu, jak i wartość przyznawanych środków. Te wszystkie zmienne są po stronie państwa. Stałe oprocentowanie jest jedną z opcji. Ma swoje wady i zalety. Oczywistą zaletą jest przewidywalność rat, jednak jeśli odwróci się trajektoria stóp procentowych, może to doprowadzić do odczucia, że kredyt ze stałym oprocentowaniem jest mniej korzystny. Dyskusję trzeba otworzyć, bo jeśli uszczerbek na rynku kredytowym doprowadzi do ograniczenia potencjału budowy nowych mieszkań przez dezinwestycje – to będzie miało swoje konsekwencje w długim horyzoncie z dużą szkodą dla obywateli.

Czy zbliża się koniec podwyżek stóp procentowych?

Jest coraz więcej takich sygnałów. Rada Polityki Pieniężnej nieraz już zaskoczyła rynek. Dlatego tak ważna jest rola systemu bankowego, by w tych trudniejszych czasach stanął na wysokości zadania i wspierał przedsiębiorców i obywateli w ich potrzebach. Żeby to umożliwić, banki same muszą dysponować dobrą sytuacją kapitałową. PKO Bank Polski taką poduszkę bezpieczeństwa posiada.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fb93a73578

Fot. Rafał Oleksiewicz/Reporter

Wspomnienie o prof. Janie Szyszko

W październiku przypada kolejna, trzecia już rocznica śmierci Jana Szyszko – ministra środowiska, nauczyciela akademickiego, polityka. Profesor, określany jako nieustępliwy strażnik polskich lasów i rodzimej przyrody, ma na swoim koncie wiele zasług. Przypominamy najważniejsze z nich

Prof. Jan Szyszko był wybitnym uczonym, który całe swoje zawodowe życie poświęcił tematom związanym ze środowiskiem przyrodniczym. Był autorem ponad 100 publikacji naukowych o użytkowaniu zasobów przyrodniczych i ekologii. Jako minister środowiska m.in. objął ochroną wilka na terenie całego kraju i patronował wprowadzeniu ochrony ponadstuletnich drzew w nadleśnictwach w Puszczy Białowieskiej.

Ministerstwo Środowiska za urzędowania Jana Szyszko przygotowało ustawę, która przyznała Lasom Państwowym możliwość pierwokupu prywatnych gruntów leśnych. Miała ona na celu przeciwdziałanie wykupowi ziemi leśnej przez cudzoziemców i przyczynić się do powiększania areałów leśnych.

Minister Szyszko zwracał też uwagę na politykę klimatyczną. Był inicjatorem i promotorem ważnych badań na temat bilansu i wymiany węgla w drzewostanach, które przez wiele dekad prowadził w okolicach Tuczna.

PRZEŚLADOWANY ZA NIEUGIĘTY CHARAKTER

Choć profesor ma znaczący wkład na rzecz ochrony polskiej przyrody, jego działania nie zawsze spotykały się ze zrozumieniem. Podczas urzędowania ministra Szyszko frontalny atak wywołały przepisy, które urealniały gospodarowanie drzewami na prywatnych posesjach. Na ich mocy właściciele nieruchomości mogli sami zdecydować o ścięciu własnego drzewa na swojej działce, jeśli nie było to związane z działalnością gospodarczą.

Jan Szyszko zmarł nagle 9 października 2019 r. Tydzień później został pochowany na cmentarzu parafialnym w Wesołej. W uroczystościach pogrzebowych uczestniczyło kilka tysięcy osób, w tym leśnicy i myśliwi z całej Polski. Jan Szyszko został odznaczony pośmiertnie Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

LEŚNICY NIE ZAPOMINAJĄ

Choć Jan Szyszko odszedł niespełna trzy lata temu, to już przez ten krótki czas uczyniono wiele, by pamięć o zasługach profesora przetrwała wśród przyszłych pokoleń. Uroczysko pamięci zmarłego profesora znajduje się na terenie Ośrodka Hodowli Zwierzyny „Brok" w Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie. W siedzibie Dyrekcji Generalnej Lasów Państwowych znajduje się tablica pamiątkowa, a głównej sali konferencyjnej nadano imię profesora. Z kolei w połowie 2022 r. w Jarocinie stanął dwumetrowy pomnik Jana Szyszko.

Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych, zauważa: – Śp. Jan Szyszko miał odwagę bronić polskiej przyrody, pięknego depozytu polskich lasów, który otrzymaliśmy od poprzednich pokoleń. Wierzył w leśników, myśliwych i nie bał się mówić o gospodarce leśnej. Był uznanym światowym autorytetem.

Prof. Jan Szyszko

- Był leśnikiem i myśliwym, ministrem środowiska w pięciu rządach: Jerzego Buzka (1997–1999), Kazimierza Marcinkiewicza i Jarosława Kaczyńskiego (2005–2007), Beaty Szydło (2015–2018) i Mateusza Morawieckiego (do stycznia 2018 r.). Był pełnomocnikiem rządu ds. konwencji klimatycznej i prezydentem V konferencji stron konwencji klimatycznej ONZ oraz posłem na Sejm V, VI, VII i VIII kadencji.
- Jan Szyszko był również nauczycielem akademickim, profesorem nauk leśnych. W 1966 r. ukończył studia na Wydziale Leśnym Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. W 2001 r. otrzymał tytuł naukowy profesora. Był pracownikiem naukowo-dydaktycznym SGGW i kierownikiem Katedry Architektury Krajobrazu na Wydziale Ogrodnictwa i Architektury Krajobrazu, a także współtwórcą i kierownikiem Pracowni Oceny i Wyceny Zasobów Przyrodniczych. Zasiadał w Komitecie Ekologii Polskiej Akademii Nauk. Był też jednym z założycieli Stowarzyszenia na rzecz Zrównoważonego Rozwoju Polski.
- Prof. Szyszko uzyskał tytuł *doctora honoris causa* Uniwersytetu w Lüneburgu za badania nad biegaczowatymi, a w 2008 r. otrzymał Nagrodę im. Ettore Majorany, przyznawaną m.in. przez Papieską Akademię Nauk.
- Zmarł nagle w wieku 75 lat.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 10/1022/F

eprasa.pl fb93a73578

Fot. Paweł Fabijański

Nowy regulamin stabilizuje ceny

Rzekoma dramatyczna sytuacja polskiego przemysłu drzewnego, o której alarmuje branża w swojej kampanii reklamowej, to w rzeczywistości skokowy wzrost sprzedaży z 28 do 39 mld zł i najwyższa w historii rentowność

Krociowe zyski przedsiębiorców drzewnych i światowy popyt doprowadziły do patologii na polskim rynku i dużego wzrostu eksportu drewna, bo bardziej opłaca się firmom sprzedać za granicę drewno tanio kupione od Lasów Państwowych, niż produkować z niego w Polsce. I to jest rzeczywista przyczyna protestu firm drzewnych po ogłoszeniu zmian zasad sprzedaży tego surowca.

Wbrew temu, co głoszą w publikowanym w mediach liście stowarzyszenia firm drzewnych, drewno w Polsce nie jest najdroższe w Europie. Wystarczy prześledzić przykładowe ceny – 1 m^3 tarcicy kosztuje w Polsce średnio 1,5 tys. zł, w Szwecji to 346 dol., czyli o prawie 200 zł drożej. Podobnie tańsze w Polsce są: sosna wielkowymiarowa – u nas średnio 390 zł, w Niemczech 85 euro, oraz świerk – w kraju 406 zł, w Austrii 105 euro. A to tylko Europa – w Chinach, które cały czas mocno zwiększają import drewna, można łatwo sprzedać polski surowiec znacznie drożej.

Business is business, ale liczy się też interes państwa i dobro przyszłych pokoleń Polaków. Dlatego Lasy Państwowe nie są przedsiębiorstwem komercyjnym. Nie sprzedają drewna dla zysku ani go nie eksportują. To strażnik polskiego skarbu narodowego – polskich lasów. I dlatego od dziesięcioleci na polskim rynku co roku pojawia się tylko ściśle określona ilość drewna. Nie mają tu znaczenia wielkość popytu w danym roku czy nagły wzrost cen. Drewna na rynku jest tylko tyle, ile zaplanowano wiele lat temu. Lasy Państwowe pozyskują drewno nie dla zysku, ale wyłącznie zgodnie z długoletnimi planami, tworzonymi przez ministerialnych ekspertów i naukowców raz na 10 lat dla każdego nadleśnictwa w kraju. Rocznie pozyskuje się mniej drzew, niż ich co roku przyrasta, po to by lasów było co roku coraz więcej, a polska gospodarka miała stały i stabilny dostęp do surowca.

I właśnie dlatego aż 70 proc. pozyskiwanego drewna jest dostępne wyłącznie dla stałych nabywców, którzy kupują ten surowiec od kilkunastu lat w specjalnych, bezstronnych procedurach elektronicznych. To dla nich gwarancja dostaw drewna i niższe ceny, a to oznacza stabilne warunki prowadzenia firmy.

30 proc. drewna jest sprzedawane na otwartych aukcjach. Są organizowane z myślą o firmach z tradycjami, a także o tych, które dopiero powstały. To powinność państwowej instytucji, by zapewnić surowiec dla wolnego rynku. Na takich aukcjach cena sprzedaży to wynik licytacji samych firm drzewnych. Kiedyś obowiązywały ceny maksymalne, ale po interwencjach Najwyższej Izby Kontroli i Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów Lasy Państwowe musiały zlikwidować te ograniczenie.

Ceny na aukcjach są windowane, bo drewno w Polsce wciąż jest najtańsze i nadal można je sprzedawać za granicę z dużym zyskiem, a na taki surowiec na świecie jest niespotykanie duży popyt. A zysk jest tak atrakcyjny, że eksportem drewna zajęły się nawet firmy będące stałymi nabywcami od Lasów Państwowych.

To patologia, którą Lasy Państwowe chcą teraz ograniczyć. Dlatego wprowadzają zmiany zasad sprzedaży drewna. W przyszłym roku cena minimalna będzie obowiązywała zarówno w procedurach dla stałych klientów, jak i na aukcjach otwartych. Wyrównanie cen wyjściowych w obu kanałach dystrybucji i dostosowanie ich do cen rynkowych doprowadzi do wyrównania cen ostatecznych i na zakupy będzie stać więcej firm. Ograniczy to możliwość spekulacji.

Ponadto zostaje wprowadzony mechanizm chroniący rodzimy rynek – uczciwe firmy, które zadeklarują, że zakupione drewno będą przerabiać w kraju w ściśle określonym, daleko zaawansowanym stopniu, otrzymają lepszą ofertę. Co więcej, deklaracje te będą publikowane i każdy będzie mógł sprawdzić, czy firma dotrzymuje umowy.

Lasy Państwowe od lat prowadzą zrównoważoną i odpowiedzialną gospodarkę leśną, odporną na naciski branżowych lobbystów. To dzięki pracy pokoleń leśników, ich doświadczeniu i profesjonalizmowi lasów w Polsce co roku przybywa i są w coraz lepszej kondycji. Stanowią już jedną trzecią powierzchni Polski, a będzie ich jeszcze więcej.

Lasy Państwowe

eprasa.pl fb93a73578

MIŁKA RAULIN*

Ulepiona z pasji

Kiedy spotkałyśmy się pierwszy raz, cztery lata temu, świętowała zdobycie Korony Ziemi. Mount Everest był ostatnim z dziewięciu najwyższych szczytów, na które postanowiła się wspiąć. Na dachu świata stanęła, domykając podróż rozpoczętą w 2011 r. Wtedy to, mając na koncie Mont Blanc, postanowiła dołączyć do niego pozostałe najwyższe wierzchołki kontynentów. Tak powstał projekt „Siła marzeń – Korona Ziemi".

Osiągnąwszy cel, mówiła: – Od kiedy pamiętam, doskonalę umiejętność realizowania marzeń. Można powiedzieć, że wyspecjalizowałam się w tej dziedzinie.

– Jeśli byłby taki zawód jak realizator marzeń, to ja w nim pracuję. „Pracuję" jest ważnym słowem: podkreśla własny wkład, determinację, planowanie, skuteczność..., ale bez marzeń nie weszłabym, dosłownie, na szczyty – opowiadała przy okazji ukazania się debiutanckiego tomu „Siła marzeń, czyli jak zdobyłam Koronę Ziemi". Dwa lata później, w 2020 r., wydała kolejną książkę – „Siła marzeń, czyli jak zdobyłam Everest". – Na własnym przykładzie chcę pokazywać, że nawet najodważniejsze marzenia można zrealizować, a naszą misją jest ułożyć plan – plan działania! – podkreślała przy okazji premiery.

Poproszona o przedstawienie się, wymieniała: – Z urodzenia jestem gdynianką, z pochodzenia Kaszubką, z zawodu i wykształcenia – magistrem inżynierem trakcji elektrycznej, czyli kolejarzem. Najważniejszą moją funkcją w życiu jest bycie mamą Jeremiego [dziś 16-latka – przyp. red.].

Kiedy spotkałyśmy się podczas tegorocznej jesiennej ramówki TVP, pytana o szlaki, którymi dziś podąża, stwierdziła: – Trochę mi się zmieniły kierunki świata. Gór nie przestałam kochać, ale w maju br. jako trzecia Polka w historii zakończyłam trawers Grenlandii – 600 km na nartach, po śniegu, lodzie, w temperaturach poniżej -30 st. C. Ekstremalna wyprawa.

Fascynujące okazało się także odkrywanie szlaków, którymi podążają inni wędrowcy. Miłka Raulin pokazuje je w autorskim cyklu „Ulepieni z pasji", realizowanym dla TVP Kobieta.

– Rozmawiam z ludźmi, którzy mnie napędzają, inspirują, których podziwiam i od których chcę się uczyć. Trochę z wewnętrznego egoizmu powstał ten cykl – konkluduje. – Żeby się nakręcać, napędzać, dzięki spotkaniom z tak ciekawymi ludźmi jak m.in. Czesław Lang, Jasiu Mela (zdobywca obu biegunów) czy dr Andrzej Kruszewicz, dyrektor warszawskiego zoo, twórca ptasiego azylu i pięknych opowieści o zwierzętach, którymi się opiekuje.

Wśród gości programu znaleźli się też m.in. Katarzyna Stoparczyk (zdradzająca, na czym polega dziecięca radość i namawiająca do jej pielęgnowania), Stanisław Berbeka, syn himalaisty Macieja Berbeki, czy Aleksandra Trzaskowska, która dotarła motocyklem na krańce świata, udowadniając, że jest to pasja nie tylko dla facetów. – To wspaniała przygoda popodróżować z nią choćby w rozmowie – zapewnia Raulin.

Ludzi pasji, podróży i przygód od czterech edycji przedstawia też zainicjowany przez Miłkę, a odbywający się na warszawskim Ursynowie Festiwal Siły Marzeń. Swoją internetową stronę – milkaraulin.pl – opatrzyła motywującymi hasłami: „Świat jest piękny i hojny. I przyniesie ci wszystko, czego potrzebujesz" albo „Konsekwencja jest matką sukcesu".

Podkreśla: – Większość swoich wypraw organizowałam na własną rękę (wyjątek stanowią wyprawy na Everest, Masyw Vinsona oraz Piramidę Carstensza). Samodzielnie wybierałam się też w niejedną daleką podróż. To były najciekawsze i najbardziej fascynujące wędrówki w moim życiu.

Jolanta Gajda-Zadworna

**Himalaistka, podróżniczka, gospodyni programu w TVP Kobieta*

Fot. Ewa Kalnowska

eprasa.pl fb93a73578

SŁODKO-SŁONY

W mleku

ANNA MONICKA

Kiedy ostatnio wpadłam do przyjaciół na wieś, byłam solidnie przeziębiona. Jestem szczęściarą, bo rzadko choruję (nawet przez COVID-19 przeszłam w miarę dobrze), a tu nagle rozłożyły mnie jakieś jesienne wirusy. Czas zamknięcia zrobił swoje i straciłam mozolnie budowaną latami odporność. Znajoma – rolniczka z dziada pradziada – posłuchała, jak rzężę, i przyniosła mi pęk szałwii. – Zaparz ją w porządnym, tłustym mleku – poradziła. – Wypij, ile dasz radę. Im więcej, tym lepiej. Jutro będziesz jak nowa. Gdy byliśmy dziećmi, babcia nas zawsze tak kurowała i nigdy nie przesiadywaliśmy w kolejkach w przychodni. Możesz też spróbować tymianku albo majeranku. Zrób z nich albo herbatki, albo zaparz w mleku. Sama zobaczysz, jak to działa.

Rzeczywiście, następnego dnia czułam się lepiej.

Przypomniałam sobie, że i moja babcia też próbowała mnie leczyć mlekiem, ale dodawała do niego zmiażdżony ząbek czosnku. Nie byłam fanką tej metody – miałam z siedem czy osiem lat, czosnek mi śmierdział, a na widok kożucha na mleku robiło mi się niedobrze. Podobnie reagowałam na kawałki razowca z czosnkiem. Protestowałam i kłóciłam się, wreszcie po dzikim boju zjadałam i wypijałam, co mi kazała, i... nie chorowałam.

Dlaczego parzenie w mleku działa lepiej niż w wodzie? Otóż tłuszcz wyciąga z roślin cenne olejki, które lepiej i mocniej działają. Niektórzy dodają do specyfiku łyżeczką masła, które zawiera kwas linolowy, jeszcze dodatkowo wzmacniający działanie przeciwzapalne.

Gdy napój ciut podstygnie, można go posłodzić miodem – łagodzi ból gardła, wzmacnia osłabiony walką z przeziębieniem organizm i działa przeciwbakteryjnie.

Kiedy ostatnio testowałam na sobie, który napar najbardziej mi pasuje, wygrało zdecydowanie nienawidzone w dzieciństwie mleko z czosnkiem. Szałwię, tymianek i majeranek bardzo lubię, zalane wrzątkiem – mogę je popijać od rana do wieczora zamiast herbaty. Ale czosnek jest najskuteczniejszy. Co ciekawe, moja dentystka stwierdziła, że gdyby wszyscy zastąpili kawę i herbatę takimi naparami, nie musiałaby im wiercić w zębach, bo nie daliby szans bakteriom.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Gdy łowca schodzi z kanapy

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Zależność między kotami a ptakami jest prosta. Tam, gdzie wypuszcza się koty, nie ma ptaków, a jeżeli ptaki jeszcze są, to prędzej czy później zginą.

Każdego roku koty domowe zabijają w samej tylko Polsce – według ostrożnych szacunków – setki tysięcy dzikich ptaków. U niektórych gatunków, takich jak np. kopciuszek, gnieżdżących się blisko ludzi, czyli w miejscach najczęściej penetrowanych przez koty, większość piskląt lub podlotów ginie chwytana przez koty. Niekiedy jest zabijany cały lęg. O 80 proc. takich przypadków nikt nawet się nie dowiaduje i nie zauważa – ptaki giną po cichu.

Koty więc – cóż, trudno – powinny wychodzić pod baczną kontrolą właściciela. Oczywiście w gospodarstwach rolnych, gdzie koty zwalczają gryzonie, to inny przypadek (choć i tam nigdy nie odpuszczą sobie polowania na ptaki). Jednak zdecydowana większość kotów jest hodowana dla przyjemności człowieka. Z kolei by zapewnić przyjemność kotu, część właścicieli wypuszcza go samopas na łowiecki spacer.

Co można na to poradzić? Jeżeli chce się mieć kota, byłoby idealnie, gdyby był to kanapowiec najbardziej lubiący spędzać czas w mieszkaniu.

Jeżeli kot potrzebuje spacerów, najlepiej odbywać je wspólnie. Oczywiście kot nie jest stworzony do wspólnych spacerów. Alternatywą jednak jest wypuszczanie do ekosystemu bardzo sprawnego drapieżnika, mającego zaplecze w ciepłym domu, opiekę weterynaryjną, wyżywienie, wsparcie człowieka itp. To trochę za duże fory w stosunku do ptaków, które muszą z wszystkim radzić sobie same, nieraz są wyczerpane po mroźnej nocy, po wędrówce lub podczas karmienia młodych – a jednocześnie muszą uważać nie tylko na dzikie drapieżniki, które polują na nie z racji prawa naturalnego, bo same muszą się wyżywić, ale także na koty. Zwierzęta, które wśród wygód oferowanych im przez ludzi, wcale nie straciły ani instynktu, ani sprawności łowieckiej.

Jeżeli kot jest wypuszczany sam, to – kompromisowo – zaleca się zaopatrzenie go w dzwoneczek, ograniczenie wyjść w sezonie lęgowym i niewypuszczanie późniejszą wiosną i z początkiem lata, w okresie, kiedy młode ptaki opuszczają gniazda, a także niewypuszczanie wczesnym rankiem i o zmroku. Jest to jednak kompromis kosztem ptaków.

eprasa.pl fb93a73578

W ŚWIECIE LUSTER

HANNA KARP

Koniec stanu wojennego...

Planowałam inaczej. Już miałam na dziś gotowy tekst o aniołach. Ale zdarzyło się coś, co spowodowało zmianę planów. Jest inny tekst i inna historia...

Choć może nie tak do końca, bo mowa będzie tu w jakiś sposób o jednym z aniołów, co powiedzieli „Non serviam"... Opowiada ją moja publikacja pochodząca z 1990 r., drukowana na łamach miesięcznika społeczno-kulturalnego „Jaćwież". To tekst o „Alfabecie Urbana", który wówczas ukazał się na czytelniczym rynku.

HISTORIA Z URBANEM W TLE

Gdyby książki mogły cuchnąć, tej nie dałoby się trzymać w domu. Ale oto przynajmniej 100 ze 176 osób, które znalazły się w „Alfabecie Urbana", ma szansę zyskać miłość i powszechny szacunek swoich rodaków. O dziwo, jak powiada Urban (opisując Aleksandra Wieczorkowskiego), „publiczność wymaga, aby kopać się wytwornie. Miłość jej zdobywa się nie słusznością racji lub głębią myśli. Uczucia eksplodują do każdego, kto jest ofiarą chamstwa". Sporo jest tych ofiar na 200 stronach książki.

To pomysł powielenia wcześniejszego „Abecadła Kisiela", i to do tego stopnia, że jej autor zmałpował nawet okładkową fotografię Kisiela, pokazującego język czytelnikowi. I tu kończy się małpowanie Kisiela. Gdyż ten często pisał nawet o swoich wrogach „szalenie świeży umysł, osobliwa postać, szczery, zdolny" lub najwyżej „człowiek, który idealnie nie ma żadnego poglądu na nic" – to o sekretarzu KC PZPR Stefanie Olszowskim. Kisiel często przełamuje stereotypy. O postaciach mających dobrą prasę i klakierów ma odwagę wypowiedzieć się bardzo krytycznie, np. o Andrzeju Panufniku, który przecież niedawno, po kilkudziesięciu latach nieobecności, przyjechał do kraju, żeby wziąć udział w Warszawskiej Jesieni.

Cóż za smaki i aromaty rozsiewa „Abecadło Kisiela" podczas dalszej lektury... A Urban? Na okładce umieścił fotografię, na której składa przedramiona w taki sposób, że przedstawiają odwrócony krzyż z figą u szczytu. Z perwersyjnym zadowoleniem nurza ludzi we wszelkiego rodzaju nieczystościach i nie inaczej traktuje też swojego czytelnika. W dedykacji na wstępie przewrotnie zauważa: „Drodzy Czytelnicy! Życzę Wam, abyście nigdy nie stali się bohaterami moich książek".

Podczas lektury, już po pierwszych stronach, przypomniało mi się słownikowe hasło Nowego Testamentu: greckie „diabolos" („dia-ballo" – dzielić, oskarżać, oczerniać, mówić źle). Zgadnij, kotku, dlaczego? – zapytałby Kisiel. Bohaterowie Urbana, karnie opluci, musieli znieść wszystko.

Ale jest także bohater zbiorowy, pewne miasto – Suwałki. W trosce o kieszeń suwałczan przytoczę wyjątki dotyczące zdarzenia opisanego przez Urbana. Przy biogramie „Andrzej Wajda – senator" Urban napisał: „Wajda wygrał wybory w Suwałkach, dawnym mieście gubernialnym, gdzie jednak zainteresowanie sztuką filmową i znajomość jego osoby musiały być mierne. Na rok czy dwa przed wyborami 1989 r. byłem w Suwałkach, gdyż miałem tam proces sądowy. Pozwałem jednego księdza, nazwiska już nie pamiętam, przed sąd prywatnie o to, że mnie zniesławił, nazywając Goebbelsem. Normalnie nie reagowałem na takie różne komplementy, ale tu była okazja, żeby dać publiczną nauczkę boskiemu funkcjonariuszowi. Za to od strony lokalnego folkloru proces był interesujący. Księża ściągnęli czerń, głównie stare baby, które w charakterze demonstrantek za-

eprasa.pl fb93a73578

lały cały gmach sądu – straszną zresztą ruderę. Wierni zrobili też zbiegowisko na ulicy. Całe to towarzystwo wrzeszczało i śpiewało pobożne pieśni, zgoła nie wiedząc, o co w tym procesie chodzi [...]. Po procesie zawiadomiono mnie, że służba bezpieczeństwa prowadzi śledztwo, gdyż w ławach dla publiczności znaleziono duży, ostry nóż. Ktoś go tu przygotował i ukrył. Docieka się, czy prowokator jakiś miał skoczyć z tym nożem na księdza, żeby przerobić go z oszczercy na męczennika, czy też nóż miał być wbity we mnie przez jakiegoś katolickiego fanatyka. Rzecz się wyjaśniła. Nóż zostawiła i zapomniała o tym sprzątaczka, która nim skrobała odwieczny brud z ławy sadowej, żebym siadając na nim nie pobrudził sobie ministerskich portek. W takich to Suwałkach, nie zaś w żadnym Krakowie, gdzie Wajda uchodzi za bóstwo, przyszło reżyserowi kandydować do Senatu. Przed wyborami Adam Michnik mówił, że się boi, iż w tych Suwałkach niczego nie zwojują. Ja zaś go pocieszałem, że co Kościół każe, to tamtejsza ludność czyni, więc wszystko jedno czy wystawiają tam Wajdę, czy dajmy na to Porębę".

Uzbroić się należy w cierpliwość, rynek tego rodzaju urbanaliami będzie już regularnie zalewany. Różne, niedawno „pokrzywdzone" dzieci partii, a dziś właściciele spółek nomenklaturowych, będą wylewać nam na głowy różne brudy. Będzie to zachwycać tych, którzy przez dziesięciolecia odcinali kupony od socjalizmu. Dziś dają zarobić Urbanom. A ten, jak sam powiedział, marzy o procesach za swój „Alfabet...".

Na razie jednak nikt nie chce włóczyć się w jego towarzystwie po salach sądowych. Ta cisza może przyprawić byłego rzecznika stanu wojennego o atak serca. Istnieje więc szansa, że wniesie on pozew przeciwko samemu sobie [„Jaćwież. Pismo społeczno-kulturalne" 2(14)/1990, cena 1000 zł].

POST SCRIPTUM 1

Przywołany szyderczo we wspominkach przez Jerzego Urbana ksiądz, którego nazwiska on nie pamiętał, to suwałczanin ks. Jan Umiński, który zmarł w czerwcu 1990 r. Jego trumna w niezwykłym kondukcie przebyła drogę od Sulejowa, Piotrkowa przez warszawski Żoliborz do Suwałk. Oto fragment utajnionego wówczas pozwu wniesionego w imieniu Urbana do Sądu Rejonowego w Suwałkach: „W dniu 6 kwietnia 1986 r. w Suwałkach podczas mszy św., odprawionej w kościele św. Aleksandra, w kazaniu wygłoszonym wobec tłumu wiernych – nawiązawszy do dokonanej przez Jerzego U. krytycznej oceny tych nielicznych spośród szerokiej rzeszy kapłanów, którzy na ambonach ustrój PRL utożsamiają z hitleryzmem, a zwolenników socjalizmu z hitlerowcami – porównał oskarżony Jerzego U. z Goebbelsem, ministrem propagandy III Rzeszy, hitlerowskim zbrodniarzem wojennym, tylko tym różniącym się – zdaniem J. Umińskiego – od oskarżyciela, że Goebbels bronił swego narodu, a nie jak Jerzy U. opluwa go, depcząc najświętsze narodowe prawa. Przy czym ten publicznie podniesiony nieprawdziwy zarzut, w tym odczuciu powszechnym również obelżywy, miał na celu poniżenie Jerzego U. w opinii publicznej i narażenie go na utratę zaufania potrzebnego do wykonywanej działalności (czyn z art. 178 par. 2 kk). Podpisano: M. Brycht".

Redakcja „Jaćwieży" dodaje, że ubecja usiłowała znaleźć świadków, którzy by potwierdzili, że słyszeli, co mówił ks. Umiński i zeznali to na piśmie. Szukano zwłaszcza wśród PZPR-owców obecnych na tej mszy.

POST SCRIPTUM 2

Życie dopisało na swój sposób dalszy ciąg powyższej historii. 3 października 2022 r. dowiedzieliśmy się, że w tym dniu rzecznik stanu wojennego Jerzy Urban, główny PRL-owski propagandysta, nie żyje. Odszedł w wieku 89 lat.

W tym samym dniu niżej podpisana otrzymała z rąk prezydenta RP Andrzeja Dudy powołanie w skład Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. A to oznacza, że rubrykę tę i to miejsce zajmie inny publicysta, inny autor.

Cieszę się, że od października 2019 r., a więc równo trzy lata, mogłam gościć na stronach „Sieci". Choć, jak zapowiedział redaktor „Sieci" Michał Karnowski, łamy pozostają otwarte, a to znaczy, że pewnie z tego zaproszenia, choćby od czasu do czasu, skorzystam. Tym bardziej że zasiadając w KRRiT, obok pracy wykładowcy akademickiego – prawo na to pozwala – mogę prowadzić pracę twórczą. Mam nadzieję też, że praca urzędnicza nie zabierze duszy, tym bardziej nie odbierze głosu. Bo zdarza się to niestety i urzędnikom, i politykom niezależnie od politycznego obozu.

Prezydent Andrzej Duda powołał dr Hannę Karp do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji

Fot. Przemysław Keler/KPRP

Autorka jest religiologiem, medioznawcą, profesorem Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu

eprasa.pl fb93a73578

Poznajcie prawdę, a prawda was wyzwoli

Alina Czerniakowska

Wśród moich znajomych, ludzi różnych zawodów, często z poważnymi osiągnięciami, nie zauważam żadnego zainteresowania Donaldem Tuskiem. Mówią krótko – Tusk jest skończony, na niczym się nie zna, nic nie potrafi. Powinien odpowiadać za Smoleńsk, za korupcyjną wyprzedaż majątku narodowego, za wszystkie oszustwa. Za Amber Gold, za mnóstwo afer, w wyniku których państwo polskie straciło miliardy, za to wszystko, co ujawniono w nagraniach restauracyjnych, za „polskość to nienormalność", za działanie na szkodę interesów Polski w Unii, za zdradę i wszelkie zło wyrządzane Polsce. I dodają: „Przecież wystarczy popatrzeć, kto go wspiera, kto za nim stoi, i już wiadomo, o co chodzi". Inni konkludują krótko: „Dawno powinien siedzieć". Zostawiam jednak tego typu rozważania i robię swoje.

Październik i najważniejsza rocznica dla nas – wybór Polaka na Stolicę Piotrową. Metropolita krakowski, 58-letni kard. Karol Wojtyła, pierwszy od 455 lat papież spoza Włoch, najmłodszy z papieży od półtora wieku, został wybrany z kraju będącego pod władzą Kremla.

„Musicie być mocni, dzisiaj tej mocy bardziej wam potrzeba niż w jakiejkolwiek epoce dziejów, musicie być mocni mocą wiary nadziei i miłości, musicie iść drogą prawdy!" – wołał papież Polak na zakończenie pierwszej wizyty w ojczyźnie w 1979 r. Dzisiaj te słowa stają przed nami z jeszcze większą siłą, jak polecenie, wręcz żołnierski rozkaz.

Czy pamiętamy, co mówił do nas przez 27 lat pontyfikatu? Czy zapamiętaliśmy chociaż kilka zdań, kilka słów potrzebnych na każdy dzień – nasz polski dekalog. Wołał, prosił swoich rodaków, bo nas kochał, bo kochał Polskę miłością wielką i prawdziwą. Wystarczy poczytać wypowiedzi i relacje z całego świata publikowane w dniach, gdy umierał: „mocarz świata" – jak o nim pisano i mówiono we wszystkich mediach. Pokazywał drogę młodym, dawał przykład swoim życiem, jak być „silniejszym od warunków". „Tylko Jezus! Nie wolno wam stracić Go z oczu nawet na chwilę, żeby nie zmarnować życia" – mówił z wielkim trudem na ostatnich Światowych Dniach Młodzieży w Kanadzie nad jeziorem Ontario, nawiązując do ewangelicznego spotkania nad jeziorem Genezaret. Najważniejsze zdanie z Ewangelii – „Poznajcie prawdę, a prawda was wyzwoli" – przypominał całemu światu, a szczególnie mocno w swojej ojczyźnie, przez ponad pół wieku niszczonej przez zbrodnicze kłamstwo władzy rodzimej i obcej. Dzisiaj często przywołujemy hasło „Bóg, Honor, Ojczyzna", nie rozumiejąc, że „Honor to nieskazitelność, w każdym wymiarze życia człowieka". Dodawał: „Tak uczy Jezus Chrystus".

Kochał ludzi i wielki świat, ale pamiętamy, jak bardzo kochał swoje małe ojczyzny, małe skarby, wadowickie miejsca, ścieżki kalwaryjskie i krakowski „każdy kamień i cegły mu drogie". Bronił Westerplatte i krzyża spod Giewontu, wołał zdenerwowany z ojcowską troską w Kielcach w 1991 r.: „To jest moja matka ta ziemia, to jest moja ojczyzna! Nie może mnie to nie boleć! Was też powinno boleć!", a w Warszawie kończył swój dekalog dla Polski: „Jestem z wami teraz na początku trudnej drogi do wolności, byłem zawsze, ja kocham mój naród".

Pochylał się nad każdym życiem, zachwycał się cudem stworzenia, przyrodą. Ile tylko tchu w piersiach nauczał, jak pięknie żyć. Nie trzeba było szukać cudów, uzdrowień jako dowodów świętości. On był po prostu święty, najpiękniej i najbliżej ludzkich serc i umysłów. Właśnie dlatego na pl. św. Piotra w dniu pogrzebu tłum wołał „Santo subito!".

Przyjaciel i wielki miłośnik młodych, twórca tych jedynych w swoim rodzaju spotkań – Światowych Dni Młodzieży. „Drodzy młodzi, chrześcijaństwo nie jest opinią, nie polega na próżnych słowach. Chrześcijaństwo to Chrystus! Jemu zaufajcie bezgranicznie, Jego wielkiej, prawdziwej miłości, która objawiła się najmocniej na krzyżu. Gdy upadamy – podnosi, gdy błądzimy – prowadzi. Jezus – wszystko we wszystkim. Jego Kana Galilejska, Jego Kalwaria i Jego Zmartwychwstanie!". Trzeba zapamiętać te słowa i obraz upadającego pod krzyżem choroby wielkiego papieża Polaka, wołającego przejmująco do ostatniego tchu, by świat się opamiętał i poszedł za Jezusem. „Kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie".

Trudno wybrać, bo wszystkie słowa Jana Pawła II mają wielką moc i niesamowitą głębię, siłę prawdziwej miłości potrzebną światu dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek. „Drodzy młodzi, niech was nie zadawala nic, co jest poniżej najwyższych ideałów, nie zgadzajcie się na nijakie rozrywki, przelotne mody i propozycje, które was umniejszają. Niech nie będzie w waszym życiu miejsca na kłamstwo, egoizm, lenistwo. Nie możemy sobie pozwolić na nieład moralny, bo za to już gorzko w historii zapłaciliśmy. Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek potrzeba, abyście byli »stróżami poranka«, którzy obwieszczają światło świtu i nową wiosnę Ewangelii. Świat, który otrzymujecie w dziedzictwie, jest światem, który rozpaczliwie poszukuje sensu życia. Potrzebuje uzdrowienia poprzez dotyk pięknem, prawdą, bogactwem bożej miłości. Potrzebuje was, abyście byli solą dla ziemi i światłością dla świata!" (JP2, 1991 r., Częstochowa).

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl fb93a73578

Skręt kiszek

Piotr Cywiński

„Kultura konwersacji stała się kultem konwersacji" – nie wiem, czy publicysta Ernst Reinhardt cieszył się czy nad tym ubolewał, w każdym razie Niemcy konwersują. Np. w telewizji publicznej ARD, w „Talkshow Sandry Maischberger", zdystansowanej, bodaj najlepszej niemieckiej moderatorki. Znani za Odrą uczestnicy ostatniej konwersacji stanowili, rzekłbym, przekrój tamtejszej elity, która ma coś do powiedzenia. Tematem była Rosja i niekoronowany car Władimir Putin. A co powiedzieli?

Rzecznik opozycyjnej frakcji chadeków z CDU/CSU w Bundestagu ds. polityki zagranicznej Norbert Röttgen wypalił: „Należało już w marcu zastopować dostawy gazu i ropy z Rosji. Zamiast tego napełniliśmy kieszenie Putinowi. Gdybyśmy wtedy wprowadzili sankcje, nie bylibyśmy dziś sami sankcjonowani".

Na to urodzona w Niemczech córka egipskiego imigranta, przewodnicząca frakcji Lewicy Amira Mohamed Ali: „Odpowiedzialność za wzrost cen energii to dylemat natury moralnej, a nakładanie sankcji gospodarczych na Rosję to błąd". Podobnie z dostawami uzbrojenia dla Ukrainy, bo: „Jeszcze nigdy tak nie było, żeby broń przyspieszała pokój" i „należy jak najszybciej podjąć z Putinem negocjacje".

Na to Röttgen *ad vocem*: „Jestem za zaangażowaniem się NATO w wojnę", a Niemcy „wspierają napadniętą Ukrainę militarnie i powinniśmy robić wszystko, oprócz własnego (bezpośredniego) udziału w wojnie".

Na to szef tygodnika „Stern" Gregor Peter Schmitz: „W Berlinie istnieje pewna nieufność, czy aby Ukraina nie chce za dużo", że „mogłaby stać się ekspansywna, że może chcieć odzyskać wszystko i zadać Rosjanom tak druzgocącą klęskę, że i Berlin dostanie skrętu kiszek".

Na to kabarecista Urban Priol (ten, który po pierwszych doniesieniach z Polski i Rosji o smoleńskiej tragedii, naśladując wrzaski Hitlera, szydził w publicznej telewizji z prezydenta Lecha Kaczyńskiego: „Lądować! Rozkazuję! Natychmiast lądować!") nawiązał do węgierskiego premiera: Viktor Orbán to kolejny „gulasz-Putin" i kolejny problem.

Na to były minister spraw wewnętrznych z liberalnej partii FDP Gerhart Baum: największym problemem ludzkości są dziś zmiany klimatyczne i „to powinno być przedmiotem największej troski", a siły do pracy dodaje mu żona, która „dziś rano spytała mnie: nadal chcesz ulepszać świat?". Poza tym cieszy się na swoje nadchodzące urodziny: „Wynajęliśmy pub w Kolonii, będzie piwo, zaprosiliśmy naszych sąsiadów, fryzjera, księgarza, pastora...".

No to... miłej zabawy! Kurtyna!

Wyśpiewać „Nędzę uszczęśliwioną"

„Nędza uszczęśliwiona" Macieja Kamieńskiego z librettem Wojciecha Bogusławskiego, wystawiona w Warszawie w 1778 r. pod patronatem króla Stanisława Augusta, do niedawna szczyciła się tytułem „naypierwszey oryginalney polskiey opery". Do połowy XIX w. doczekała się ponoć 37 przedstawień

Adam Ciesielski

Pierwszeństwo wśród dzieł w języku ojczystym opera ta straciła dopiero co, już w XXI w., po wydaniu i premierze anonimowej komedii muzycznej „Heca albo polowanie na zająca: krotochwila myśliwska w jednym akcie", datowanej na przełom XVII i XVIII w. Nim oswoimy się z tym starszym, mało jeszcze rozpoznanym utworem, możemy delektować się koncertowym nagraniem „Nędzy uszczęśliwionej".

Jak zauważa prof. Alina Żórawska-Witkowska, libretto utworu w bardzo jeszcze nieśmiały sposób wprowadza krytykę stosunków społecznych w Rzeczypospolitej. Akcja toczy się w chłopskiej chacie, gdzie o rękę urodziwej Kasi, córki biednej wdowy, starają się wieśniak Antek i zamożny mieszczanin Jan. Materialne atuty tego ostatniego zdają się przeważać, ale zdesperowany Antek zwraca się o pomoc do dziedzica. No i ją od ręki dostaje. Hojnie obdarowany pieniędzmi, bydłem i zbożem wygrywa oczywiście, może się szykować do ślubu i pomyślnego życia z Kasią. W radosnym finale, sławiącym litościwego pana, uczestniczy nawet przegrany konkurent.

Naiwności libretta rekompensuje muzyka Kamieńskiego, żwawa, zróżnicowana, nawiązująca do dobrych wzorów włoskich. Jest więc pole do popisu dla Orkiestry Polskiego Radia w Warszawie pod batutą Michała Klauzy. Także dla solistów: Justyny Stępień i Justyny Reczeniedi (soprany), Sylwestra Smulczyńskiego (tenor), Roberta Gierlacha (bas-baryton), Wojciecha Gierlacha (bas). Słyszymy też charakterystyczny głos cenionego aktora Krzysztofa Wakulińskiego w roli kompozytora, z dumą przybliżającego okoliczności powstania opery.

„Nędza uszczęśliwiona"
Opera Macieja Kamieńskiego z librettem Wojciecha Bogusławskiego na podstawie kantaty Franciszka Bohomolca.
Wersja koncertowa: soliści i Orkiestra Polskiego Radia w Warszawie pod dyrekcją Michała Klauzy.
Wyd. Agencja Muzyczna Polskiego Radia

eprasa.pl fb93a73578

PRZEZ ŚWIETLIK

Jarmark węglowy

Wiktor Świetlik

Wygląda na to, że na naszych oczach dokonała się kolejna rewolucja poglądów polityków PO na rzecz postulatów PiS. Jeszcze nie tak dawno słyszeliśmy od nich, że wszelkie kompetencje państwo ma przekazywać samorządom i to one rozwiązują problemy. To już przeszłość.

Jacek Sasin – w przerwie wewnątrzrządowych awantur – zaapelował do samorządów, by pomogły w dystrybucji węgla. Wydawałoby się, że sprawa jest czytelna, jasna i oczywista. Jeśli ktoś wie, gdzie są niedobory, może obdzwonić szkoły, szpitale, ośrodki pomocy społecznej, to właśnie urzędy miast, gmin itd. Jak się okazuje, po tych słowach rozpętało się piekło.

Oburzył się Rafał Trzaskowski, tłumacząc, że to nie jego, lecz rządu sprawa, a na sugestię ministra edukacji, że samorządy powinny zajmować się tym, a nie „kradzieżą", prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak zaczął wygrażać, że urwie Przemysławowi Czarnkowi głowę. Dzisiejsza Polska w pigułce, ale jeden element jest tu ciekawy.

12 lat temu premier Donald Tusk, wizytując powodzian, namawiał ich, by zapamiętali, „kto tu co spieprzył". Bo walka z powodzią nie była w jego mniemaniu kompetencją rządu, lecz samorządu. Co by nie gadać, wpisywało się to w model wyznawany przez PO, gdzie właśnie niemal wszystko miało należeć do samorządu, a rząd miał się nadmiernie nie wtrącać. Szczególnie dotyczyło to wielkich miast, stworzono nawet model o koszmarnej nazwie „dyfuzyjno-polaryzacyjny", który zakładał stworzenie wielkich makroregionów i przekazanie im większości kompetencji rządu.

I co? Jak tam wasza dyfuzja i polaryzacja, panowie? Jeden prezydent ogłasza brak zainteresowania i sypie obelgami, drugi bawi się w posła Nitrasa, tylko bardziej. Nagle nie chcecie już modelu, bo dobry był po to, by odciążyć od odpowiedzialności i pracy premiera Tuska, ale teraz obciąży współodpowiedzialnością i pracą państwa Trzaskowskiego, Dulkiewicz, Sutryka, Zdanowską, Jaśkowiaka i innych?

A swoją drogą, w dość ponurym momencie się znaleźliśmy, jeśli tak długo gardłujący aktorzy naszej sceny politycznej nie mogą się dogadać nawet co do dystrybucji węgla, kiedy obok toczy się wojna.

Filmowców problem z tożsamością

Lech Makowiecki

Jako mieszkaniec Gdyni regularnie bywam na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych i (startującym tuż po nim) Międzynarodowym Festiwalu Filmowym „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci". I co roku odnoszę wrażenie, że w tych samych kinowych salach mijają się dwie różne Polski, o zupełnie innej wrażliwości i skrajnie odmiennym światopoglądzie.

Tzw. nowoczesna, „europejska" publiczność FPFF reaguje żywiołowo na płynące ze sceny dowcipy na temat obecnej władzy i tradycyjnie pojmowanego patriotyzmu. Tenże patriotyzm jest z kolei drogowskazem i świętością dla konserwatywnych (w większości) widzów NNW. Z jednej strony słychać rechot z „zaściankowej" polskości i widać preparowanie filmowej fabuły pod hollywoodzkie trendy (vide: „The Silent Twins"). Z drugiej – dominuje przekaz tożsamościowy i okrzyki „Cześć i chwała bohaterom!", wznoszone dla nielicznych żyjących świadków historii. Ale i na NNW zdarza się naginanie historii do koniunktury.

Po filmie „Orlęta. Grodno '39" spodziewaliśmy się pierwszej i wzruszającej opowieści o bohaterstwie polskiej młodzieży na Kresach, a otrzymaliśmy kolejną porcję historycznego kłamstwa. Nachalne epatowanie tak nośnym na Zachodzie „polskim antysemityzmem" stanowiło tylko preludium tego przekłamania. Kreowanie na siłę fikcyjnego Leosia Rotmana (nastoletniego Żyda) na głównego bohatera filmu marginalizuje prawdziwy heroizm polskiej młodzieży. Dlaczego promocji „Orląt" nie wsparto autentycznym nazwiskiem choćby jednego walczącego z Sowietami żydowskiego chłopca? Bo takowego nie było!

Nie możemy doczekać się godnego filmu fabularnego o Zofii Kossak-Szczuckiej, założycielce Żegoty, „antysemitce" ratującej Żydów. O rodzinie Ulmów, godnej wyniesienia na ołtarze. O Witoldzie Pileckim, ochotniku do KL Auschwitz. Czy szlachetni i odważni Polacy nie zasługują na należne im upamiętnienie w filmowych superprodukcjach? Dlaczego w polskim kinie nie ma dla nich miejsca?

eprasa.pl fb93a73578

Michał Korsun prezentuje:
Sierp i Młot

Fot. fot AP / Alik Keplicz

Wycinki z przeszłości

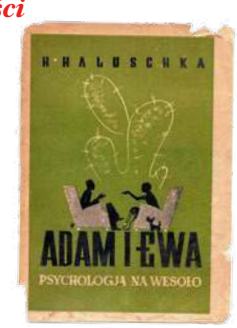

Największe działy w księgarniach to dziś poradniki życia duchowego i praktycznego powodzenia. Widać, że uwolniony od wielu norm współczesny człowiek szuka jednak oparcia w doświadczeniu innych. Dlatego sięgnijmy do wydanego w 1946 r. przez Wydawnictwo Księży Jezuitów tomiku „Adam i Ewa. Psychologia na wesoło". Oto kilka zamieszczonych tam rad.

Nie ma prawdziwej miłości bez wstydliwości. Miłość zrodziła się w chwili, gdy Ewa wymyśliła koszulę.

Czasem żałuje człowiek, że dał za wiele, ale zawsze żałuje, że dał za mało.

Aby być szczęśliwym, trzeba chcieć nim być. Do szczęścia trzeba mieć takie samo uzdolnienie jak do sztuki. Jest to także talent i trzeba go otaczać takim samym poszanowaniem jak każdy inny.

Często brakuje w małżeństwie dwóch rzeczy: wzajemnej litości i wzajemnej uprzejmości. Zajadle wyciskają małżonkowie z siebie największą dozę wygody, rozkoszy, przyjemności – każdy dla siebie, a uprzejme formy życia, uprzejmą formę obcowania ze sobą, uważają za stratę czasu.

Salonowa błyskotliwość nie ma wielkiej wartości w pożyciu domowym. Należy się strzec zbyt wykwintnych środowisk i zbyt świetnych kobiet.

Za tydzień zamieścimy kolejne wypisy z tej uroczej książeczki. ***(mk)***

Ballada o złotej gałęzi
(fragment)

Leszek Długosz

Nachyliło nam to drzewo
Pod łaskawym niebem
Pośród sadu
Gałąź złotą...

Rosło dumne i uparte
Wbrew knowaniom okolicy
Wbrew gałęzi własnych
Zdradom

Bo słyszało i przebijał głos od spodu
Że tu jego miejsce słuszne
I ma szumieć, jak mu niosą podpowiedzi
Od korzeni głosy...
– Pieśni tkliwe
Surmy dumne
– Czarnoleskie strofy
I oprawne ręką pewnie na pół boską
Jak mu dźwięczą
Te diamenty
Mazowiecko-chopinowskie

Rosło wierne
I niezłomne
I bez zawstydzenia proste
– Złotą gałąź nachyliło
Gdy już pora na to doszła
** * **
Zbiegli się mieszkańcy z dookolnych dziedzin
Podglądają jeden ku drugiemu
Z tego drzewa przychylności
Dość rozumni, dość ofiarni
Z sercem czystym
– Złote jabłka czy zerwiemy?

Usłyszeli głos jak z nieba
– Rozpoznali, że jest święty?
Jezus, Maryja... zawołali po dawnemu
– Wspomagaj!
Oby nam się udała
Tymi czasy pośród sadu
Ta ballada wyśniona
Upragniona
Wyczekana...
– Z tej gałęzi nachylonej
Z sercem czystym
Złote jabłka zerwiemy?

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl fb93a73578

OD A DO ZYBERTOWICZ

Instynkt czytania zagrożeń

Ten film dobitnie pokazuje, co stało się ze społeczeństwem zachodnim

Gdy – jak zwykle za szybko – przyszła jesień..., by jeszcze odrobinę poczuć się w klimacie wakacji, poszłam z synem do kina. Lubimy warszawskie kino Luna przy Marszałkowskiej. Grali „Notre Dame płonie", dzieło Jeana-Jacques'a Annauda. To reżyser znany zwłaszcza z głośnej swego czasu adaptacji „Imienia róży" – bestsellera Umberto Eco.

Pewnie wszyscy pamiętamy, jak w Wielkim Tygodniu w 2019 r. światem wstrząsnął pożar katedry Notre Dame. Wyjątkowego symbolu chrześcijańskiej Europy. Wydaje się, że takie wydarzenie to dla reżysera idealny motyw na duży ekran.

Nie oceniam, czy reżyserowi film się udał. Przyznam, że wyszłam z kina raczej bez poczucia obcowania z arcydziełem. Jednak rozczarowana nie byłam, bo ten film dobitnie pokazuje, co stało się ze społeczeństwem zachodnim.

(NIE)MOŻLIWE

Co jest dziś możliwe, a co nie? Co prawdopodobne? Niby proste pytania.

Gdy ćwierć wieku temu zapalałam tam świeczkę z intencją, która (szczęśliwie) została wysłuchana, nawet do głowy by mi nie przyszło, że to miejsce, ta katedra mogłaby jeszcze za mojego życia przeminąć. Nawet kilka lat temu, spoglądając na nią ze statku płynącego Sekwaną, czułam to podobnie.

Katedra już od lat była remontowana. W filmie Annauda to właśnie w scenach ilustrujących złożone przedsięwzięcie restaurowania zabytku, pokazujących, jak fachowcy w specjalnych kombinezonach poruszają się po wysokich rusztowaniach – niebezpieczeństwo wisi w powietrzu. Trudne warunki pracy ze względu na toksyczny ołów. Palić nie wolno, ale robotnicy się tym nie przejmują. Gdy jeden z nich beztrosko odpala papierosa zapałką, a potem niedogaszoną wyrzuca, niemal automatycznie nasuwa się myśl – nie, to niemożliwe. Podobnie gdy kamera pokazuje starą instalację elektryczną, miejscami posklejaną czymś, co przypomina jakiś zwykły plaster. I nie inaczej jest, gdy widzimy niebezpiecznie wyglądające gniazdka, w które robotnicy powtykali ewidentnie za dużo ładowarek komórkowych. W tym samym czasie w kościele trwa nabożeństwo. Mam świadomość, że oglądam film fabularny, ale przecież wiem, co będzie dalej, bo historia jest znana – wybuchnie pożar, a wiadomość o nim dzięki mediom szybko obiegnie cały świat. A mimo to słowa „to niemożliwe" natrętnie powracają. Przecież to Francja, Zachód całą gębą, kraj praworządny, nowoczesny i oświecony – tam procedur się przestrzega.

Czy to możliwe, że tak symboliczna budowla Paryża cała niemal spłonie w wyniku – a wiele na to wskazuje – właśnie nieprzestrzegania procedur i splotu nieszczęśliwych zdarzeń?

BAGATELIZOWANIE

No bo, gdy już włączają się alarmy, zostają potraktowane jako fałszywe. System przeciwpożarowy jest przecież stary, czasem szwankuje.

Ale jakim sygnałom w takim razie zaufać? Gdyby technologia monitorująca techniczny stan i bezpieczeństwo katedry była na wyższym poziomie, toby do tragedii nie doszło – można się łudzić... Na szczęście straż pożarna ma nowoczesny sprzęt! Ma, ale jak przebić się z nim na czas przez tak wąskie uliczki prowadzące do katedry, na dodatek zapchane tłumem ludzi?

Dopiero w trakcie pożaru ludzie dostrzegają, w jak nieludzkim zgiełku żyją. Zgiełku technologicznym i informacyjnym. Nowoczesny sprzęt nie może się przebić przez korki. Zanim zgłoszenie pożaru zostanie skutecznie przyjęte w Paryżu, liczne selfie z płonącą katedrą w tle już obiegają świat. Trudno pojąć ludzką bezsilność, gdy jesteśmy tak zaawansowani technologicznie.

Ale przecież po niewiarygodnym pożarze katedry Notre Dame (w którym jednak nikt nie zginął!) światem wstrząsnął COVID-19. Pandemia sparaliżowała nasze życie w niewiarygodnej skali, pochłaniając miliony ludzkich żyć. Dziś wiemy, że wczesne sygnały o epidemii były bagatelizowane.

Zachód bagatelizował też prawdziwe oblicze Putina, robiąc z nim deale jako z godnym zaufania partnerem, i mamy wojnę, której ofiarą padają również dzieci.

Przekonanie o mocy technologii, bezczelność w zarządzaniu naturą, wreszcie odrzucenie transcendentnego Boga uśpiło naturalną czujność ludzi. Wyłączyło instynkt wyczuwania zagrożeń.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl fb93a73578

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

400 lat pięknej historii klasztoru w Kartuzach – od fundacji w 1382 r. po zabór dóbr przez króla pruskiego w 1772 r.

100 książek w prezencie

Fot. pbc.gda.pl

Książkę **„Kartuzja Kaszubska”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę tygodnika SIECI za **265 zł**.

Zamów już dziś na: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA SIECI i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 9-16

eprasa.pl fb93a73578

UROCZYSTA PREMIERA ROCZNIKA ORAZ GALA WRĘCZENIA NAGRÓD

POLSKI KOMPAS 2022

Oglądaj LIVE

wtorek, 11 października, godz. 19:00

w telewizji W POLSCE PL

PARTNER ZŁOTY:

ORLEN

PARTNER STRATEGICZNY:

BAT POLAND

PARTNERZY GŁÓWNI:

Enea, Grupa Azoty, KGHM Polska Miedź, PGE Polska Grupa Energetyczna, PGNiG, Bank Polski, PKP Polskie Koleje Państwowe Spółka Akcyjna, PWPW Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych, PZU, Totalizator Sportowy

PARTNERZY:

accenture, Alior Bank, Bank Pekao, Lasy Państwowe, Tauron

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

GAZ system, GPW, KDPW, Poczta Polska, POLREGIO

eprasa.pl fb93a73578